

MAŁGORZATA STAROSTA



WINA WINA

KOMEDIA KRYMINALNA

MAŁGORZATA
STAROSTA

WINA WINA



Copyright © by Małgorzata Starosta, MMXXI

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Magdalena Matuszewska
Projekt okładki i ilustracja wykorzystana na I stronie okładki:
Magdalena Babińska Skład i łamanie: Plus 2 Witold
Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 2519
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-9219-8

Wydanie I
Warszawa MMXXI

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa
Wydawnicza Foksal Sp. z o.o. i Michał Latusek / Virtualo Sp. z
o.o.

Spis treści

Stron tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział I. Biedny Claude

Rozdział II. Dobro nie popłaca

Rozdział III. Agata

Rozdział IV. Co ty tu, u diabła, robisz?

Rozdział V. Kim ty jesteś, Madziaczku?

Rozdział VI. Nie ta Śródka, imbecyłu

Rozdział VII. Wszyscy jesteście rodziną

Rozdział VIII. Przepraszam, czy coś mnie ominęło?

Rozdział IX. Całe mnóstwo typów

Rozdział X. Miłość i sraczka

Rozdział XI. Merde!

Rozdział XII. Tylko Bóg go osądzi

Rozdział XIII. To było straszne!

Rozdział XIV. Miód nie kobieta

Rozdział XV. Michelu, zostałeś wybrany na ochotnika

Rozdział XVI. Krew jest gęstsza od wody

Rozdział XVII. Psiakhew!

Rozdział XVIII. Jedyną wymówką jest śmierć

Rozdział XIX. W tych butach daleko nie znajdziesz

Rozdział XX. Pan z tych wolniej myślących?

Rozdział XXI. Ile tych Śhódków?

Rozdział XXII. Brzoskwinie i mięta

Rozdział XXIII. Czy ja jestem o coś podejrzana?

Rozdział XXIV. Mnie wahto znać

Rozdział XXV. Kłamać nie ma sensu

Rozdział XXVI. Ktoś cię nie lubi

Rozdział XXVII. Myśleli, że to ty

Rozdział XXVIII. Wszystko po staremu

Rozdział XXIX. W tej grze liczy się punkty

Rozdział XXX. Der Weg

Rozdział XXXI. Dzień bez trupa to dzień stracony

Rozdział XXXII. Mamy cholerny problem

Rozdział XXXIII. Żarty się skończyły

Rozdział XXXIV. Entliczek, pentliczek

Rozdział XXXV. To ja zostawiłem tę notatkę!

Rozdział XXXVI. Zacznijmy od początku

Rozdział XXXVII. Plan doskonały

Rozdział XXXVIII. Dzwony zmarłych i palce wróżek

Rozdział XXXIX. Każdy ma jakiś bagaż

Rozdział XL. Antoni, jesteś genialny

Rozdział XLI. Do kaczek się strzela

Rozdział XLII. Legenda o winie

Rozdział XLIII. Le petit Mercredi

Rozdział XLIV. Może posadzę tu chmiel

Recettes di cuisine

Tort dyniowy według Agaty Śródki *

Czernina / Wielkopolska czarmina *

Kaczka z jabłkami (po poznańsku)*

Modra kapusta po wielkopolsku *

Od autorki

Rozdział I.

Biedny Claude

Dźwięk, który wydała z siebie Agata Śródka, określano później jako kwik potrąconej przez kombajn maciory, choć niektórzy słyszeli raczej wrzask wściekłego indora. Wspólnym mianownikiem były niewątpliwie wysokie tony i skojarzenie ze zwierzętami hodowlanymi.

Nie wiadomo, czego spodziewali się zaproszeni przez Agatę goście, z pewnością jednak nie tego, co zobaczyli, kiedy wbiegli do kuchni zaalarmowani krzykiem gospodyni. Na środku spiżarni, otoczona rubinową kałużą, leżała roztrzaskana głowa, której fragmenty walały się po podłodze. Z ciemienia upiornie sterczała rękojeść noża, którego ostrze przytrzymało kartkę papieru. Agata stała w progu, prawą rękę trzymając na miejscu, gdzie znajduje się serce, lewą ściskając futrynę, aż zbiełały jej knykcie.

Stojąca najbliżej Agaty Patrycja Żmuda, kreatywna i pomysłowa księgowa, chwyciła ją pod rękę i spokojnym głosem nakłoniła do wyjścia ze spiżarki. Wciąż w szoku, Agata dała się stamtąd zabrać niczym jagniątko prowadzone na rzeź, stukając niebotycznie wysokimi obcasami o piękną posadzkę.

- Proszę państwa o opuszczenie tego miejsca i niezacieranie śladów - zarządził dźwięcznym głosem Antoni Korytko, miejscowy komendant policji.

- Dajcie jej wina! - zaproponował Michał Kornaś, reporter i właściciel lokalnej gazety. -

Lubi pani czerwone wino?

- Z braku laku mogę wypić - odparła Śródka, blada jak śmierć na chorągwi. -

Wolałabym różowe, ale akurat chyba nie mam.

- Lepiej coś mocniejszego, Agato - rzuciła Julianna Makowiecka, bibliotekarka, której wzrok bez pudła zlokalizował butelki z alkoholem ustawione w równych rzędach w kredensie.

Przy stole w sali jadalnej siedział przystojny szpakowaty mężczyzna, którego profesję zdradzała wyłącznie koloratka pod atramentowoczarnym kołnierzykiem koszuli. Gdyby nie to, że żaden z pozostałych gości nie był przebrany, można by pomyśleć, że przyszedł w kostiumie, co zresztą znakomicie pasowałoby do wystroju jadalni udekorowanej sztucznymi pajęczynami, trupimi czaszkami i dyniami. Jednym słowem roztrzaskana w spizarni głowa wpisała się w klimat imprezy.

- Usiądźcie, proszę. Powinniśmy się wszyscy uspokoić - odezwał się zaskakująco radiowym głosem Ludwik Bury, miejscowy proboszcz.

- Pij, Agato. - Julianna podsunęła Śródce szklanekę w połowie wypełnioną bursztynowym płynem, po czym sama wypija jednym haustem zawartość drugiej szklanki.

- Biedny Claude - wyszeptała Agata, przełknąwszy pierwszy łyk whisky, po którym odzyskała kolory. - Jak ktoś mógł mu to zrobić?

- Nie myśl teraz o tym, Agato - pocieszała ją sąsiadka, Róża Kalicka.

- Właściwie zadane pytanie powinno brzmieć: dlaczego ktoś to zrobił, a nie jak - odezwał się Barnaba Mischuk, lokalny potentat, właściciel winnicy cieszącej się doskonałą opinią w tej części Polski. - Jak chyba wszyscy widzieliśmy, trudno było tej maczety nie zobaczyć.

- Santoku - poprawiła go odruchowo Agata. - To jest nóż santoku, nie maczeta.

- To znaczy, że widziałaś go już kiedyś? - upewnił się burmistrz Roman Pajor.

- Och, setki razy! - Agata uniosła rękę ze szklanką na znak, że skończyła jej się whisky, ale Julianna zajęta była uzupełnianiem płynu we własnej. - To nóż Jacques'a, mojego szefa kuchni.

- No i mamy sprawcę - ucieszyła się Róża Kalicka. - Zagadka rozwiązana.

- Niemożliwe - zaprzeczyła Agata. - Jacques jest na wakacjach z rodziną, nie ma go tutaj od tygodnia.

W jadalni zapadła niezręczna cisza, przerywana jedynie cichymi westchnieniami Agaty i dźwiękiem nalewanego do szklanek alkoholu. Nie wiadomo, kiedy Julianna zadbała o trunek dla każdego gościa. Po chwili wszystkie głowy zwróciły się w stronę kuchni, skąd dochodził dźwięk ciężkich kroków komendanta. Antoni Korytko, obdarzony słusznym wzrostem metr dziewięćdziesiąt osiem centymetrów i mniej więcej takim samym obwodem ramion oraz pasa, stanął w progu, trzymając w ręce corpus delicti. Agata wzdrygnęła się, a pozostałe kobiety głośno wciągnęły powietrze.

- Agato - odezwał się głębokim basem Korytko - chyba będziesz musiała opowiedzieć nam wszystko od początku. A zacznij od tego, dlaczego ktoś mógłby życzyć ci śmierci.

- Co takiego?! - pisnęła restauratorka. - Dlaczego mnie? Przecież to Claude'a zamordowano!

- Ale to raczej ciebie nazwano „francuską krową” - odparł sucho komendant, pokazując zgromadzonym nabitą na ostrze noża kartkę, na której czarnymi literami napisano: „Wynoś się albo zginiesz francuska krowo”.

- *Oh mon dieu!* - Twarz Agaty przybrała barwę niewypieczonego biszkoptu, na co niezwłocznie zareagowała Patrycja Żmuda, dolewając solidną porcję whisky do jej szklanki.

- Przecinka brakuje - odezwała się cichutko Julianna Makowiecka, a pozostali natychmiast zgromili ją wzrokiem.

Rozdział II.

Dobro nie popłaca

Początek całej tej historii miał miejsce osiem miesięcy wcześniej, kiedy Agata Śródka, celebrytka wśród kucharzy, niedościgniony wzór restauratorów, doznała przykrego ataku migreny i skróciła swój pobyt w Serocku, gdzie patronowała zawodom kulinarnym. Ze względu na jej reputację nikt nie ośmielił się sprzeciwić i konkurs musiał zostać rozstrzygnięty bez głównego jurora. Ona tymczasem włożyła ciemne okulary, kapelusz z rondem, które mogłoby zaciemnić pół Afryki, i łaskawie dała się zawieźć do domu, w którym czekał na nią kochający małżonek. Małżonek, owszem, buchał miłością niczym Smok Wawelski, ale raczej w kierunku ponętnej dwudziestotrzyletniej pomocy domowej, którą Agata zatrudniła kilka tygodni wcześniej.

Pomoc, o jakże adekwatnym imieniu Grażynka, była nieszczęśliwą, pochodzącą z wielodzietnej rodziny dziewczyną, którą Agata przygarnęła w ramach czynienia dobra społecznego. No i proszę, dobro jednak nie popłaca. Przy okazji okazało się, że migrena mogła mieć źródło w zbyt niskim ciśnieniu, gdyż po wyrzuceniu przez Agatę zdradliwego małżonka i niewdzięcznego dziewczyniska przeszła jak ręką odjął.

Procedura rozwodowa trwała raptem pięć minut, albowiem kilka lat wcześniej małżonek Agaty nie sprzeciwił się spisaniu intercyzy, w której zgodnie i całkowicie dobrowolnie przyznawał się do nieposiadania niczego i zasadniczo bycia

pasozystem żerującym na swojej przedsiębiorczej i wściekle zdolnej żonie. Żona zaś z grzeczności nie zaprzeczyła.

Zostawszy panną z odzysku, Agata nie zamierzała ronić łez ani tym bardziej popadać w melancholię, postanowiła natomiast zacząć życie od nowa, możliwie jak najdalej od skalanego ohydłą zdradą łoża małżeńskiego. Wystawiła na sprzedaż dom w sypialnianej dzielnicy Poznania i zaczęła się rozglądać za czymś do mieszkania w bezpiecznej odległości od zgiełku wielkiego miasta i rozsądnie daleko od miejsca, w którym mogłaby się natknąć na byłego męża w kolejce po kiszone ogórki. Zupełnym przypadkiem, jak to zwykle w życiu bywa, usłyszała o nie lada gratisie w postaci późnobarokowego pałacyku z możliwością zaadaptowania na hotel. Właściciel obiektu popadł w tarapaty i musiał pilnie sprzedać nieruchomość po kosztach, żeby spłacić tracących cierpliwość wierzycieli. Lokalizacja owej nieruchomości przemawiała na jej korzyść, Agata zatem bez wahania wręczyła nieszczęśnikowi walizkę pieniędzy i została właścicielką zespołu pałacowo-folwarcznego w malowniczej miejscowości Gościnniec usytuowanej między rozległymi lasami a stawami rybnymi we wschodniej części Wielkopolski. Dzień po sprzedaży poznańskiego domu, w którym zostawiła wszystko z wyjątkiem noży i garderoby, przenieśli się do Gościńca, gdzie zamierzała prowadzić szczęśliwe i spokojne życie aż do późnej i jeszcze spokojniejszej starości. W końcu była dopiero czterdziestosiedmioletnią kobietą sukcesu, nikt na jej widok nie mdlał z obrzydzenia, można się z nią było pokazać w towarzystwie i coś jej się jeszcze od życia należało.

Nie bacząc więc na zdanie własnych, co prawda dorosłych, ale jednak dzieci ani nie myśląc o możliwych problemach, Agata Śródka z właściwym sobie rozmachem dołączyła do przedsiębiorczej elity Gościńca, co wiązało się z poważnymi konsekwencjami. Poprzedni właściciel, przegrawszy ogromny

majątek w kasynie, nie zdołał dokończyć remontu rezydencji, której stan wołał o pomstę do nieba. Agata wprowadziła się do należącego do kompleksu domu zarządcy, w którym jako tako można było chwilę przewaletować, ale na dłuższą metę wszystko wymagało gruntownego remontu.

Już pierwsze dni po przyjeździe Śródki do Gościńca obfitowały w kusańce od losu w postaci przestarzałej i grożącej pożarem pałacowej instalacji elektrycznej, niedrożnej kanalizacji i spróchniałego drewna na tarasie, który w wyobraźni Agata umeblowała rattanowymi fotelami i na którym podawała drinki z parasolką. Pierwsza wizyta w magistracie stanowiła zaś bolesną lekcję życia w małym miasteczku.

- Numerek pani ma? - zapytała głosem znudzonym do granic możliwości pani w urzędzie miasta, po tym jak Agata odsiedziała swoje czterdzieści minut, choć poza nią nie było żadnego interesanta w sprawie działalności gospodarczej. W żadnej innej sprawie zresztą też.

- Ma, o tu ma. Numer dwa. - Agata postukała wypielęgowanym paznokciem w bilecik.

- W czym mogę pomóc? - Ton urzędniczki nie zmienił się ani na jotę.

- Chciałabym złożyć wniosek o przeprowadzenie inspekcji w budynku, który niedawno kupiłam. Zdaje się, że stanowi zagrożenie dla życia, a ja zamierzam w nim przyjmować ludzi.

Takich z życiem, żywych ludzi. I byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby to ich życie było zagrożone.

- Dokumenty od nadzoru budowlanego pani posiada? Odbiór był? Akt własności?

Śródka podała urzędniczce wymienione dokumenty i na wszelki wypadek dorzuciła jeszcze dowód osobisty i pismo od konserwatora zabytków. Kobieta za biurkiem nawet nie spojrzała w ich kierunku.

- Czas oczekiwania na decyzję do trzydziestu dni, dostanie pani informację pocztą.

- Przepraszam, chyba coś źle usłyszałam. Czas oczekiwania do trzydziestu dni? Droga pani, ja tam mieszkam! Kto odpowie za to, że w nocy mnie woda zaleje, a potem prąd usmaży?

Za trzydzieści dni to ja chciałam ten hotel otwierać! - Fałsz tej wypowiedzi wybrzmiał wyraźnie, nikt przy zdrowych zmysłach nie wygłupiałby się nawet w żartach z otwarciem tej ruiny w miesiąc.

- Proszę się uspokoić, szanowna pani - upomniała ją znudzona urzędniczka. - Takie procedury.

- Procedury? Pani raczy kpić! Proszę natychmiast wezwać swoją przełożoną. Albo ego, jeśli to mężczyzna. Wszystko mi jedno!

Ze względu na to, że poza Agatą w urzędzie nie było zupełnie nikogo, podniesione głosy szybko dotarły nie tylko do przełożonej owej pani, ale i do samego burmistrza. Po chwili wokół

Agaty zebrał się spory tłumek.

- Wszystko w porządku, drogie panie? - zapytał grzecznie Roman Pajor, dumnie wypinając pierś zapewne w charakterze okoliczności mającej łagodzić spory.

- Tak, dziękuję, nie narzekam - odparła mechanicznie Śródka. - Czy pan jest przełożonym tej pani?

Tym sposobem Agata Śródka poznała burmistrza Romana Pajora, a potem było już z górki.

Po dwóch tygodniach całe miasteczko huczało o nowej mieszkance, w dodatku wielkiej celebrytce, która nie raz i nie dwa gościła w telewizji. Ekipy remontowe wzięły się do roboty z godną pozazdroszczenia werwą i po niespełna pół roku pałacyk wraz z restauracją nadawały się do używania przez żywych ludzi. Śródka nie byłaby jednak sobą, gdyby nie zadbała

o *ouverture du restaurant* w wielkim stylu i nie postanowiła przywitać gości z hukiem. Akurat zbliżało się Halloween, zatem dlaczego by nie pochwalić się najlepszym tortem dyniowym w tej części świata?

Rozdział III.

Agata

Agata zaliczała się do osób ambitnych. Od wczesnego dzieciństwa wykazywała niezwykłą zaciętość, upór i wiarę we własne możliwości. Każde wyzwanie traktowała z taką samą powagą, do każdego podchodziła z zaangażowaniem, którego mogliby jej zazdrościć uczestnicy igrzysk olimpijskich. We wszystkim, co robiła, musiała być najlepsza.

„Wystarczająco dobrze to stanowczo za mało” – brzmiała jej życiowa dewiza.

Już w szkole podstawowej wiedziała, że jej przeznaczeniem jest zostać szefem kuchni.

I to nie było jakim szefem kuchni, ale najlepszym spośród najlepszych. Mając jasny plan na życie, w wieku dwudziestu lat Agata poznała Roberta Śródkę, którego pokochała natychmiast i na zabój. Na szczęście obiekt jej uczuć odwzajemnił miłość i bardzo szybko wprowadził się do kawalerki, którą dziewczyna odziedziczyła po babce. Jeszcze szybciej okazało się, że kalendarzyk małżeński nie jest najskuteczniejszą metodą antykoncepcji. Trzy lata starszy od Agaty Robert kończył właśnie studia na politechnice i wiadomość o nieplanowanej ciąży przyjął z radością. Natychmiast oświadczył się ukochanej, obiecując jej życie jak w Madrycie, gdy tylko uzyska dyplom. W kwestii nieplanowanej ciąży Agata okazała zdecydowanie mniej entuzjazmu.

Zastanawiała się nawet nad zostawieniem Robusia i ucieczką do wymarzonej Francji, rodzice zdołali jednak jej

wytłumaczyć, że niewiele to pomoże w rozwiązaniu kłopotliwej sytuacji.

Ostatecznie kłopotliwa sytuacja, której na imię dano Julian, pojawiła się na świecie jako najbardziej kochany syn i wnuk. Rok później dołączyła do niego Kornelia, zaś Agata Śródka przestała wierzyć w skuteczność jakiegokolwiek metody antykoncepcji.

Dzięki wsparciu rodziców Agata skończyła dobre szkoły, terminowała pod okiem wybitnych kucharzy, a w końcu spełniła marzenie o zdobyciu dyplomu paryskiej Le Cordon Bleu. Z nauką języków obcych nie było jej po drodze, nigdy nie nauczyła się płynnie mówić po francusku, niemniej miłość do Francji rosła w niej z każdym dniem. Ze względu na niemożność porozumienia się z rodakami Balzaka w ich ojczystej mowie Agata zrezygnowała z zamieszkania wśród pięknych prowansalskich pól, postanawiając pójść w ślady swojej idolki Julii Child i przywieźć francuską kuchnię do ojczyzny. Postanowienie zrealizowała z rozmachem, stając się najznamienitszym restauratorem w kraju nad Wisłą i największym autorytetem w dziedzinie wykwintnej kuchni.

*

Przeprowadzkę do Gościńca potraktowała jako wielką szansę od losu - w końcu nie każdy może się poszczycić prowadzeniem hotelu w zabytkowym pałacu. Od razu wpadła na pomysł otwarcia restauracji w najbardziej interesujący jesienny wieczór, zawsze bowiem podobała jej się zachodnia tradycja świętowania All Hallows' Eve. Była także wielbicielką dyni i z radością wyczarowywała z niej wspaniałe potrawy. W Le Cordon Bleu zdobyła wyróżnienie za tort dyniowy, który wyglądał jak głowa klauna. Niestety tym razem nikt nie zdążył się nim zachwycić.

- Myślałam, że tu znajdę spokój - odezwała się cicho Śródka, kiedy skończyła opowiadać swoją historię. - Dlaczego ktoś życzy mi śmierci? Przecież nikomu nie zrobiłam nic złego.

- Jesteś celebrytką, Agato - odparła przytomnie Róża Kalicka. - Wiesz dobrze, że ludzie nie lubią, kiedy innym się powodzi.

- To nie czas i pora na dywagacje filozoficzne czy psychologiczne - oznajmił tubalnym głosem Antoni Korytko. - Mamy do rozwiązania zagadkę kryminalną, szanowni państwo, więc chlup w dziób i zaczynamy przesłuchanie. Nikt z nas nie opuści tego miejsca, dopóki nie ustalimy, kto dokonał owego haniebnego i obrzydliwego czynu. Już moja w tym głowa, żebyśmy zrobili to jak najszybciej.

- Ty chyba nie uważasz, że ktoś z nas jest winny? - oburzyła się Julianna Makowiecka. -

Przecież to absurd! My nie mogliśmy tego zrobić!

- A niby dlaczego? - W głosie policjanta słychać było zawodową podejrzliwość. -

Czyżby nikt z was nie wchodził do kuchni?

- No... niezupełnie - zaprzeczył cicho Miszczuk. - Ja przyniosłem wino.

- A ja przywiozłem Agacie kwiaty i szukałem wazonu - wyznał burmistrz Roman Pajor.

- My weszliśmy przez kuchnię, bo akurat tylne drzwi były otwarte... - dorzucił Michał

Kornaś, mając na myśli siebie i Annę Pawełkę, z którą niedawno się zaręczył.

- Ja tam zajrzałam, szukając łazienki, ale nie wchodziłam, absolutnie! - zapewniła Patrycja Żmuda.

- Mnie Agata pozwoliła zwiedzić piwnice - odezwała się cichutko Julianna Makowiecka.

- Ja nie wchodziłam do kuchni ani nigdzie indziej, przyszłam prosto do jadalni - zapewniła Róża Kalicka.

- I ja także - dodał przystojny proboszcz Ludwik Bury.

- Mnie chyba o to nie podejrzewacie? - zapytała z przerażeniem Agata Śródka, patrząc na wszystkich oczami pełnymi łez. - Przecież ja nad tym tortem pracowałam cały tydzień i bynajmniej nie zamierzałam wam podać krwawej miazgi! Z mojego najlepszego soku malinowego!

Pomimo gorących zapewnień Antoniego Korytki, że tajemnica zostanie wyjaśniona, po wielokrotnym przepytaniu potencjalnych podejrzanych zagadka zmasakrowania Claude'a pozostała nierozwiązana. Z pewnością przyczyniło się do tego pięć butelek whisky i tak zwana niska szkodliwość społeczna czynu. Kara za zamordowanie tortu, nawet wyjątkowo artystycznego, nie została przewidziana w kodeksie.

Uroczysta kolacja z okazji otwarcia pałacu, pomimo mrożącej krew w żyłach niespodzianki, przebiegła w przyjemnej atmosferze, a o poszukiwaniu mordercy tortu szybko zapomniano. Nie zapomniał jednak komendant policji, którego zaniepokoiła tajemnicza kartka z napisem zawierającym błąd interpunkcyjny i który postanowił zachować daleko idącą podejrzliwość wobec wszystkich uczestników niefortunnego wydarzenia. Jak się miało okazać, intuicja go nie zawiodła.

Dwa tygodnie po uroczystym otwarciu hotel w pałacu wciąż nie miał nazwy. Śródka poczuła odpływ kreatywności po tym, jak jej popisowe dzieło wykonane z pietyzmem godnym Michała Anioła zaszlachtowano przy użyciu santoku, i zamknęła się w sobie, całą robotę pozostawiając swoim pracownikom. Mogła to uczynić bez obaw, bowiem ekipa, którą starannie wyselekcjonowała do pracy w Gościńcu, wywodziła się z grona zaufanych i sprawdzonych pracowników jej poznańskich i warszawskich restauracji. Z wyjątkiem Michela, którego

podkraǳa konkurencji, wykorzystujac w charakterze karty przetargowej gwiazdki Michelin zdobywane co roku od pieci lat przez jej pierwsza i najslawniejsza restauracje Jolie Julie.

Michel Blanc, narcystyczny i snobistyczny syn francuskiego malarza i cakiem zwyczajnej, acz wyjatkowo urodziwej Polki, przybyl do Gocinca, aby objac eksponowane stanowisko konsjerza i szefa personelu. Od poczatku nie podobaa mu sie maomiasteczkowa prostota mieszkancow i ich brak ogady, jednak fortuna, ktora zaoferowaa mu Agata w ramach wynagrodzenia, przycmia jego niechec. Charakteru jednakze przytepic nie zdoaa.

Wpadl do gabinetu szefowej, ledwo hamujac sie przed wybuchem.

- Agato! Ty sobie chyba nie wyobrazasz, ze ja tu bede hobil wszystko za ciebie?!

Wystahczy, ze z tymi wieniakami musze sie uzehac!

- I doskonale ci to wychodzi, Michelku - odpara Agata, nie podnoszac na niego wzroku znad ksiazki, ktora czytaa. - Czy moge ci w czyms pomoc?

- Dziekuje, ze pytasz - sarknal mlodzieniec, a jego twarz przybraa barwe idealnego rubinu. - Mogabys, tak dla przykladu, zajac sie phaca.

- *Pardon*, moj drogi. - Srodka odlozyla ksiazke i potrzasnela kasztanowymi wosami. -

Ja wasnie praca sie zajmuje. Zamierzam tu zaozyc winnice.

- Ty naphawde zwahiowaas! - wyrwao sie Michelowi. - *Sacrbleu!* Albo przekwitasz!

Jedno z dwojga. - Obrocil sie na piecie i zamierzal ostentacyjnie wymaszerowac z gabinetu, nagle jednak sie zatrzymal. - Czy ty w ogole cokolwiek wiesz na temat uphawy winoholi?

- Absolutnie nic. - Agata uśmiechnęła się szeroko. - Dlatego, mój kochany Michelinku, szczęśliwym zbiegiem okoliczności zamierzam spędzić weekend w winnicy i dowiedzieć się wszystkiego.

I nie czekając na reakcję konsjerża, znów oddała się lekturze *Dobrego roku* Petera Mayle'a.

- A żebyś tak dostała hemohoidów... - mruknął pod nosem Michel, zamykając drzwi.

Rozdział IV.

Co ty tu, u diabła, robisz?

Mniej więcej trzy tygodnie wcześniej, tuż po uzyskaniu wszystkich niezbędnych pozwoleń od nadzoru budowlanego, inspekcji BHP, sanepidu, straży pożarnej, miejscowego duszpasterza, a nawet najstarszego mieszkańca Gościńca – liczącego sobie sto cztery wiosny pana Alfreda Nózki – Agatę zupełnie niespodziewanie odwiedził Barnaba Miszczuk, właściciel najśłynniejszej wielkopolskiej winnicy. Po dokładnych oględzinach wyremontowanego kompleksu z ogromnym uznaniem wyrażał się o doskonałym wyczuciu smaku, z jakim Śródka wykończyła pałac, zasugerował odrestaurowanie stajni i zaoferował pomoc w zdobyciu kontaktu do najlepszego w tym regionie architekta krajobrazu, który mógłby „ten kawał ziemi z tyłu zamienić w bajeczny ogród w stylu francuskim”. Agata, zdeklarowana frankofilka, już wtedy pomyślała o opisywanych w książkach jej ulubionego autora prowansalskich winnicach. Autor co prawda był Anglikiem, to jednak absolutnie niczego nie zmieniało.

Decyzję o przerobieniu piętnastu tysięcy metrów kwadratowych pałacowego parku na winnicę Agata podjęła tak samo jak wszystkie inne – niezwłocznie po pojawieniu się pomysłu w jej głowie. Cóż może być trudnego w uprawie winorośli?

Podobnego zresztą zdania na temat łatwości uprawy grona był Barnaba Miszczuk, którego wino znane było nie tylko w Wielkopolsce, w samym zaś regionie nie miało sobie równych.

Ambicją Śródki stało się zdetronizowanie zbyt długo według niej panującego króla wina. Oczywiście nie podzieliła się nią z nikim, zbyt dobrze bowiem znała gierki prowadzone pomiędzy przedsiębiorcami. Z wytużoną uwagą chłoneła każde słowo chełpliwego właściciela winnicy o urokliwej nazwie Gościnną Dolina. Zwieńczeniem tej chełpliwości było zaproszenie Agaty na weekendową degustację połączoną ze zwiedzaniem winnicy.

- No wiesz, Barnabo... - zaczęła Śródka niepewnym tonem. - Nie bierz tego do siebie, jest mi bardzo miło i w ogóle... Ale ja nie jestem gotowa na żadne romantyczne historie.

- Ojej! - zawołał zaskoczony Miszczuk, oblewając się pąsem. - Źle mnie zrozumiałaś, Agato, nie to miałem na myśli. Oczywiście jesteś piękną kobietą, ale...

- Niewystarczająco piękną, jak rozumiem? - Tym razem w jej głosie słychać było urażę.

- Nie, nie, nie o to chodzi - próbował tłumaczyć winiarz. - Widzisz, co roku na początku listopada organizuję weekend dla przyjaciół i kilkorga gości. Zamykam wtedy winnicę i spędzamy dwa dni na rozmowach, degustacji i zabawie. I właśnie z tej okazji chciałem cię zaprosić.

- Ach, rozumiem! - Śródka się roześmiała, usiłując pokryć zawstydzenie.

Jasne, od razu się zakochał. Idiotka!

- To co, przyjedziesz?

- Oczywiście, będę zaszczycona.

Ów tradycyjny weekend w Gościnniej Dolinie wypadł dokładnie tydzień po pamiętnym wstrząsającym otwarciu pałacu, ale odrzucenie zaproszenia nie wchodziło w rachubę. Stanowiło ono ogromną nobilitację, a przy okazji mogło pomóc Agacie w lepszym poznaniu winiarskiego świata, do którego coraz bardziej ją ciągnęło.

Duma i chluba Barnaby Miszczuka leżała w dolinie rzeki oddalonej o mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów od Gościńca, osłonięta z jednej strony morenowymi wzgórzami. Agata od razu doznała nieprzyjemnego ukłucia zazdrości, które przychodziło zawsze, kiedy nie czuła się w czymś najlepsza. Zważywszy, że jej winnica miała na razie postać mglistego planu, ukłucie zazdrości było przesadnie silne. Wysiadła z samochodu z nosem na kwintę i podreptała do recepcji, usiłując nie połamać jedenastocentymetrowych szpilek na kostce brukowej, którą wyłożony był parking dla gości.

Uroczę dziewczę o nieskazitelnych manierach i znakomitym savoir-vivre natychmiast pokierowało Agatę do sali bankietowej, w której zgodnie ze słowami recepcjonistki oczekiwał jej już gospodarz wraz z pozostałymi gośćmi. Stukając obcasami niczym kozy w Pacanowie, Śródka weszła do wielkiego pomieszczenia z ogromnym murowanym kominkiem pełniącym również funkcję rozna, wokół którego zgromadziło się kilkanaście osób. Część z nich skinęła Agacie na powitanie; niektórych osób Śródka w ogóle nie знаła, a na widok jednego osobnika syknęła niczym żmija:

- Co ty tu, u diabła, robisz?!

Ze względu na znakomitą akustykę sali ów przerażający syk zwrócił uwagę wszystkich znajdujących się w niej gości. Osobnik, do którego tak słodko zwróciła się Śródka, zbladł, zlewając się niemal z pomalowanymi na biało ceglanyimi ścianami.

- Wi... witaj, Agato - odezwał się, odzyskawszy głos, Robert Śródka, jej były mąż. -

Dostaliśmy zaproszenie od rodziców Grażynki w ramach prezentu ślubnego.

- Co ty się jej tłumaczysz, Robuś? - pisnęła cienkim głosem Grażynka, podbiegając do męża na szpilkach identycznych z

tymi, które miała na nogach Agata. – Ta pani już nie jest twoją żoną i nie musisz się jej z niczego spowiadać.

– I chwała za to wszystkim świętym – sarknęła Agata, mierząc Grażynkę wzrokiem.

Więcej powiedzieć nie zdążyła, gdyż Barnaba Miszczuk, przewidując nadchodzący kataklizm, postanowił natychmiast się wtrącić.

– Agato, Agato, kochana Agato, bardzo mi miło cię powitać w skromnych progach Gościnnej Doliny. – Rozłożył ramiona na wzór rzeźby w Świebodzinie i uśmiechnął się szeroko.

– Pozwól, że przedstawię ci pozostałych uczestników naszego święta.

Właścicielka pałacyku rzuciła ostatnie pełne jadu spojrzenie w kierunku byłego męża i jego aktualnej małżonki, po czym uśmiechnęła się słodko do Miszczuka.

– *Certainement* – zaszczebotała, chwytając winiarza pod rękę. – Czynь honory, *mon cher Barnaba*.

Drogi Barnaba z dumnie wypiętą piersią zaprezentował Agacie osoby, których dotychczas nie miała okazji poznać, a przynajmniej tak mu się wydawało:

– Leokadia Schmidt – powiedział, wskazując zasuszoną srebrnowłosą osiemdziesięciolatkę ubraną od stóp do głów w czerń. – Ciociu Leokadio, przedstawiam Agatę Śródkę, nową właścicielkę pałacyku w Gościńcu.

– Może i nową, ale nie pierwszej młodości – skwitowała staruszka, taksując Agatę wzrokiem pełnym dezaprobaty.

– Pffff – parsknęła Grażynka i natychmiast zakryła usta dłonią, na której błyszczał ogromnych rozmiarów szafir.

Nie uszło to uwagi Śródki doskonale pamiętającej, że w jej pierścionku zaręczynowym najszlachetniejsze były intencje.

– Agato, przedstawiam ci kolejnego gościa – kontynuował Miszczuk, ciągnąc restauratorkę za rękę w kierunku wysokiej

blondynki odwróconej do nich tyłem. – Pani Mariola Santini, znana autorka powieści... ekhm, erotycznych.

Śródka nie zdążyła zaprezentować uprzejmego zdziwienia, bowiem doznała całkowitego szoku na widok twarzy słynnej pisarki.

– Madziaczek! – krzyknęła. – Przecież to jest Madziaczek, a nie żadna Mariola! I to jeszcze Santini!

Skonsternowany Barnaba spoglądał to na Mariolę-Madziaczka, to na Agatę, wpatrujące się w siebie ze zdumieniem. Pierwsza otrząsnęła się pisarka i przywoławszy na oblicze wyćwiczony uśmiech, odezwała się radośnie:

– Agatko, cóż to za wspaniała niespodzianka! Tyle lat minęło, któż by się spodziewał?

– Patrząc na twoje uszlachetnione rysy twarzy, rzeczywiście można się pomylić co do upływu czasu... – odparła Śródka z sarkazmem. – Wyglądasz dziesięć lat młodziej niż dwadzieścia siedem lat temu, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni.

– Magdalena Piekarska, wielkie nieba! – Robert Śródka dołączył do sceny, wytrzeszczając oczy na pisarkę. – Wiedziałem, że poznaję tę twarz!

– Twarz, dobre sobie! – parsknęła Agata. – Akurat twarzy mogłeś nie zapamiętać aż tak dobrze, bo ostatnim razem oglądałeś tył jej głowy i plecy, a raczej zakończenie pleców.

Na te słowa natychmiast zareagowała Grażynka, wbijając wypielegnowane i bardzo długie paznokietki w przedramię męża, co wywołało grymas na jego obliczu. Jasne było, że przy najbliższej okazji Grażynka z pewnością wróci do rozmowy na temat znajomości twarzy i innych części ciała pięknej Marioli.

Barnaba Mischuk, coraz bardziej zakłopotany, nawet nie próbował zgłębić tematu niespodziewanej znajomości Agaty z pisarką, uznał bowiem, że należy jak najszybciej rozpocząć część rozrywkową, w której wino skutecznie złagodzi obyczaje. Zaprosił więc gości do sali jadalnej, gdzie czekał już na nich

zastawiony stół. U szczytu zasiadł gospodarz, miejsce po jego prawej ręce zajęła Leokadia Schmidt. Obok nobliwej ciotki usiedli kolejno: Julianna Makowiecka, Anna Pawełka, Michał Kornaś, Roman Pajor i Grażynka Śródka wraz z Robusiem, któremu przypadło miejsce naprzeciwko Miszczuka. Po lewej stronie gospodarza zasiadła Agata Śródka, obok niej zaś kolejno: Ludwik Bury, Mariola Santini vel Madziaczek, Antoni Korytko, Patrycja Żmuda i Róża Kalicka. Najbardziej zadowolona z konfiguracji wydawała się Grażynka, siedziała bowiem w odległości dobrych trzech metrów od Agaty, a Robus miał daleko do biuściastej pisarki.

Agata tymczasem skręcała się w środku ze złości, mając naprzeciw siebie staruszkę, od pierwszych chwil wyraźnie pałającą do restauratorki niechęcią. Sytuację odrobinę ratował

Ludwik Bury, który z koloratką czy bez wyglądał olśniewająco. Mimo uciążliwych rygorów jego zawodu patrzenie na niego nie było zabronione. Dlatego też Agata postanowiła patrzeć na Ludwika tak długo, aż jej zbrzydnie, co biorąc pod uwagę jego hollywoodzką urodę i stosunkowo młody wiek, mogło potrwać kilka dekad.

Uroczystą kolację rozpoczęto od czerniny. Barnaba Miszczuk, Wielkopolanin z dziada pradziada, był wyznawcą zasady, że niepodtrzymywana tradycja w końcu zdechnie, a wtedy nic już z kultury nie zostanie. Tradycję zaś rozumiał głównie przez kuchnię, która nieodmiennie kojarzyła mu się z jego babką, a ta znów przywodziła na myśl bogactwo polskiej wsi. Polska, a w szczególności wielkopolska wieś od zawsze stała pyrami, pyzami, rybami i kaczkami.

A z kaczki, jak wiadomo, najpierw należy spuścić krew, ale broń Panie Boże, żeby się zmarnowała. Czernina jak znalazł.

Agata Śródka, znawczyni tradycyjnej kuchni, nie brzydziła się niemal niczym. Niemal – bo przecież była człowiekiem, a każdy człowiek ma jakieś własne gusta, mniej lub bardziej

wysublimowane. O ile pierożki z płuczek, żołądeczki w curry czy serduszka duszone w winie uważała za rarytas, o tyle zupa z kaczej krwi budziła w niej odrazę. Chłęptanie juchy nie mieściło się w granicach jej kulinarnych eksploracji, dopuszczała taką możliwość wyłącznie w przypadku zachorowania na porfirię. A i to pewnie nie od razu. Skrzywiona z obrzydzenia mina Śródki nie uszła uwagi Leokadii, która przerwała ciszę słodkim głosem, zdradzając znacznie większy zasób wiadomości na temat Agaty, aniżeli chciała się przyznać:

- A pani celebrytce, widać, tradycyjne kulinaria nie w smak.

- Pardon? - zapytała Agata, gmerając łyżką w porcelanowej bulionówce.

- Nie lubisz czerniny, Agato? - podchwycił Barnaba. - Czy może akurat ta konkretna ci nie smakuje?

- Niestety to bodaj jedyna zupa, z którą nigdy nie było mi po drodze - odparła Śródka, nie podnosząc wzroku znad stołu. - Jedzenie krwi budzi we mnie wewnętrzny opór.

- Nie jedyna - dorzucił z dalekiego końca stołu Robert. - Nigdy też nie lubiłaś zup owocowych.

- To prawda - odpowiedziała Agata, patrząc na byłego męża z odrobiną ciekawości, jakby widziała go po raz pierwszy. - Rzeczywiście nie lubię zup owocowych. Co to za zupa: kompot z kluskami - prychnęła.

- Oj, pamiętam, jak moja mama obraziła się na ciebie za ten kompot! - Robert Śródka roześmiał się serdecznie i mrugnął do Agaty.

- Zamknij się - syknęła na niego Grażynka, równocześnie wbijając mu obcas w stopę.

Robuś zakwilił z bólu i oblał się purpurą.

- Czyli, jeśli właściwie rozumiem, pani jest kulinarną snobką? - skwitowała Leokadia, całkowicie ignorując

dantejskie sceny przy drugim końcu stołu.

- Zdecydowanie wolę określenie *bourgeois* - odparowała Agata i spojrzała prosto w czarne oczy siedzącej naprzeciw niej kobiety. - Zgodzi się pani ze mną, Leokadio, że brzmi ładniej?

- Ładne nie to, co ładne, ale to, co się komu podoba - skwitowała starsza dama z taką miną, jakby odkryła ślady życia na Marsie. - Jeśli odchody nazwiemy fiołkami, nie będzie to oznaczać, że nagle zaczną anielsko pachnieć, nieprawdaż?

Grażynka słuch musiała mieć znakomity, niewykluczone także, że przysłuchiwała się rozmowie ze szczególną uwagą, bo parsknęła nagle głośno niczym kobyła w radosnym transie i bryznęła mężowi czerniną prosto w oczy. Niespodziewany krwawy prysznic z ust małżonki oszołomił Robusia do tego stopnia, że były mąż Agaty zaczął w panice trzeć oblicze, co z kolei wywołało przerażenie na twarzach pozostałych biesiadników, którym przypomniały się kadry z filmu *Carrie*. Jedynie Leokadii się nie przypomniały, gdyż nigdy tego arcydzieła nie widziała, skrzywiła się zatem tylko na widok umorusanego krwią Roberta.

- Niezły początek - szepnął Agacie do ucha Ludwik Bury. - Takiej imprezy u Barnaby jeszcze nie było. Cieszę się, że nie dałem się namówić na tę misję w Afryce. Ale by mnie heca ominęła!

- Ja też się cieszę - odpowiedziała szeptem i z całkowitą szczerością Agata.

Patrzyła przy tym na piękny profil księdza z nieukrywanym uwielbieniem. Nawet podbródek miał seksowny!

Ów pełen uwielbienia wzrok Agaty pochwycił Barnaba Mischczuk, który w rzeczywistości zaprosił restauratorkę z pobudek romantycznych, do czego sam przed sobą nie chciał się przyznać. Wzrok Barnaby natomiast z wyraźną złością zauważyła Julianna Makowiecka, od lat do nieprzytomności zakochana w winiarzu.

Antoni Korytko, który dotychczas starał się trzymać instynkt śledczy na wodzy i nawet nieźle mu to wychodziło, poczuł nagle, że zakrwawiona twarz Roberta Śródki zwiastuje nieszczęście. Nie zdążył jednak powiedzieć ani słowa, bo na stół wjechały szare kluchy z kapustą, pyry deptane, smażonka wieprzowa, golonka na kiszonej kapuście, schab ze śliwkami, pieczona kaczka z jabłkami, modra kapusta po wielkopolsku oraz gzik. Mischuk z zadowoleniem skonstatował, że Agata Śródka przychylnym okiem spogląda na wielkopolskie specjały, może więc jeszcze uda się uratować ten wieczór. Z pewnością pomoże w tym wino.

Rozdział V.

Kim ty jesteś, Madziaczku?

- Szanowni państwo - odezwał się Barnaba Mischczuk, postukując nożem do ryb o kieliszek do wina. - Tradycją naszych corocznych spotkań jest przedstawienie się, nie wszyscy państwo się przecież znają. W tym roku mam przyjemność gościć aż czworo nowych przyjaciół, pozwólcmy im poczuć się swobodnie. Może ja zacznę i będziemy szli po kolei, co państwo na to?

Wokół stołu rozszedł się pomruk niezadowolenia, a Leokadia Schmidt ostentacyjnie przewróciła oczami. Agata pomyślała, że kto jak kto, ale ciotka Mischczuka musiała się przedstawiać już co najmniej milion razy, sądząc po jej wieku, nic zatem dziwnego, że czuje się tym odrobinę znużona.

- Nazywam się Barnaba Mischczuk, mam pięćdziesiąt dwa lata, jestem właścicielem winnicy, w której z przyjemnością dzisiaj państwa goszczę. - Winiarz chrząknął lekko i zerknął na Agatę, jej mina jednak pozostawała dla niego zagadką. - Mieszkam w Gościńcu, jestem rozwodnikiem, nie mam dzieci. Lubię grę w golfa, słodką kawę i dobrą kuchnię. Ciociu Leokadio

- zwrócił się do wiekowej damy - twoja kolej.

Ciocia wybitnie nie kwapiła się do opowiadania o sobie; przez chwilę siedziała niewzruszona ze wzrokiem utkwionym w kryształowym kieliszku, który ewidentnie domagał się napełnienia schłodzonym winem. W końcu jednak wstała, demonstrując całą godność, jaka z niej biła, poprawiła sznur

perłę ozdabiający jej długą żyłastą szyję, po czym odezwała się mocnym i zdecydowanym głosem zdradzającym silny charakter:

- Nazywam się Leokadia Schmidt i jestem właścicielką połowy Gościńca.

- Ciociu! - jęknął Mischczuk. - Niechże ciocia da spokój! To nie czas i miejsce na pranie rodzinnych brudów.

- Cicho bądź, Barnabo! - ofuknęła go staruszka. - Dosyć mam już tego pozowania.

Oboje doskonale wiemy, że moje dni są policzone, więc warto uporządkować wszystkie sprawy.

- Pani Leokadio - odezwał się aksamitnym głosem Ludwik Bury. - Niech pani tak nawet nie mówi. Jeszcze wiele lat pięknego życia przed panią.

- A co ty tam wiesz, młodzieńcze? - Leokadia obrzuciła go pełnym pogardy wzrokiem. -

Porozmawiamy, jak będziesz w moim wieku. A tymczasem, zdaje się, miałam się przedstawić, czy tak, Barnabo?

Zawstydzony Barnaba spuścił wzrok i sam nie wiedział, co ze sobą zrobić. Kusiło go bardzo, by wślizgnąć się pod stół, ale ostatecznie przywołał się do porządku. Przełknął głośno ślinę, aż mu podskoczyło jabłko Adama, i skinął ciotce głową na znak, że starsza dama może kontynuować.

- Ziemia, na której się dzisiaj znajdujemy, także należy do mnie, można więc powiedzieć, że są państwo moimi gośćmi, a mój chrześniak pełni najwyższą funkcję zarządcy. - Spokój, z jakim Leokadia wygłaszała te rewelacje, nie pozwalał wątpić w ich prawdziwość.

Nikt spośród dwanaściorga gości nie odważył się nawet głośniejszym odetchnąć, wszyscy siedzieli jak zahipnotyzowani ze wzrokiem wbitym w staruszkę, która zdawała się dopiero rozkręcać. Atmosfera gęstniała z każdą sekundą.

Agata niezupełnie rozumiała, co się dzieje, ale z jakiegoś powodu była ciekawa dalszego ciągu. Wreszcie ktoś inny, nie ona, ma problemy, o borze szumiący, jak cudownie!

- Większość z was, siedzących przy tym stole - kontynuowała staruszka - zawdzięcza mi wszystko albo niemal wszystko. I zapewne większość z was tylko czeka na moją śmierć. Niestety muszę was rozczarować. - Leokadia przywołała na twarz paskudny grymas, który prawdopodobnie miał być złośliwym uśmiechem. - Postanowiłam zostawić wszystko Kościołowi.

- O Chryste! - wyrwało się Juliannie Makowieckiej.

- Że co?! - Burmistrz Pajor chwycił się za pierś.

- Czyś ty do reszty zwariowała?! - wrzasnął Miszczuk.

- Możliwe, że zwariowałam, ale kto mi zabroni? - odparła spokojnie Leokadia. - Nie martwcie się jednak, zabezpieczyłam wasze interesy, nie wyrzeknę się przecież rodziny. Nikt was nie wyrzuci ani nie podniesie wam czynszu. Nie musisz płakać, Aniu, nie odbiorą ci Delicjusza - zwróciła się do Pawełki, która właśnie szlochała w rękaw narzeczonego.

- Dlaczego tak idiotycznie nazwałeś ten sklep, Aniu? - zapytała znienacka Agata. -

Jakbyś tylko delicje sprzedawała. Jestem pewna, że widziałam kiskę wątrobianą i salceson.

- Akurat ty, Agato - obruszyła się Anna Pawełka, dotknięta do żywego dumna przedsiębiorczyni - powinnaś wiedzieć, że niektórzy ludzie wędzoną pasztetową i dobrze zrobiony salcesonik uważają za prawdziwe delikatesy.

- Daj spokój, Aneczko - wszedł jej w słowo Michał Kornaś, właściciel i redaktor naczelny lokalnego dziennika. - I tak się pewnie dowie.

- Formalnie sklep nazywa się Delicious, ale nikt nie potrafił tego słowa poprawnie wymówić, więc postanowiliśmy je

spolszczyć – wyznała zawstydzona właścicielka delikatesów.

Zatrzepotała długimi rzęsami, hamując łzy ponownie zbierające się w jej oczach.

- I bardzo dobrze postanowiliście – pochwaliła Leokadia. - Należy doceniać to, co nasze, swojskie. W Polsce powinno się używać języka polskiego. - Ta ostatnia uwaga wypowiedziana została pod adresem Agaty.

- I pani z pewnością jest tego najlepszym przykładem, prawda, pani Schmidt? - odparła słodkim głosem Śródka, akcentując ostatnie słowo.

- A cóż ma znaczyć ta impertynencja? - podniosła głos staruszka, wyraźnie wzburzona.

- Uspokójcie się, drogie panie - próbował interweniować przystojny ksiądz, ale Agata go zignorowała.

- No wie pani, nazywać się Schmidt i bronić polskości, to zakrawa na hipokryzję. -

Śródka brnęła aż miło. Czuła buzującą w żyłach adrenalinę i okropnie jej się to podobało. - To prawie tak, jakby powiedzieć, że obecna tu Magdalena Piekarska znana jako Mariola Santini para się literaturą piękną.

- Agato! - wrzasnęła przywołana Magdalena czy też Mariola. - Jak śmiesz?!

- A co ja niby takiego powiedziałam? - Śródka utkwiała pełen jadu wzrok w twarzy pisarki. - Przecież ja wyłącznie stwierdzam fakt, równie dobrze mogłabym powiedzieć, że Zenek Martyniuk nie komponuje arii operowych. To, co ty tworzysz pod tym swoim żalonym pseudonimem, to jest właśnie literackie disco polo. No więc: kimże ty jesteś, Madziaczk?

- Na pewno nie jestem bezczelną, zgorzkniałą mikrocelebrytką! - odparowała Santini, nawiązując do niezbyt okazałego wzrostu Agaty stanowiącego jej wrażliwy punkt.

- Może i mam metr czterdzieści osiem wzrostu - syknęła w odpowiedzi restauratorka -

ale przynajmniej nie ukrywam swojego wieku pod kolejnymi warstwami botoksu. I nie zmieniam tożsamości.

- Akurat to nie do końca prawda - wtrąciła Grażynka, wyraźnie ucieszona, że wreszcie może zwrócić na siebie uwagę.
- Robuś mi opowiadał, że chciałaś zmieniać imię. Tylko sąd ci nie pozwolił.

Gdyby było to możliwe, Agata roztrzaskałaby Robusia i jego małżonkę wzrokiem. Nawet wyobraziła sobie, jak ich krwawe wnętrzności rozbryzgują się na ceglanych ścianach.

- Bardzo to interesujące, moja droga - odezwała się Leokadia Schmidt wyraźnie rozbawiona. - Co nam pani o tym powie?

- Nic wam o tym nie powiem, bo to nie wasza sprawa - burknęła Śródka. - A niektórzy ludzie powinni się nauczyć, co znaczą tajemnice alkowy.

- O nie! - zaproponowała pisarka. - Skoro już zostało powiedziane „a”, to powiedz i „b”.

Dlaczego chciałaś zmienić imię? Przecież z twoim wszystko w porządku.

Śródka wahała się przez moment, ale ostatecznie uznała, że faktycznie żadnej wielkiej tajemnicy nie wyjawii. Westchnęła głęboko, po czym wyznała:

- Nie ma nic złego w imieniu Agata, pełna zgoda. Niemniej kilkanaście lat temu, kiedy otwierałam swoją pierwszą restaurację, zapragnęłam jeszcze bardziej się z nią utożsamić.

Złożyłam wniosek o zmianę imienia na Julia. Wiecie, Julia, właścicielka Jolie Julie.

- Powiedz lepiej, dlaczego sąd odrzucił twój wniosek. - Robuś nie miał za grosz instynktu samozachowawczego.

- Zamkniesz ty się w końcu czy nie?! - warknęła restauratorka wyraźnie wściekła. - Czy ja cię prosiłam o moderowanie tego spotkania? Czy ja w ogóle cię o cokolwiek prosiłam poza wiernością, wieprzu jeden?

Robert z postury zupełnie nie przypominał wieprza, zatem inwektywa z całkowitą pewnością odnosiła się do jego charakteru.

- Skoro wieprz już zaczął, to musisz powiedzieć, Agato - zachęcił restauratorkę Miszczuk zaintrygowany do żywego. Podobała mu się stanowczość tej drobnej kobietki. Co za pazur!

- Rany boskie, co za koszmar - mruknęła Śródka, ale zaspokoiła ciekawość Barnaby.

I przy okazji wszystkich pozostałych. - Sędzia, która prowadziła sprawę, zapytała mnie oczywiście o uzasadnienie wniosku. Kiedy jej powiedziałam, że moją największą idolką jest Julia Child, najpierw parsknęła, potem pomyślała, a na koniec odparła: „Pani Agato, oczywiście rozumiem pani uwielbienie dla znakomitej kucharki i celebrytki, ale Agatha Christie też była słynna, o ile nie słynniejsza, więc może pani z dumą pozostać przy swoim imieniu”.

Oczekiwany przez Agatę wybuch rechotu nie nastąpił. Nikt nie prychnął, nie parsknął, nawet Grażynka nie chichotała głupio, wbrew przewidywaniom Śródki. Wszyscy zajęci byli kontemplowaniem mądrości pani sędzi, która musiała posiadać w swym DNA wspólny gen z królem Salomonem.

Ciszę przerwał ostrzy niczym skalpel głos Leokadii, która zwróciła się do Marioli Santini:

- A pani, pisarko, dlaczego wstydzi się imienia Magdalena? Czyżby wierzyła pani w te bzdury o rozwiązłości ukochanej Jezusa?

Agata uniosła brwi w wyrazie bezgranicznego zdumienia - nie podejrzewała nobliwej milionerki o to, że jest zwolenniczką

teorii z książki Dana Browna. „No, no. Ludzie wciąż mnie potrafią zaskakiwać” – pomyślała z uznaniem.

- Proszę? - Magdalena Piekarska spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na pytającą. -

Przecież ja wcale nie ukrywam swojej tożsamości, nie zmieniałam nazwiska, jedynie przybrałam pseudonim artystyczny. Wiele osób tak robi. Niech pani spojrzy na przykład na J.K. Rowling, która kryminały wydaje jako Robert Galbraith, albo taką, o, Korę!

- Ale dlaczego pani to zrobiła? W dzisiejszych czasach niewielu pisarzy ukrywa swoją prawdziwą tożsamość - chciał wiedzieć burmistrz Roman Pajor.

- Dlaczego, dlaczego - zdenerwowała się pisarka. - A dlatego, że pracuję jako wykładowca akademicki i mój pracodawca raczej nie pochwałaby, gdyby kojarzono mnie z ociekającymi seksem historiami. Zadowoleni? - Skrzyżowała ręce na wyjątkowo wydatnym biuście i utkwiała wzrok w talerzu.

- To jak pani bierze udział w spotkaniach autorskich? - zainteresowała się nagle Julianna Makowiecka. - W burce pani siedzi czy tyłem do publiczności?

- W ogóle nie biorę w nich udziału - bąknęła cicho Santini. - Wywiadów udzielam wyłącznie pisemnie albo w radiu, mój wizerunek nigdy nie został upubliczniony.

- A jednak tutaj przyjechałaś jako Mariola Santini - zauważyła Śródka przytomnie. -

Barnaba tak właśnie cię przedstawił i raczej nie miał pojęcia o twojej prawdziwej tożsamości.

Czyli co, nagle postanowiłaś się zdemaskować w zapomnianej przez bogów wiosce?

Po tym pytaniu Madziaczek jakby zapadł się w siebie. Gołym okiem było widać, że odpowiedzi nie wyrwie się z niej nawet na torturach. Tylko Śródka zauważyła, że Ludwik Bury odrobinę

się zaczerwienił. Miszczuk jakby szóstym zmysłem wyczuł, że należy interweniować.

- Z pewnością miała swoje powody, Agato - odezwał się ciepło, ratując sytuację. I damę w opałach przy okazji. - To może... przejdziemy do... pana Roberta?

Robuś właśnie uporał się z usuwaniem czerniny z oblicza i spojrzał na Miszczuka wzrokiem zranionego jelenia. Przez chwilę chciał zaproponować przeciwko tak jawnemu łamaniu zasad gry i wywoływaniu do tablicy osoby spoza kolejki, szybko jednak zrozumiał, że słowo się rzekło i na nic nie zda się protest. Odłożył zakrwawioną chusteczkę, poprawił fryzurę i zabrał głos:

- Nazywam się Robert Śródka, jestem byłym mężem Agaty i obecnym mężem Grażynki. Mam pięćdziesiąt lat, dwoje dzieci, pięcioro wnucząt i w zasadzie tyle o mnie - zakończył, ściszej głoś.

- A czy pan także jest restauratorem, jak Agata? - zapytała uprzejmie Róża Kalicka.

- Ależ nie, broń Boże! - odpowiedziała za męża Grażynka, narażając się Agacie jeszcze bardziej, choć trudno było sobie wyobrazić, żeby to było możliwe. Grażynka miała w tej kategorii niekwestionowany tytuł mistrzyni świata i okolic.

- Niestety muszę się zgodzić z tą... osobą. Robert potrafiłby spalić czajnik elektryczny, gotując wodę, a obranie ziemniaków przekracza jego możliwości w stopniu niewyobrażalnym - podsumowała Śródka, zupełnie się nie licząc z ewentualnymi uczuciami byłego małżonka. -

Natomiast doskonale zna się na projektowaniu w żelbecie.

- Jestem inżynierem budownictwa - potwierdził Robuś, nie okazując cienia urazy.

- Doskonale! - Leokadia Schmidt z wrażenia klasnęła w dłonie. - Fach w ręku to rzecz nie do przecenienia. - To kto następny? Może pani? - zwróciła się do Grażynki.

- Ja? - Grażynka zatrzepotała rzęsami i uśmiechnęła się blado. - Nazywam się Grażyna, mam dwadzieścia trzy lata i z zawodu jestem stylistką paznokci.

- Mam na imię - wycedziła przez zęby Julianna Makowiecka i natychmiast podniosła do ust szklanekę z wodą mineralną.

- Słucham? - Żona Robusia była wyraźnie zdezorientowana.

- Mówi się: mam na imię Grażyna, a nie: nazywam się Grażyna - odparła Leokadia ze stoickim spokojem, nie patrząc na stylistkę paznokci. Wzrok bowiem utkwiała w Ludwiku Bury.

- To teraz może ksiądz nam coś o sobie opowie. Kim jest Ludwik Bury?

Przystojny mężczyzna przywołał na oblicze obłądny uśmiech, który roztopiłby najbardziej skamieniałe kobiece serce, w Agacie zaś wywołał coś na kształt palpacji.

Odchrząknął cicho, po czym odezwał się łagodnym głosem przywodzącym na myśl dotyk aksamitu.

- Nazywam się Ludwik Bury, liczę sobie czterdzieści siedem wiosen, od sześciu lat zarządzam gościnieckim dekanatem. Jestem zapalonym kolarzem, wędkarzem i myśliwym.

Zwłaszcza to ostatnie zaskoczyło Agatę, której duchowny wydał się uosobieniem delikatności i wcieleniem boskiego umiłowania życia. Myśliwy? Ksiądz? Dziwne rzeczy...

W następnej kolejności przedstawili się Anna Pawełka, dwudziestopięcioletnia właścicielka delikatesów, i jej narzeczony Michał Kornaś, dwudziestosiedmioletni dziennikarz i wydawca lokalnej gazety. Po nich Róża Kalicka - biologka i botaniczka - opowiedziała o uprawianym z miłością przydomowym ogródku, Julianna Makowiecka bez końca perorowała o pasji do książek, nie wspominając ani słowem o swoim wieku, a komendant Antoni Korytko z dumą zaprezentował swoje policyjne dystynkcje i odrobinę się odmłodził, przyznając się do pięćdziesięciu ośmiu z przeżytych

pięćdziesięciu dziewięciu lat. Na końcu zaś głos zabrał burmistrz, który poza funkcją sprawowaną od dwóch dekad pochwalił się pięćdziesięcioma latami doświadczenia życiowego.

Barnaba Mischczuk odetchnął z wyraźną ulgą, kiedy prezentacja została zakończona, był

to bowiem znak, że nadeszła pora prawdziwej zabawy. Na stół wjechały karafki z winem i atmosfera zaczęła się rozluźniać. Agata, która na tę część czekała ze szczególną niecierpliwością, przysunęła się bliżej Mischczuka, żeby wypytać go dokładnie o poszczególne rodzaje i odmiany winogron. Mischczukowi bardzo to było w smak, bo na ten temat mógłby mówić bez końca. Oczywiście nie o suchym pysku, gardło przecież zwilżać trzeba, najlepiej dobrym winem.

Do zwilżania gardeł wszyscy zabrali się z wyjątkowym zapałem, wskutek czego po dwóch godzinach nie było komu słuchać historii winnicy i winiarskich tradycji Mischczuka.

Frapujący Agatę temat musiał zatem poczekać co najmniej do śniadania, po którym w planie imprezy znajdowało się zwiedzanie winnicy. Rozochoceni degustacją goście z radością przyjęli po butelce wykwiutnego trunku ze szczepu regent rozdawanego lekką ręką przez Michała Kornasia stojącego najbliżej regału, na którym przygotowano upominki, po czym zniknęli w pokojach.

Agata zasnęła w chwili, w której jej głowa dotknęła poduszki, nawet nie patrząc w stronę eleganckiej butelki z zielonego szkła. Nie słyszała też kłótni, która odbywała się za ścianą, ani odgłosów miłosnych uniesień dochodzących z drugiej strony.

Rozdział VI.

Nie ta Śródka, imbecyłu

Śniadanie zaczęło się o siódmej rano, co obwieścił przyprawiający o zawał serca dźwięk ogromnego gongu umieszczonego w najefektowniejszym akustycznie miejscu pensjonatu.

Śródka zerwała się jak oparzona i przez chwilę nie mogła przypomnieć sobie, gdzie się znajduje.

Echo piekielnego brzdęku jeszcze długo rozbrzmiewało w jej uszach. Umyła zęby, narzuciła na piżamę szlafrok frotté w kolorze rubinu i podreptała do jadalni, czując, jak jej kiszki grają już nie tylko marsza, ale wręcz radosnego oberka. Miała nadzieję, że kucharze Miszczuka potrafią przyrządzać jajecznicę, w przeciwnym razie sama pójdzie do kuchni i pokaże im, jak się robi śniadanie po polsku.

W jadalni zajęte były dwa stoły - przy jednym beztrąsko plotkowały Patrycja Żmuda, Grażynka i Róża Kalicka. Przy drugim siedzieli uśmiechnięty jak zwykle Barnaba, dostojna jak zawsze Leokadia, przystojny jak nigdy dotąd Ludwik Bury i wyglądająca jak siedem nieszczęść Mariola Santini. Jej platynowe kosmyki zdawały się żyć własnym życiem zupełnie niezależnym od głowy, na której wyrosły; wczorajszy makijaż pozostawił efekt pandy, a mina pisarki zdradzała pokaźny deficyt snu. Śródka pomyślała szybko, że w odróżnieniu od niej Madziaczek musiała swoją butelkę wina wydoić do dna. I teraz z pewnością bardzo tego żałuje. Dobrze jej tak!

Ku zadowoleniu Agaty kucharze zatrudnieni w restauracji należącej do winnicy doskonale znali się na swoim fachu i jajecznicą smakowała tak, jak powinna. Frankfurterki i biała kiełbasa też były niczego sobie, podobnie jak sałatka z pomidorów malinowych, których zapach przywoływał wspomnienie szczęśliwych wakacji spędzanych w dzieciństwie na wsi u dziadków.

Ciepły jeszcze chleb przyjemnie rozpływał się w ustach, kojąc zmysły.

Tuż przed ósmą w jadalni zjawili się kolejni głodni goście – najpierw Julianna Makowiecka w pełnym rynsztunku i nieskazitelnym makijażu, Anna Pawełka z narzeczonym, a zaraz po nich Antoni Korytko rozprawiający z Romanem Pajorem o jakichś urzędowych sprawach miasteczka. Makowiecka ze smutkiem stwierdziła, że żadna z osób towarzyszących Mischukowi przy stole nie kwapi się do zwolnienia miejsca, musiała więc usiąść obok Śródki wraz z Pajorem i Korytką. Pawełka i Kornaś tymczasem zajęli stolik w rogu pomieszczenia i oddali się omawianiu planów wesela.

Kiedy zagrzmiał drugi gong – tym razem oznajmiający koniec śniadania – na dole wciąż brakowało Robusia, wyglądało jednak na to, że nikt poza Agatą nie zwrócił na to uwagi. „Dorosły jest – myślała. – Nie chce jeść, to będzie głodny”. Tyle że Robert zwykle wstawał wcześniej i to on w trakcie trwania ich małżeństwa odpowiadał za poranną kawę.

Śniadający goście zaczęli nieśpiesznie opuszczać jadalnię i pojedynczo lub parami wracali do pokoi, żeby przygotować się do zwiedzania winnicy. Na schodach Śródkę dogonił Antoni Korytko. Grzecznie zagadnął ją o samopoczucie i wrażenia z poprzedniego wieczoru.

- A, dziękuję – odpowiedziała pogodnie Agata. - Spałam jak kamień. Bardzo wygodne te łóżka, muszę koniecznie zapytać Barnabę, gdzie kupił materace.

- Zazdroścę ci... - odparł bez krztyny złośliwości policjant.
- Ja praktycznie nie zmrużyłem oka przez te hałasy.

- Hałasy? - Śródka zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na Korytkę ze zdziwieniem. -

Naprawdę ktoś hałasował? Nic nie słyszałam!

- Szczęściara.

Weszli na piętro i skręcili do lewego skrzydła, w którym znajdowały się ich pokoje.

Agata zatrzymała się przed trzecimi w kolejności drzwiami i zaczęła gmerać w kieszeni w poszukiwaniu karty. Korytko ruszył dalej, minął dwa pokoje i nagle się zatrzymał. Zrobił trzy kroki do tyłu i stanął przed uchylonymi drzwiami pokoju sąsiadującego z sypialnią Agaty.

Śródka z zaciekawieniem przyglądała się poczynaniom policjanta, na chwilę rezygnując z przetrząsania przepastnych kieszeni szlafroka.

- Co się dzieje? - rozległ się dźwięczny głos Ludwika Burego, który właśnie pojawił się w korytarzu.

- Czyj to pokój? - odpowiedział pytaniem Korytko, wskazując głową na niedomknięte drzwi.

- Zdaje się, że państwa Śródków - wyraził przypuszczenie ksiądz.

- Musimy tam wejść i sprawdzić, czy z Robertem wszystko w porządku.

- Myślisz, że umarł z głodu? - zażartowała Agata.

- Drzwi są uchylone, a nie pamiętam, żeby wcześniej były. - Policjant zignorował niesmaczny dowcip restauratorki, wyraźnie już snując śledczą teorię.

- Może zamek nie chwycił - podsunął Bury.

Korytko postanowił działać. Dywagacje na nic się nie zdadzą, instynkt nakazał mu sprawdzić i zyskać całkowitą pewność, że wszystko jest w porządku. Z zawodowym

profesjonalizmem uchylił drzwi łokciem, uważając, żeby nie zostawić na nich odcisków palców, na wypadek gdyby okazało się, że ktoś te drzwi z jakiegoś powodu będzie musiał zbadać.

Komfortowy pokój typu deluxe, w którym zatrzymali się nowożeńcy Śródkowie, wyglądał zasadniczo jak każdy inny. Po otwarciu drzwi oczom Korytki i zaglądnącej mu przez ramię Agaty ukazał się przestronny apartament z częścią dzienną i niewidoczną na pierwszy rzut oka, ukrytą za ścianką sypialnią. Przy drzwiach stała toaletka z dużym lustrem mogąca również pełnić funkcję biurka, obok niej ustawiono dwa fotele oddzielone od siebie stolikiem kawowym.

Korytko z uczeptioną jego ramienia Agatą skierował się ku sypialni, ostrożnie stawiając kroki na miękkiej wykładzinie.

Szerokie dwuosobowe łóżko pozostawiono w nieładzie, po Robercie zaś nie było śladu.

Agata poczuła nieprzyjemny ucisk w gardle, a serce zaczęło jej walić jak opętane. Korytko bezszelestnie niczym kot obszedł łóżko i zatrzymał wzrok na leżącej pod nim butelce wina.

Wokół niej wykwitła sporych rozmiarów brunatnoczerwona plama, na której widok Śródka pisnęła w panice.

- O matko! Mam déjà vu! - wyszeptała, mając na myśli pamiętną kałużę powstałą po zniszczeniu dyniowego tortu o imieniu Claude.

- Nie ty jedna - odparł cicho Korytko i spojrzał jej w oczy. - Zostań tu, Agato, ja zajrzę do łazienki.

Śródka potulnie kiwnęła głową i zastosowała się do polecenia, starając się nie wpadać w panikę. Komendant podszedł do drzwi łazienki, które okazały się tylko przymknięte.

- Agato, idź na dół i zawołaj Barnabę - polecił tonem nieznośnym sprzeciwu, zarezerwowanym dla spraw służbowych. - I niech natychmiast przyjdzie tu Ludwik.

Proboszcz pojawił się nawet szybciej niż natychmiast, cały czas bowiem stał w progach, oczekując na rozwiązanie zagadki. Nie takiego rozwiązania jednak się spodziewał.

Na wyłożonej ceramicznymi kafkami posadzce łazienki leżało twarzą w dół ciało mężczyzny odziane w kraciatą bawełnianą piżamę. Ręce zgięte w łokciach sprawiały wrażenie, jakby leżący stracił siły przy próbie podniesienia się. Purpurowo-siną głową spoczywała w kałuży wymiocin kolorem przypominających płamę na dywanie obok łóżka. Robert Śródka ewidentnie nie umarł z głodu.

Agata zbiegła na dół, gdzie zaalarmowała wszystkich, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Ze strzępków wyrzucanych przez nią słów nie dało się zrozumieć absolutnie niczego poza tym, że ktoś koniecznie musi iść do pokoju Roberta Śródki. Było oczywiste, że najlepszą kandydatką jest Grażynka, jednak ciekawość i atmosfera sensacji sprawiły, że wszyscy ruszyli sprintem, niemal łamiąc sobie nogi na schodach. Wszyscy poza Leokadią, której wiek, a może przede wszystkim godność nie pozwoliły robić z siebie pajaca.

Pierwsza na plecach Korytki wylądowała Grażynka, której na widok piżamy Robusia w burgundowej kałuży na chwilę odebrało oddech. Tylko dzięki temu nie zaczęła się drzeć wniebogłose. Ludwik Bury zareagował instynktownie i chwyciwszy dziewczynę za łokieć, zaciągnął ją na fotel, gdzie rozpoczął pojenie jej wodą, żeby przypadkiem nie zemdląca.

Barnaba Mischuk pojawił się na miejscu zbrodni tuż po Grażynce i zobaczywszy upiornie bladą dziewczynę, natychmiast zatrzasnął drzwi do pokoju.

- Co tu się, u diabła, wydarzyło?! - rzucił w kierunku księdza.

- Śródka nie żyje.

- Jak może nie żyć, skoro przed chwilą gorączkowała się w jadalni, nie mogąc wydusić ani jednego zrozumiałego dla ogółu

słowa?

- Nie ta Śródka, imbecylu - syknął ksiądz. - Ten Śródka.
Robert Śródka.

- O cholera! - stropił się winiarz. - Gdzie?

Ksiądz wskazał w stronę sypialni i łazienki ruchem głowy, ręce miał bowiem zajęte podawaniem Grażynce szklanki z wodą. Tymczasem z korytarza dobiegały podniesione głosy osób, które domagały się natychmiastowego wpuszczenia do środka. Właściciel winnicy wszedł do sypialni, a następnie stanął obok Korytki.

- Co myślisz, Antek? - odezwał się szeptem.

- Dzwonię po prokuratora. Pogotowie już jedzie.

Rozdział VII.

Wszyscy jesteście rodziną

Do czasu przybycia lekarza teorii na temat tajemniczego zdarzenia w apartamencie małżeńskim było już więcej niż autorów. Niektórzy wykazywali się wyjątkową kreatywnością i formułowali po kilka niekiedy wzajemnie wykluczających się tez. Za sugestią burmistrza Pajora niedopuszczeni do miejsca zbrodni goście wrócili do jadalni, gdzie dołączyli do Leokadii nieśpiesznie popijającej kawę.

- Pewnie się schlał do nieprzytomności i udławił - wyraziła swoją opinię Anna Pawełka, przypominając sobie historię swojego ojca, którego choroba alkoholowa zaprowadziła do grobu w wieku zaledwie czterdziestu trzech lat.

- To raczej wåtpliwe - odparła Agata odruchowo. - Robert nie miał problemów z alkoholem.

- Może po prostu o tym nie wiedziałaś? - zastanawiała się głośno Patrycja Żmuda.

- Albo zaczął pić dopiero po rozwodzie? - dodała cicho Julianna Makowiecka.

- Bzdura! - orzekła Leokadia. - Robert Śródka nie był alkoholikiem. Już prędzej ta jego, pozał się Boże, żona.

- Myśli pani, że Grażynka to chlor? - zdziwił się Kornaś.

- *Oh mon Dieu*, to najlepsza wiadomość od dawna! - Uśmiech na ustach Agaty oślepiły nawet niewidomego.

- Przecież wcale tego nie wiemy! - zaoponował Roman Pajor.
- Łatwo jest rzucić kamieniem, ale leczyć guzy i siniaki trudniej.

- A co ty się taki chrześcijański zrobiłeś, Romuś? - zaszydziła starsza dama z błyskiem w oku. - Czyżbyś poczuł potrzebę nawrócenia w obliczu nagłej śmierci?

- No co też ciocia! - Pajor wyglądał na szczerze oburzonego. Policzki mu drgały, żyła na środku czoła wyraźnie pulsowała. - Tak ciocia mówi, jakbym wiódł życie co najmniej libertyna.

Bardziej niż ów libertynizm zaintrygowała Agatę nieoczekiwana koligacja, o której ani Leokadia, ani Pajor, ani Miszczuk nie zająknęli się słowem. Postanowiła jednak zapytać o to nieco później.

Poza chorobą alkoholową w wyścigu o odgadnięcie *qualitas mortis* wymieniano atak serca w trakcie miłosnych igraszek, udar mózgu w wyniku małżeńskiej kłótni, roztrzaskanie sobie głowy pod prysznicem przez pijanego w sztok Śródkę (choć nikt nie miał pewności, czy rzeczywiście był pijany) i wreszcie uduszenie Robusia przez Grażynkę za niewierność, której to teorii kibicowała Agata.

Po przybyciu lekarza z sanitariuszami atmosfera w jadalni zaczęła się robić nerwowa.

Miszczuk, Bury i Korytko nie wyszli z pokoju przez cały ten czas, podobnie jak Grażynka. Agatę bardziej niż tajemniczy wypadek byłego męża denerwowała myśl, że znów nie uda jej się uzyskać informacji na temat sztuki winiarskiej, po które właściwie przyjechała. W skrytości ducha miała nadzieję, że to jednak Grażynka zamordowała Robusia, z zazdrości; przynajmniej sprawiedliwość dziejowa by zatriumfowała.

Tuż przed południem sanitariusze wywieźli zapakowane w czarny worek ciało Roberta Śródki, a lekarz sprowadził po schodach bladą jak śmierć Grażynkę. Natychmiast zajęły się nią Julianna Makowiecka z Anną Pawełką, sadzając młodą wdówkę daleko od Agaty. Medyk oddalił się na chwilę z telefonem przy uchu, a po kilku minutach w jadalni zjawili się Ludwik Bury, Barnaba Miszczuk i Antoni Korytko. Ten ostatni

spojrzał z ukosa na restauratorkę, jednak nie odezwał się ani słowem. Poza dochodzącym z holu głosem lekarza w całym budynku panowała iście grobowa cisza.

Nagle w prowadzącym do jadalni korytarzu zadudniły rytmiczne kroki i wszyscy podnieśli głowy. Uchylone drzwi otworzyły się raptownie i oczom zgromadzonych gości ukazał się młody mężczyzna, przy którym Ludwik Bury wyglądał jak ubogi krewny. Grażynka na jego widok zatrzepotała długimi rzęsami, chwilowo zapominając o trawiącym ją nieszczęściu. Nowo przybyły poza efektowną urodą wniósł do jadalni powiew czegoś, co nie dało się wprost zdefiniować. Agata Śródka poczuła, że oto właśnie pojawił się ktoś, przed kim żadna tajemnica się nie ukryje, z kim wszystko jest możliwe i w kim lepiej mieć przyjaciela niż wroga.

Młodzieniec rozejrzał się uważnie, na nikim nie zatrzymując wzroku, po czym kiwnął głową do Korytki.

- Szanowni państwo, proszę o uwagę - zagrzmiął dźwięczny baryton komendanta. - Jak już zapewne zdążyliście się zorientować, w Gościnnej Dolinie miała miejsce tragedia.

Korytko zrobił pauzę, żeby mógł wybrzmieć pomruk zwykle towarzyszący tego typu rewelacjom, jednak tym razem nic takiego nie nastąpiło. Goście mieli dość czasu na omówienie wydarzeń, wliczając w to amatorskie próby rozwiązania zagadki. Policjant starannie ukrył rozczarowanie i kontynuował:

- W przypadku nagłej śmierci wszczynane jest z urzędu dochodzenie i z tego właśnie powodu na miejscu zjawił się prokurator, pan Błażej Omkły.

Piękny jak z obrazka młodzieniec uklonił się nisko i podziękował Korytce za wprowadzenie. Sam, przynajmniej na razie, nie zamierzał nic mówić. Agata była bardzo ciekawa, czy czar Brada Pitta pryśnie wraz z otwarciem przez prokuratora ust, musiała jednak jeszcze zaczekać. Mężczyzna ruszył w

stronę schodów, a po chwili dołączył do niego komendant. Tym razem Miszczuk i Bury zostali na dole.

Gdy policjant z prokuratorem zniknęli z pola widzenia, w jadalni rozpętało się piekło.

Wszyscy rzucili się na winiarza i księdza, żądając natychmiastowych informacji. Jedynie dwie Śródki – Agata i Grażynka – zostały na swoich miejscach, pogrążone w myślach. Myśli Agaty orbitowały wokół marzeń o winnicy, do których ziszczenia wcale się nie zbliżyła. Przeszło jej nawet przez głowę, żeby wyslizgnąć się tylnymi drzwiami i pójść obejrzeć uprawy Miszczuka, szybko jednak zarzuciła ten niedoskonały plan, przypomniawszy sobie, że jest listopad, a ona jest w szlafroku. W końcu z zadumy wyrwała ją prowadzona podniesionymi głosami dyskusja.

– Myślicie, że ktoś go, no wiecie, przeprowadził na tamten świat? – pytał Michał Kornaś, zupełnie nie kryjąc zżerającej go ciekawości.

– Co ty mówisz, kochanie? – szeptała Pawełka, trzymając się za czoło. – Nawet nie żartuj w ten sposób. Przecież on już miał swoje lata, pewnie serce mu wysiadło.

– Jak ci nie wstyd, Aniu? To był zupełnie młody człowiek! – oburzyła się Patrycja Żmuda.

– Nie przesadzajmy, młoda żona nie zrobiła z niego nagle trzydziestolatka – powiedziała cierpko Leokadia. – To prawda, że do mnie brakowało mu ze trzech dekad, ale o młodości to on już raczej zdążył zapomnieć. Państwo mają dzieci, prawda? – zwróciła się do Agaty.

– Tak, córkę i syna, już dorosłych – potwierdziła Śródka. – I pięcioro wnucząt. O Boże, jak ja im powiem, że dziadek umarł ujeżdżany przez tę zdzirę?

– Coś ty powiedziała, stara raszplo?! – Stylistka paznokci zerwała się z krzesła, żeby wydrapać Agacie oczy, na szczęście

w porę udało się ją obezwładnić. - Zobaczysz, jeszcze tego pożałujesz - syknęła.

- Nie strasz, nie strasz, bo się... już ty wiesz co - burknęła Agata zupełnie nieprzejęta atakiem, którego cudem uniknęła.

Jakoś to wszystko po niej spływało. Trochę dziwnie, ale z dwojga złego lepiej nie czuć nic niż wic się na podłodze z rozpaczy. Zwłaszcza w rubinowym szlafrocisku, który pierwszorzędnie zbiera wszystkie śmieci z wykładciny.

Zarówno Barnaba, jak i ksiądz dyplomatycznie unikali odpowiedzi na bezpośrednie pytania o znalezione w łazience zwłoki. Nie wspomnieli nawet, że znaleźli je w łazience -

Korytko wydał im polecenie trzymania gąb na kłódki, a jemu woleli się nie narażać.

Pogrążona w myślach Agata nie zauważyła, kiedy minęło ją dwóch policjantów w mundurach, nie zwróciła też uwagi na odzianych we flizelinowe kombinezony techników kryminalistycznych. Z otępienia wyrwało ją dopiero dziwne uczucie w okolicach kości krzyżowej, oznajmujące zdrętwienie pośladków, które przez niemal dwie godziny nie zmieniły ułożenia. Podniosła się z trudem i poczłapała do kuchni w poszukiwaniu kubka na kawę.

Za wahadłowymi drzwiami wrzało jak w ulu. Kucharze i ich pomocnicy kręcili się między parującymi garami, radośnie uprawiając plotkarstwo, dzięki czemu nie zwrócili uwagi na intruza. Wprawne oko Śródkki natychmiast wyłowilo szefa kuchni i osobnika, który pełnił funkcję sous-chefa. Poza nimi dostrzegła trzech pomocników, czworo kelnerów oraz jedną dziewczynę w fartusisku i ją właśnie wybrała sobie na sprzymierzeńca. Poprawiła poluzowany pasek szlafroka, po czym ruszyła w kierunku dzierlatki zajętej krojeniem warzyw i wrzucaniem ich do ogromnej miski.

- Psssst - wyszeptała nad ramieniem dziewczyny. - Ładny chabaż.

- Co? A, pietruszka. - Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. - Sama wybierałam, pan Barnaba ma fioła na punkcie świeżych ziół i warzyw. Codziennie muszę jeździć do Macewa.

- Do Macewa? - zdziwiła się Agata. - Przecież to z pięćdziesiąt kilometrów stąd!

- Dokładnie pięćdziesiąt dwa. - Dziewczyna pokiwała głową.
- Wstaję o czwartej i jadę.

Ale przynajmniej szef jest zadowolony.

- Bardzo słusznie, popieram z całego serca, ja też byłabym zadowolona. Czyli rozumiem, że dzisiaj obiad będzie normalnie, nie każą nam jechać do domów?

- Ależ skąd! Z tego, co mi wiadomo, wszyscy musimy tu zostać i nie ma pewności, czy jutro wrócimy do siebie. Prokurator zdecyduje.

- Jak to „my”? To pani też do domu nie wraca? - Agata poczuła dreszczyk ekscytacji, a dziewczyna wyglądała na chętną do pogawędki. - Może zrobi sobie pani przerwę i napijemy się kawy w kąciku? - zaproponowała jakby nigdy nic.

Dziewczyna rzuciła szybkie spojrzenie na swoich szefów, po czym wskazała Śródce głową stolik w rogu, tuż obok spiżarni, idealnie zasłonięty przed wzrokiem kucharzy. Wcisnęła guzik ekspresu do kawy, podstawiła dwie filiżanki i po minucie przysiadła się do czekającej na nią restauratorki w rubinowym szlafroku, która ciekawie rozglądała się po kuchni z zadowoloną miną.

- Pani jest tą nową właścicielką pałacyku w Gościńcu, prawda? - szepnęła pomocnica kuchenna.

Agata pokiwała głową, mieszając łyżeczką w filiżance, do której wrzuciła trzy kostki cukru.

- Agata - odparła, pokazując na siebie. - Nie musisz mi mówić „pani”.

- Marta. - Dziewczyna wyciągnęła do niej rękę. - Marta Kopczyńska, mieszkam w Gościńcu, a od roku pracuję w winnicy. To znaczy w restauracji, a mój tatuś zajmuje się winnicą, jest ogrodnikiem.

- Naprawdę? - Śródka przestała mieszać kawę i spojrzała w oczy dziewczynie. - I zna się na tych wszystkich nawożeniach, podcinaniach i całej reszcie?

- No jasne, że się zna! - Marta zaśmiała się perliście. - Zajmuje się tą winnicą od dnia jej powstania. Wszystkie krzaczki sadził własnymi rękami. Codziennie ich dogląda.

- Może zgodziłby się mnie oprowadzić i co nieco opowiedzieć? - zastanawiała się głośno restauratorka. - Jak myślisz, Marto?

Dziewczyna nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ tajna przerwa kawowa została brutalnie przerwana przez szefa kuchni.

- A co tu się wyprawia? Nikt ci nie płaci za picie kawy, tylko za jej przyrzędanie. O, bardzo przepraszam, pani Agato! - Rozpoznawszy w Śródce swoją idolkę, kucharz momentalnie okrył się rumieńcem. - Dlaczego nie siedzi pani z resztą gości? Chyba nie robi tu pani audytu?! -

jęknął, po czym zakrył usta dłonią.

- Skądże! - zapewniła Śródka. - Jestem tu wyłącznie w charakterze gościa. Proszę się mną zupełnie nie przejmować. Tak sobie wpadłam na pogawędkę z Martą.

- Nie miałem pojęcia, że się znacie. - W jego głosie zabrzmiała nutka przygany.

„Gdyby wiedział, pewnie postarałby się bardziej, choć przecież i tak poza czerniną nie było do czego się przyczepić” - pomyślała Agata.

Przypomniawszy sobie makabryczny obraz pokrytej krwią twarzy Roberta, a następnie płamę wina na dywanie w jego

pokoju, poczuła, jak jeżą się jej włosy na karku. Nad wyraz rozwinięta intuicja nagle zaczęła ją przestrzegać przed czymś okropnym. Przed czymś, co dopiero miało się zdarzyć, choć już się zapowiedziało. Najpierw Claude, teraz Robert. Co, u licha, wyprawia się w tej zapomnianej przez bogów dziurze? I dlaczego wokół niej?

- Agato! - Marta Kopczyńska potrzasała ramieniem Śródki, usiłując wyrwać ją z transu.

- Agato, halo, tu Ziemia! Otrząśnij się!

- Podajcie tu wody, tylko szybko, na jednej nodze! - krzyknął szef w głąb kuchni. -

Dobrze się pani czuje?

- Co? Ja? Dobrze... - wymamrotała Agata, choć jej wyglądem temu przeczył. - Boję się.

- Czego się boisz? - Dziewczyna wytrzeszczyła na nią oczy. - Przecież nic ci tu nie grozi.

- A co lub kto groził Robertowi? - zapytała cichutko Śródka.

- Nikt mu nie groził, to na pewno był jakiś tragiczny wypadek - odpowiedział pewnym tonem kucharz, podając Agacie szklankę z wodą. - Niech pani pije, małymi łykami, bo zimna.

- Dziękuję - szepnęła i zanurzyła usta w lodowatym płynie. - Wypadek? To się okaże.

Ale coś mi mówi, że niekoniecznie.

- Daj spokój, Agato. U nas nie zdarzają się morderstwa. My tu wszyscy jesteśmy niemal jak jedna wielka rodzina - zapewniła Marta, choć w jej głosie pobrzmiwała nutka zwątpienia.

Ziarno strachu zostało zasiane.

- Ja mam wrażenie, że wy naprawdę jesteście jedną wielką rodziną, z tą całą Leokadią na czele.

- Jest w tym trochę prawdy - potwierdził szef kuchni z rozbijającą szczerością. -

Jeszcze trzy, cztery pokolenia temu Gościniec znajdował się w rękach protoplastów pani Leokadii. Ona sama odziedziczyła większość nieruchomości w miasteczku i jest właścicielką winnicy. Oczywiście zapisała ją Barnabie w testamencie, ale dopóki żyje, wszystko należy do niej. - Kucharz, najwyraźniej niezły gaduła, przysunął sobie krzeselko i ulokował się obok Agaty.

- A nawet po jej śmierci winnica wcale nie musi zostać w rękach Mischzuka - dodała Marta i puściła do Agaty oko. Pochyliła się do przodu, a tamci dwoje poszli jej śladem. -

Podobno, ale nie wiem tego na pewno, pani Leokadia obwarowała spadek dla Barnaby.

- Poważnie? I co miałyby niby zrobić? - Agata odzyskała już naturalny kolor i gołym okiem było widać, że czuje się lepiej.

- Wieść gminna niesie, że musi się ożenić. I to nie z byle kim, tylko z kimś, kto pomoże rozwinąć interes i powiększyć majątek. - Z kimś takim jak...? - zastanawiała się Śródka, odsuwając od siebie oczywisty wniosek.

- Z kimś takim jak pani - potwierdził jej domysł szef kuchni. - Jest pani właścicielką jednej z najdroższych nieruchomości w Gościńcu, zna się pani na prowadzeniu restauracji.

Doskonała partia.

- Pani Leokadia raczej by się z tym nie zgodziła - powątpiewała Agata. - Wczoraj wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie zostaniemy przyjaciółkami.

- To jej standardowe zagranie. Sprawdza cię! - Marta zachichotała. - Ona zawsze traktuje ludzi paskudnie, żeby się przekonać, jacy są naprawdę. Wystarczy nie dać się sprowokować.

- Dobrze sobie! Wdałam się z nią w dyskusję o polskości. Też mi patriotka. Nie każdy musi lubić czerninę.

- Ha, ha, ha. Ona też jej nie znosi. Myślę, że cię polubiła.

- Mnie tam wcale nie zależy - zachnęła się Agata. - Nie zamierzam powiększać schedy Miszczuków czy tam Schmidtów.

Przyjemną pogawędkę przerwało nagle wtargnięcie do kuchni właściciela winnicy.

Ujrawszy Agatę przy stoliku, Barnaba odetchnął z ulgą.

- Wszędzie cię szukam! Aleśmy się przez ciebie strachu najedli!

- Strachu? A co się stało? - przejęła się właścicielka rubinowego szlafroka. - Ja tu sobie grzecznie kawę piję i czekam, aż pozwolicie mi się przebrać.

- Chodź szybko do jadalni, Antoni chce z tobą porozmawiać - rzucił Miszczuk i zniknął za drzwiami.

Agata podziękowała nowym znajomym za przyjemnie spędzony czas i nieśpiesznie podreptała do jadalni. Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej móc się przebrać i znaleźć ojca Marty. Może nawet udałoby się go podkupić?

Rozdział VIII.

Przepraszam, czy coś mnie ominęło?

W jadalni panowała grobowa cisza przerywana pociąganiem nosa i cichym urywanym szlochem Grażynki. Na dźwięk kroków Agaty wszystkie głowy się podniosły, wbijając w restauratorkę zaciekawione spojrzenia. Śródka przycupnęła na pierwszym wolnym krześle i czekała na rozwój wydarzeń, myśląc tylko o tym, jak tu przydybać ogrodnika. Głos zabrał

Antoni Korytko siedzący obok prokuratora:

- Na prośbę prowadzącego postępowanie niniejszym informuję, że wszyscy jesteście podejrzani.

Śródka ryknęła śmiechem, zanim zdążyła się pohamować.

- Agato? Dobrze się czujesz? - Miszczuk wyraźnie zaniepokoił się o stan psychiki restauratorki.

- Doskonale, doskonale! - Śródka wciąż zanosila się śmiechem. - Ale... ha, ha, ha... wszyscy... ha, ha, ha... to jest przecież... ha, ha, ha, ha, ha, ha... to jest tytuł mojej ulubionej książki!

Julianna Makowiecka uśmiechnęła się pod nosem, przypomniawszy sobie jedną z powieści Joanny Chmielewskiej. Rzeczywiście, szacowny komendant niefortunnie dobrał słowa. Pozostali goście najwidoczniej nie byli wielbicielami komedii kryminalnych, siedzieli więc w odrętwieniu, czekając na ciąg dalszy.

- Ekhm... - odchrząknął Korytko, ignorując niestosowne zachowanie Śródki. -

W związku z tym, że nikt z nas nie jest wolny od podejrzeń - łyknął okiem na Agatę - wszyscy jesteście proszeni o pozostanie na terenie winnicy do czasu zakończenia śledztwa.

- Czy to znaczy, że jesteście aresztowani? - zaniepokoiła się Anna Pawełka. - Ja mogę zostać do jutra, ale w poniedziałek powinnam otworzyć sklep.

- Nikt nie jest aresztowany - odezwał się dźwięcznym głosem olśniewająco przystojny prokurator. - Musimy z każdym z państwa porozmawiać, zachodzi bowiem wysokie prawdopodobieństwo, że na terenie winnicy doszło do morderstwa.

Tym razem pomruk, którego poprzednio oczekiwał Korytko, rozległ się natychmiast. Co innego żartować na temat śmierci wskutek miłosnych harców, a co innego być podejrzany o dokonanie zbrodni.

- Czy wszyscy rozumieją powagę sytuacji? - zagrzmiął komendant, nie zważając na ogłuszający efekt, który udało mu się osiągnąć. - Jest więcej niż prawdopodobne, że morderstwo popełniła jedna z obecnych tu osób. I dopóki nie ustalimy która, nikt z nas nie może opuścić winnicy. Proponowałbym zatem przyznać się już teraz.

- Jak śmiesz! - warknął Michał Kornaś. - Jak śmiesz oskarżać nas o tak obrzydliwą rzecz?

- Dlaczego, Antoni, uważasz, że mógł to zrobić każdy z nas? - W głosie Leokadii nie było słyhać zdenerwowania, to celne pytanie zadała takim tonem, jak gdyby stwierdzała, że jest sobota.

- Właśnie! - poparła ją Julianna Makowiecka. - W jaki sposób mogliśmy zamordować pana Roberta w jego pokoju, skoro nikt z nas tam nie wchodził?

- Tak samo jak nikt nie wchodził do kuchni... - mruknęła Agata, oparłszy brodę na dłoni.

- Co tam mówisz, Agato? - zainteresował się Korytko. - Coś o kuchni?

- No, tak mi się przypomniało, że mojego Claude'a też nikt nie mógł zamordować, a jednak ktoś to zrobił.

- Święta racja! - przypomniała sobie Róża Kalicka.

- Przepraszam, czy coś mnie ominęło? - wtrącił prokurator o niezbyt szczęśliwym nazwisku. - Mam rozumieć, że to kolejne morderstwo w tym gronie?

Zanim prokurator Omkły usłyszał historię niewyjaśnionego aktu wandalizmu i dwa razy upewnił się, że chodzi o produkt spożywczy, a nie o żywego człowieka narodowości francuskiej, w kieszeni Agaty odezwał się telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer recepcji w pałacyku, postanowiła go więc zignorować. Zrobiła to jeszcze dwukrotnie, po czym zadzwonił do niej prywatny numer Michela.

- Czego?! - syknęła, schylając się niemal pod stół.

- Agato? Agato, thagedia się stała!

- No przecież wiem! Kolumb się znalazł od siedmiu boleści! Coś jeszcze? Bo zajęta jestem.

- No wiesz... Tobie naphawdę przydałby się dobhy psychiatha. Chociaż pewnie niewiele by pomógł. Ty jesteś sthacona.

- Dobra, dobra, przestań labidzić. Zadzwonię do ciebie, jak będę mogła, teraz jestem w trakcie przedstawienia. Żałuj, że cię tu nie ma. - Zachichotała na koniec, za co spotkało ją karcące spojrzenie Korytki.

Błążej Omkły ze spokojem przyjął rewelację o zdewastowaniu dyniowego arcydzieła Agaty Śródki, wykazując umiarkowane zainteresowanie. Zdecydowanie bardziej zaintrygowała go tajemnicza kartka przytwierdzona do noża

santoku, o czym zamierzał jeszcze porozmawiać z komendantem Korytką. Tymczasem musiał się skupić na obecnym dochodzeniu, które wysuwało się na pierwsze miejsce w hierarchii priorytetów. Podrapał się po nonszalancko ułożonej blond fryzurze, potarł zupełnie pozbawione zmarszczek czoło i rzekł:

- Poproszę teraz państwa o rozejście się do swoich pokojów. Będziemy wzywać was osobno. Jako pierwszą o rozmowę poproszę żonę.

- Którą? - zapytały równocześnie Agata z Grażynką.

Omkły spojrzali na Korytkę wzrokiem wyrażającym bezbrzeżne zdumienie.

- Ekhm, no tak... Tak się złożyło, że mamy tu dwie panie Śródki. Jedną eks, a drugą obecną - bąknął zawstydzony gafą policjant.

- Rozumiem - odparł spokojnie prokurator, choć widać było, że niezupełnie rozumie, tylko liczy na to, że zrozumienie przyjdzie w miarę szybko. - W takim razie poproszę najpierw obecną, a później... byłą żonę.

Agata skinęła głową i podniósłszy się z krzesła, podążyła na schody za pozostałymi gośćmi. Marzyła o zdjęciu szlafroka, który - mimo że bardzo wygodny - odrobinę niweczył jej plany. Przecież nie wylezie w szlafroku i bamboszach szlajać się między krzakami winogron. To dopiero byłaby heca.

W pokoju przebrała się w przygotowane wcześniej spodnium, bamboszek zamieniła na różowe lakierowane szpilki (do wyboru miała jeszcze tylko złote wysadzone cyrkoniami) i starając się nie hałasować, zeszła na dół drugimi schodami, które prowadziły prosto do wyjścia na winnicę. Minęła uśmiechniętą recepcjonistkę wesoło gaworzącą przez telefon komórkowy i jakby nigdy nic wyszła wprost do ogrodu, otuliwszy się szczelnie kaszmirowym szalem, który kobiecie jej postury mógłby służyć za koc.

Na zewnątrz panował ziąb, ale Agata zaliczała się do ludzi zimnolubnych i arktyczne klimaty wcale jej nie przerażały. Zdecydowanie wolałaby mieszkać na Spitsbergenie niż na afrykańskiej pustyni. Przygruntowe przymrozki doskonale utwardziły ziemię, dzięki czemu jedenastocentymetrowe obcasy nie wbijały się w nią zbyt głęboko. Rosnące równymi rzędami krzewy nie robiły takiego wrażenia, jakie robiłyby w czerwcu lub lipcu, jednak sięgające po horyzont pole i tak działało na wyobraźnię. Agata zatrzymała się na chwilę i rozejrzała dookoła z podziwem. Jej uwagę przykuł oddalony o kilkaset metrów ceglany budynek przypominający zabudowania folwarczne.

- To winiarnia - usłyszała za sobą. - Ten budynek, na który pani patrzy, to jest winiarnia.

- A, winiarnia - powtórzyła jak echo Śródka, przyglądając się nadchodzącemu w jej kierunku mężczyźnie. - A pan jest pewnie ojcem Marty?

- Zgadza się. - Wąsaty, siwy mężczyzna uśmiechnął się, a Agata natychmiast dostrzegła podobieństwo do córki. - Marek Kopczyński, bardzo mi miło. - Wyciągnął rękę, którą Agata uścisnęła. Podobał jej się - opalony, osmagany wiatrem, o błękitnych oczach, w których igrały wesole iskierki. Był postawny i wysoki, w jego gestach czuć było siłę.

- Agata Śródka - przedstawiła się. - Jestem nową właścicielką pałacyku w Gościńcu.

- Wiem, kim pani jest. Oglądałem prowadzone przez panią programy. Może przejdzie się pani ze mną? Muszę skończyć zabezpieczanie krzewów na zimę.

Śródka przyjęła propozycję z radością i ruszyła wzdłuż szpalerów prowadzona przez sympatycznego ogrodnika. Starła się słuchać uważnie, żeby wszystko zapamiętać i spisać po powrocie do pokoju.

- Przy sadzeniu winorośli trzeba pamiętać, że korzenie wytrzymują niewielkie mrozy, maksymalnie do ośmiu, dwunastu stopni. Głębokość dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu centymetrów całkowicie wystarcza, żeby je chronić przed mrozami, ale dobrze jest też obsypać nasady krzewu trocinami. Jeśli posadzi się je zbyt płytko, mogą przemarznąć, a te posadzone zbyt głęboko najczęściej słabo rosną. - Kopczyński zatrzymał się na końcu rzędu krzewów i pokazał

Agacie krzak róży. - Widzi pani?

- To taka forma ostrzeżenia, coś jak... raki w rzece: jeśli woda jest czysta, będą tam raki.

Jeśli w winnicy pojawi się jakaś choroba, najpierw zaatakuje różę i da czas na spryskanie krzewów winorośli. - Śródka zabłysnęła wiedzą zdobytą z ulubionych książek angielskiego miłośnika Prowansji.

- Doskonale! - pochwalił ją zdziwiony ogrodnik. - Jest pani pierwszą osobą, która to wie, zwykle Barnaba wszystkich zaskakuje. Interesuje się pani winiarstwem?

- Niedawno zaczęłam - odparła zgodnie z prawdą. - Chciałabym poznać je od kuchni, jeśli mogę się tak wyrazić.

- Proszę pytać, o co tylko pani chce. Mam nadzieję, że dzisiejsza wycieczka się odbędzie.

Co was tam zatrzymało?

Agata zorientowała się, że Kopczyński mógł jeszcze nie słyszeć o tragedii, skoro od rana podsypuje winorośl torfem. Zastanawiała się przez chwilę nad jakąś dyplomatyczną odpowiedzią, co w jej przypadku nie było rzeczą łatwą, po czym uznała, że najlepiej jednak walić prosto z mostu; przecież Kopczyński i tak się dowie.

- Mamy morderstwo. Tak przynajmniej mówi prokurator.

- Czyżby któryś krewny wreszcie wykończył ciotkę Leokadię? - wygłosił przypuszczenie ogrodnik, zupełnie

nieporuszony wiadomością.

- E tam, ona wszystkich przeżyje i będzie tańczyć na naszych grobach, zobaczy pan.

Mojego byłego męża wywieźli w czarnym worku, ale nie chcieli powiedzieć, jak zginął. Korytko z Barnabą wiedzą więcej, naradzali się na miejscu zbrodni godzinami.

- Pani go nie zabiła?

- Nie, skąd. Rozwiódłam się z nim i to mi wystarczy. Osobiście - ściszyła głos do szeptu - obstawiam młodą wdówkę.

- Myśli pani?

- Gdybym miała strzelać, postawiłabym na nią. Któż inny mógłby mieć motyw?

- A ona miała motyw? - Ogrodnik zatrzymał się i spojrzał Agacie w oczy.

- Ujmę to w ten sposób: mężczyzna, który poszukuje dodatkowych atrakcji, nigdy nie będzie wierny. A Robertowi atrakcje były potrzebne.

- To samo można powiedzieć o kobietach - odparł miękko Kopczyński. - Moja żona też nie potrafiła pozostać mi wierna.

Spacerowali przez chwilę w milczeniu, pogrążeni każde w swoich myślach, kiedy nagle dotarły do nich niewyraźne głosy. Agata przystanąła i zaczęła nasłuchiwać z uwagą.

- Oho, chyba ktoś pani szuka. - Ogrodnik uśmiechnął się szelmowsko. - Coś mi mówi, że pani nie bardzo lubi działać zgodnie z zasadami.

- *Un petit peu* - szepnęła Śródka i puściła oko do Kopczyńskiego. - Pójdę już, do zobaczenia! - Ruszyła rażno w stronę hotelu, zupełnie nie przejmując się marsowymi minami na twarzach czekających na nią stróżów prawa.

Rozdział IX.

Całe mnóstwo typów

- Gdzieś ty się znowu włóczyła?! - krzyczał Korytko, tym razem wzburzony do granic, kiedy restauratorka znalazła się w budynku. - Myśleliśmy, że coś ci się stało!

- A co miało mi się stać? Przecież nie jestem dzieckiem. - Szpilki Agaty stukały o posadzkę, a dźwięk roznosił się głuchym echem.

- Prosiłiśmy wszystkich państwa o pozostanie w pokojach do czasu, aż ich zawołamy - wyjaśniał spokojnie Omkły.

- Ale najpierw chcieli panowie rozmawiać z tą... dziewczuchą. Więc wyszłam do winnicy rozejrzeć się trochę.

- Nikomu nic nie mówiąc - wpadł jej w słowo Korytko.

- Musi pani przyznać, że to odrobinę niepokojące - ciągnął prokurator.

- Czy ja wiem? - Śródka zaiste nie widziała w tym nic niepokojącego.

- Agato, odrobinę powagi! - upomniał ją komendant.

Przywoławszy na oblicze najpoważniejszą minę, na jaką potrafiła się zdobyć, Agata podążyła w milczeniu za Korytką, planując już kolejną schadzkę z ogrodnikiem, którego wiedza była dla niej bezcenna. Knuła też plan podebrania go Mischczukowi, choć przytomnie zdawała sobie sprawę, że to zadanie może być trudniejsze niż obsadzenie tysiący metrów kwadratowych ziemi krzewami winogron. Póki nie spróbuje, to się nie dowie. Do odważnych świat należy, a jej akurat odwagi odmówić nie można. Może i jest mała, ale za to waleczna!

- Usiądźmy tutaj. - Prokurator wskazał ręką ustawione w kącie dwa fotele obite butelkowitzelonym aksamitem i pasującą do nich sofę.

Jak prawdziwi dżentelmeni panowie poczekali, aż Agata zajmie miejsce na kanapie, i dopiero sami usiedli. Śródka zajęła się czyszczeniem oblepionych ziemią różowych obcasów lakierowanych butów, niewiele sobie robiąc ze zdziwionych spojrzeń jej towarzyszy.

- Ekhm. - Omkły chrząknął delikatnie. - Pani Agato, czy możemy zacząć? Muszę przesłuchać pozostałych gości.

- Tak, oczywiście, proszę się mną zupełnie nie przejmować, ja mam idealnie podzieloną uwagę. Mogę z powodzeniem przyrządzać pięć dań w jednym czasie - pochwaliła się, nie przerywając szorowania chusteczką różowej szpilki.

- Skoro tak pani mówi... To zacznijmy. Dlaczego znalazła się pani w tym miejscu?

- Serio pan pyta? Przecież sam mnie pan tu przyprowadził, nakazał: zicen zi dupen, toteż siedzę.

Omkły zgrzytnął równiutkim uzębieniem, ale czoło wciąż miał gładkie jak niemowlę.

Przełknął ślinę, żeby przypadkiem nie wyskoczyć z jakąś ripostą, i odparł ze spokojem:

- Dlaczego znalazła się pani wczoraj w Gościnnej Dolinie?

- Zostałam zaproszona przez Barnabę.

- Wiedziała pani, że pan Robert Śródka również tu będzie?

- Gdybym miała choć cień zarysu podejrzenia, że mogłabym go tu spotkać, darowałabym sobie tę wątpliwą atrakcję.

- Czyli pani nie wiedziała? - upewnił się młodzieniec.

- Czyli.

- A sądzi pani, że pani małżonek...

- Były małżonek, panie prokuratorze. Jestem wolną kobietą.

- Śródka skończyła pucowanie obcasa i rozsiadła się wygodnie,

założywszy nogę na nogę, co wyglądało dość komicznie, biorąc pod uwagę, że ledwo dosięgała podłogi z głębokiego siedziska kanapy.

- Sądzi pani zatem, że pani BYŁY małżonek wiedział, że spotka panią w ten weekend?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Gdyby jednak wiedział i wciąż chciał przyjechać, znaczyłoby to, że jest głupszy, niż przypuszczałam. A może mi pan wierzyć, że nie mam najlepszego zdania o jego intelekcie.

Omkły uwierzył natychmiast, zresztą sam wyrabiał sobie podobną opinię, zwłaszcza kiedy poznał obie panie Śródki i uświadomił sobie, że to Grażynka zastąpiła Agatę, a nie odwrotnie. Widocznie nie na intelekt Robusia leciały te baby, wolno im przecież. Różnych Pan Bóg ma stołowników.

- A może jego małżonka wiedziała, że tu będziesz? Jak myślisz, Agato? - zapytał nagle Korytko, chyba głównie z ciekawości.

- Bo ja wiem? - Właścicielka różowych szpilek wzruszyła ramionami i zmieniła ułożenie nóg. - Raczej wątpię. Gdyby wiedziała, pewnie to ja leżałabym teraz w foliowym worze w jakiejś kostnicy.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, co nie uszło uwagi Agaty. Zmrużyła oczy i postukała paznokciem w lewą górną jędynkę.

- Myślicie, że to Grażynka zabiła Roberta? - zapytała konspiracyjnym szeptem. - A tak naprawdę chciała zabić mnie?

- Na razie niczego nie myślimy - odpowiedział prokurator wymijająco, oglądając swoje wypielęgnowane dłonie. - A pani?

- Nie ze mną takie numery, młody człowieku! - Tym razem do szeptu było daleko. -

Niech mnie pan nie bierze pod włos, ja niczemu nie jestem winna i w ogóle nic nie wiem o tej całej makabrze. Mogę panów

zapewnić, że nie miałam nic wspólnego ze śmiercią mojego byłego męża.

- Dobrze, już dobrze, uspokój się, Agato. - Korytko podjął próbę załagodzenia sytuacji. -

Pan prokurator miał na myśli to, czy podejrzewasz, kto mógłby życzyć śmierci panu Śródce.

Masz jakieś typy?

- Oooo, mój drogi, typów to ja mam całe mnóstwo. Począwszy od mojej świętej pamięci mamusi, na mężu pani z warzywniaka skończywszy. Mój małżonek miał spore problemy z utrzymaniem chuci na wodzy, niewykluczone, że komuś przestało się to podobać.

- Jak mniemam, ani pani świętej pamięci mamusia, ani mąż pani z warzywniaka nie gościli wczoraj na kolacji?

- Nie zauważyłam.

- Zatem: czy według pani któryś z gości mógłby mieć zatarg z panem Śródką?

Agata zastanawiała się przez chwilę, nie przyniosło to jednak żadnego skutku. Jej myśli uparcie wracały do ogrodnika, który był skarbnicą wiedzy i na pewno znał odpowiedź na każde nurtujące ją pytanie.

- Jestem niemal pewna, że Robert nie znał tu nikogo poza mną.

- Ekhm... - Korytko chrząknął znacząco i wlepił wzrok w kobietę.

- Czemu chrząkasz? Coś źle powiedziałam?

- To chyba nie do końca prawda - zasugerował policjant miękko. - Zdaje się, że jest tu wasza wspólna znajoma.

Agacie skojarzenie faktów zajęło chwilę, ponieważ ciągle pchały jej się przed oczy rozległe pola winorośli, w końcu jednak zaskoczyła.

- Madziaczek! - Pacnęła się w czoło. - *Mais oui*, masz rację! Zapomniałam o tej francy.

O, pardon, chciałam powiedzieć: damie.

- Na liście nie ma żadnej Magdaleny - rzucił zaniepokojony Omkły, przeglądając książkę meldunkową.

- Nie ma, nie ma, jest za to Mariola Santini. - Korytko postukał palcem w nazwisko na liście. - Pisarka. Naprawdę nazywa się Magdalena Piekarska.

- Jak to naprawdę? Przyjechała tu pod fałszywym nazwiskiem? - Prokurator najwyraźniej niewiele wiedział o zwyczajach panujących w świecie wydawniczym.

- Nie no, ona oficjalnie dla ludności nazywa się Santini, publicznie nie może występować pod własnym nazwiskiem z powodów reputacyjnych.

- A przynajmniej tak nam powiedziała - dodała Agata z domieszką jadu w głosie. - Ja tam nie do końca wierzę w tę historyjkę. Paszczy nie może pokazywać, żeby sobie problemów w pracy nie narobić, ale tutaj jakoś jej nie wstyd. Na pana miejscu, panie Błażeju, przyjrzałabym się jej w pierwszej kolejności.

- A pani powiązania z tą panią dokładnie jakiego są rodzaju?

- Zasadniczo to zaliczyłabym je do rodzaju wymarłego, jak dinozaury. Nie mam i nie zamierzam mieć z nią nic wspólnego.

- A jednak coś wspólnego muszą panie mieć. - Ambitny młodzieniec nie dawał za wygraną. Po raz pierwszy w życiu przyszło mu się zmierzyć z największym wyzwaniem: musiał przesłuchiwać swoją własną matkę. Nie dosłownie rzecz jasna, ale taka sama z niej była cholera.

Złośliwa, krnąbrna i absolutnie irytująca.

Śródka zamknęła oczy. Wyglądała, jakby zamierzała całkowicie zignorować słowa młodego prokuratora. Skonsternowany Korytko chciał ją przywołać do porządku,

jednak Błażej powstrzymał go ruchem głowy. Jeśli miał rację, kobieta za moment przemówi. Stało się dokładnie tak, jak przewidział.

Rozdział X.

Miłość i sraczka

Historia znajomości Agaty Śródki i Magdaleny Piekarskiej ukrywającej swoją tożsamość pod pseudonimem Mariola Santini sięgała czasów, kiedy Śródka jeszcze nie była Śródką, a Madziaczek jeszcze był Madziaczkiem. Dziewczęta wychowywały się w samym centrum zielonej poznańskiej dzielnicy Osiedle Sołacz w ponemieckim bliźniaku, który tuż po wojnie zajęli ich dziadkowie. Lewa połowa należała do rodziny Piekarskich, w prawej mieszkali państwo Murawscy. Agata i Magda były rówieśniczkami, żadna z nich nie miała rodzeństwa, szybko więc narodziła się między nimi przyjaźń silna jak miłość siostrzana. W okresie przedszkolnym dziewczynki były nierozłączne, wszystko robiły razem, całymi dniami ganiały po ogrodzie, który nigdy nie został podzielony płotem, łąziły po drzewach, psociły, a nawet sypiały razem - raz w jednym, raz w drugim domu. Państwo Piekarscy zabierali Agatę na wakacje, a Madziaczek jeździła z Murawskimi. Nikt nie miał wątpliwości, że jest to przyjaźń do grobowej deski.

W podstawówce były w jednej klasie, szkołę średnią też wybrały tę samą, żeby razem jeździć tramwajem. Madziaczek wolała profil hotelarski, Agata uczyła się na kucharza, jednak każdą przerwę spędzały razem. Znajomi, których aż tak wielu nie było, zazdrościli im bliskości, porównywali je do jednojajowych bliźniąt, nazywali pokrewnymi duszami. Nikt i nic nie mogło tej przyjaźni popsuć - przynajmniej tak im się wtedy wydawało.

Wkroczenie na scenę Roberta Śródki wszystko postawiło na głowie, szczególnie zaś zmieniło Agatę. Dostała małego rozumu na widok tego przyszcatego i niezgrabnego chłopaka, który od pierwszej chwili roztopił jej serce i stał się największą życiową potrzebą. Pech jednak chciał, że owa życiowa potrzeba w tamtym czasie zaspokajała życiowe potrzeby Madziaczka.

Poznawszy Roberta w bibliotece, gdzie wpadła na niego, zaczytana w jakiejś książce, Magda przyprowadziła go na prywatkę, na którą umówiła się - a jakże! - z Agatą.

Początkowo Agata wzdychała do Roberta po cichu, jednak nie była w stanie znieść tej tortury dłużej niż tydzień, co w jej przypadku i tak było ogromnym wyczynem. Przydybała chłopaka pod biblioteką, tą samą, w której poznała go Magda, i bezceremonialnie wyznała gorące uczucia. Oszołomiony Śródka uciekł w panice i przez dwa dni nie pokazywał się w miejscach, w których mógłby spotkać jedną lub drugą dziewczynę. Na trzeci dzień sam odnalazł Agatę i zaproponował randkę, zaznaczając jednocześnie, żeby nie mówiła o tym Magdzie. Naiwna i zaślepiona młodzieńczym afektem dziewczyna zgodziła się bez zastanowienia, wbijając pierwszy z noży w plecy przyjaciółki.

Nie mając świadomości, że Robert sprawnie lawiruje między nią a Magdą i równocześnie spotyka się z nimi obiema, Agata pogrążyła się w miłości i gotowa była umrzeć, gdyby, nie daj Boże, nagle coś mu się odwidziało. Oczywiście nie omieszkała poinformować obiektu swych uczuć o ich sile i ewentualnych skutkach braku wzajemności, sprytnie testując jego zamiary. Nie uciekł. Przystąpił do gorących zapewnień o swojej najszczerzej miłości, co wkrótce poskutkowało... Julianem.

Zmuszony do wzięcia odpowiedzialności za swoje czyny Robert oświadczył się Agacie, jak przystało na prawdziwego mężczyznę, a nieposiadająca się z radości dziewczyna niemal pękła ze szczęścia. Godzinę po wyjściu świeżo upieczonego

narzeczonego postanowiła złamać dane mu słowo i podzielić się radosną nowiną z najbliższą przyjaciółką – w końcu i tak się dowie. Było przecież oczywiste, że tylko Madziaczek może być świadkiem na jej ślubie. Agata pomknęła więc przez ogród, układając w myślach płomienne przeprosiny za trzymanie swojego związku w tajemnicy, wpadła niczym tajfun do pokoju przyjaciółki i zastała ją w niedwuznaczonej sytuacji ze swoim własnym narzeczoną. Gdyby nie wpajana jej od urodzenia niezachwiana wiara w siebie, Agata z pewnością zakończyłaby narzeczeński epizod w tej samej chwili i wróciła do domu zalana łzami. Jednak stało się inaczej. Rozwścieczona do granic możliwości wyszarpnęła Roberta spod nagiej przyjaciółki, trzasnęła go w głowę najcięższą książką, jaką znalazła w zasięgu ręki, a Madziaczekowi przysięgła nienawiść do końca świata, w najgorszym razie do swojej śmierci. Po śmierci Madziaczka i tak zamierzała jej nienawidzić, choćby miała się za to smażyć w piekle. Piekarska nie pozostała jej dłużna i ostatnimi słowami, które skierowała do Agaty, było życzenie jej brzydkich dzieci.

- Co i tak nie było najgorsze – zakończyła opowieść Śródka.

- Zawsze przecież mogłyby być głupie, a wtedy to już kaplica.

- I wciąż chciała pani za niego wyjść? – Prokurator Omkły najwyraźniej nie był w stanie tego pojąć. Pewnie nigdy nie był zdradzaną ciężarną kobietą.

- Ja go tak kochałam, że on mógł sobie być nawet gejem. Wszystko bym mu wybaczyła!

- Serio? – Korytko skrzywił się z niesmakiem. – Jakby cię zdradzał z facetem, też byś mu wybaczyła?

- No serio, a co w tym dziwnego? Co to za różnica, z kim by mnie zdradzał? Myślisz, że mogło być coś gorszego niż ujrzenie własnej przyjaciółki w miłosnym uścisku z własnym prawie mężem?

- A jednak mu wybaczyłaś.

- Guzik, a nie wybaczyłam! - wybuchła nagle Agata. - Nigdy mu tego nie wybaczyłam, po prostu nauczyłam się z tym żyć. Zwłaszcza że ta przebrzydła kanalia, ten wieprz jeden parchaty latami mnie oszukiwał. Mówił, że to Madziaczek była winna. Zawsze wszyscy byli winni, tylko nie on.

- Zdaje sobie pani sprawę, że to podchodzi pod motyw?

- Pod jaki motyw i co podchodzi? - Agata nie rozumiała, pochłonięta przeżywaniem powracających obrazów z przeszłości.

- Pod motyw zabójstwa - wyjaśnił prokurator spokojnie. - Pani go zabiła, bo był wieprzem i nigdy mu pani nie wybaczyła tej zdrady.

- I pan w to wierzy? Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach uwierzyłby, że czekałam z tym do rozwodu?

- Być może rzeczywiście nauczyła się pani z tym żyć i przyjeżdżając tutaj, nie miała pani nawet zamiaru go zabić. Jednak niespodziewane spotkanie z Mariolą Santini obudziło w pani tłumione uczucia?

- Właściwie to nawet ma sens - przyznała restauratorka, kiwając głową. - Ale jest dalekie od prawdy. Nie zabiłam Roberta, sam pan chyba widział, że spotkała go wystarczająca kara w postaci małżeństwa z tą zidiociałą Grażynką.

- No, wie pani, może po prostu się zakochał... - Młody prokurator zawiesił głos, jakby sam zastanawiał się nad wypowiedzianą przed chwilą brednią.

- Miłość i sraczka przychodzą znienacka - podsumowała Agata, cytując swoją babkę. -

I każda z nich sprawia, że człowieka bołą wewnątrzności.

- Zaiste. Ostatnio bołały mnie przez tydzień, a zakochany nie byłem - wyznał Korytko, masując się po wyraźnie zarysowanym mięśniu piwnym. - Czyli załóżmy, że nie zabiłaś Roberta.

Kto w takim razie mógł to zrobić twoim zdaniem?

- Idąc tropem najpopularniejszego motywu świata, wzięłabym pod lupę Grażynkę i Madziaczka. Nie bez powodu mówi się, że samo piekło boi się gniewu zdradzanej kobiety.

Obaj mężczyźni zgodnie pokiwali głowami, choć doświadczenia ze zdradzonymi kobietami mieli bardzo odmienne. Śródka powoli zaczynała przejawiać oznaki zniecierpliwienia; po pierwsze, robiła się głodna, po wtóre, śpieszno jej było z powrotem do winnicy. Omkły zanotował coś w kajecie, wystawiając przy tym koniuszek języka, co rozczerło Agatę, przypominając jej młodzieńczy nawyk syna. Zasadniczo prokurator był niewiele starszy od Juliana, dlatego pewnie obudził w niej taką sympatię. Poza tym jego widok był wybitnie miły dla oka, co zdecydowanie działało na korzyść młodzieńca. Przesłuchanie zakończyło się dokładnie w chwili, kiedy ogłuszający dźwięk gongu wybrzmiał wezwaniem na obiad.

Agata podniosła się z gracją i pośpieszyła do jadalni, maszerując w rytm bulgotania w żołądku. Stukot obcasów na gresowej posadzce zagłuszył dialog za jej plecami.

- Jadę do Gościńca - mówił Błażej, ściskając rękę Korytki. - Dowiem się, co tam się wydarzyło, i wrócę po obiedzie, żeby przesłuchać pozostałych. Spróbuj coś z nich wyciągnąć, może w grupie się otworzą.

- Jasna sprawa. Barnaba przewidział wino do obiadu, a nic tak nie odblokowuje jak dobre procenty.

- Tylko nie przesadźcie - rzucił z uśmiechem prokurator i ruszył ku wyjściu.

Korytko odprowadził go wzrokiem. Niepokój, który trzymał go od poprzedniego wieczoru, coraz mocniej dawał się we znaki w postaci nieregularnych drgań lewej powieki.

Policjant wciąż jednak żywił nadzieję, że śmierć Roberta Śródki okaże się tylko nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, a wiadomo, że nadzieja umiera ostatnia.

Rozdział XI.

Merde!

W gościnnieckim pałacyku trwało pandemonium. Przed budynkiem stały wozy straży pożarnej, dwa radiowozy policji z włączonymi kogutami, a obok nich kłębiła się masa gapiów.

Na szczęście nie widać było nikogo z lokalnych mediów, ale to pewnie wyłącznie kwestia czasu, kiedy zlecą się w pogoni za sensacją.

Prokurator Omkły zaparkował na miejscu zarezerwowanym dla Agaty i wziął głęboki wdech, zanim odważył się wyjść z samochodu. Co za licho nad tymi Śródkami lata?

Podszedł prosto do dowodzącego strażakami, od którego się dowiedział, że wstępne oględziny wykluczyły możliwość wypadku. Ścianę w piwnicy pałacu ktoś wysadził celowo.

- Zawodowiec? - zapytał Błażej, wkładając rękawiczki po raz drugi tego dnia. Nie cierpiał tego, okropnie pociły mu się w nich dłonie.

- Trudno ocenić. Musimy poczekać na wyniki ekspertyzy, materiał jeszcze dzisiaj wyślemy do Poznania - wyjaśnił strażak ze spokojem. - Dobrze, że te mury są grube; gdyby to się wydarzyło w normalnym budynku mieszkalnym, cała ściana mogła się zawalić, a może i jeszcze gorzej.

Prokurator pokiwał głową i ruszył do pałacyku. W duchu podziwiał kunszt ekipy remontowej wynajętej przez Śródkę - zabytek wyglądał zjawiskowo i Omkły z przyjemnością odwiedziłby go w innych okolicznościach. Teraz pewnie zrobi to mniej chętnie.

Po wejściu do środka pierwszy rzucił mu się w oczy rozgorączkowany Michel miotający przekleństwa na przemian w dwóch językach. Pozostali członkowie personelu uciekli do kuchni i ani myśleli z niej wychodzić. Omkły zbliżył się do zaaferowanego pół-Francuza i spróbował podjąć dialog. Niestety z marnym skutkiem.

- Dzień dobry, nazywam się Błażej Omkły, jestem prokuratorem. Czy pan tu jest szefem?

- *Merde! Merde! Meeeeeerde!* - krzyczał Michel, zasłaniając uszy rękami. - *Je ne sais pas! Je ne sais pas! Non, non! Merde!*

Błażej Omkły zasadniczo językami władał, ale raczej germańskimi. Po francusku potrafił jedynie zamówić w kawiarni *café au lait* oraz *croissant*, a i to pod warunkiem, że miał przed oczami menu.

- Przepraszam bardzo, ale nie rozumiem. *Parle-vous English? Deutsch? Lingua latina?*

- *Merde!* - krzyczał dalej Michel. - Jaka znowu *lingua latina*? Phoszę mnie nie przedrzeźniać. Ja w szale jestem!

- Tyle to i ja widzę, panie...?

- Michel Blanc. Jestem konsjehżem i zastępcą Agaty Śhódki. Zna pan Agatę?

- Owszem, miałem przyjemność poznać.

- Żahtowniś... - prychnął Michel, ale odjął ręce od uszu. - Mówił pan, że jest phokuhatohem?

Omkły przez chwilę nie mógł zrozumieć ostatniego słowa zawierającego tyle „h”, w końcu jednak potaknął ruchem głowy.

- Bahdzo dobrze, bahdzo dobrze, naheszcie ktoś kompetentny. Phóbowaleńm poinfohmować moją phacodawczynię o tej thagedii, jednak nie okazała zaintehesowania. Mam nadzieję, że pana obecność na nią wpłynie. Co to jest za koszmahna kobieta!

Omkły uśmiechnął się pod nosem, czując przypływ sympatii dla przerażonego młodzieńca. Prywatnie gotów był zgodzić się z jego opinią na temat restauratorki, pamiętał jednak, że jego wizyta w pałacu ma charakter służbowy.

- Bardzo proszę mi opowiedzieć, co tu się właściwie wydarzyło - powiedział miękko, pokazując głową na schody do piwnicy. - Słyszał pan wybuch?

- A jakże! Głośno i wyhaźnie, zmałego by obudził. To było w śhodku nocy, na pewno ghubo po dhugiej. Jak przywaliło, to aż ziemia się zatrzęsała. Myślałem, że ahmagedon nadchodzi!

- I co pan wtedy zrobił? Kiedy już pan wiedział, że to jednak nie armagedon?

- Nic nie zhoiłem! Schowałem się pod łóżkiem - wyznał Michel z rozbrajającą szczerością. - A co pan by zhoił na moim miejscu? Jestem za młody, żeby umiehać. I zdecydowanie zbyt piękny.

Omkły okazał zdziwienie jedynie nieznacznym drgnięciem kącika ust. Zbyt piękny, żeby umierać! O rety, czyżby Śródka otaczała się wyłącznie dziwadłami? Ciekawe, co umieszcza w ogłoszeniach o pracę: przyjmę młodego pięknego narcyza z wadą wymowy?

- Rozumiem, oczywiście, że rozumiem - powiedział na głos. - Ktoś jednak zaalarmował służby. Skoro nie był to pan, to kto zadzwonił na policję?

- Zdaje się, że Jacques, nasz szef kuchni.

- Gdzie go znajcę?

- Tam gdzie całą hesztę jego załogi. Wszyscy siedzą w kuchni i pewnie plotkują, jak zwykle.

Prokurator skinął głową i ruszył w kierunku schodów prowadzących do *locus delicti*.

Choć zbrodni jako takiej - przynajmniej w pałacu - nie popełniono, wysadzenie ściany raczej nie było dziełem

przypadku.

Do piwnicy wiodło czternaście kamiennych stopni. Strażacy odłączyli prąd, by nie dopuścić do zwarcia w instalacji elektrycznej, wobec czego po kilku krokach Omkłego otoczyła ciemność. Prokurator wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wykorzystał go jako latarkę. Z lewej części piwnic ciągnących się przez całą długość budynku dochodził gwar rozmów pracujących tam ratowników. Nie chcąc tracić czasu, Błażej ruszył w ich kierunku. Piwnice, podobnie jak pozostałe kondygnacje pałacyku, były wysokie na cztery metry, co w świetle prowizorycznej latarki robiło dość upiorne wrażenie. Omkły poruszał się ostrożnie, zaglądając do mijanych wnęk. Na samym końcu podziemia migotało jasne światło.

Pomieszczenie, w którym pracowali strażacy, miało kształt pięciokąta i podobnie jak pozostała część piwnic nie zostało jeszcze zagospodarowane. Pod wschodnią ścianą leżała spora sterta gruzu i fragmentów cegieł, zaś w samej ścianie ziała dziura o średnicy półtora metra.

Wbrew oczekiwaniom Omkłego również za nią było ciemno.

- Co znajduje się za tą ścianą? - zapytał jednego ze strażaków. - Myślałem, że dziura jest na wylot.

- Też byliśmy zaskoczeni, ale wygląda na to, że między ścianą zewnętrzną a tą, która się zawaliła, jest wąski korytarz. Metr, może półtora szerokości. Musimy najpierw oczyścić obie strony z gruzu, żeby tam wejść.

- Dziwne. - Prokurator się zamyślił. - Pierwszy raz widzę taką konstrukcję.

Strażak pokiwał głową, co miało oznaczać, że jego to również dziwi, i wrócił do pracy.

Omkły podszedł bliżej ściany, żeby zajrzeć w głąb ciemnego otworu, jednak jego telefon emitował zbyt słabe światło. Jeden ze strażaków zlitował się nad żółtodziobem i udostępnił mu swoją latarkę.

Za ścianą rzeczywiście znajdowała się pusta przestrzeń, na tyle wąska, że dorosły człowiek musiałby poruszać się w niej bokiem. Kobieta postury Śródki mogłaby chodzić normalnie. Nie było tam widać niczego poza pajęczynami. Ot, tunel niewiadomego przeznaczenia.

- Daleko to się ciągnie? - rzucił Błażej w przestrzeń.

- Jeszcze nie wiemy, na razie nikt tam nie wchodził, musimy najpierw zabezpieczyć otwór w tej ścianie, żeby nikomu na głowę nic nie spadło i nie zawaliło przejścia - odpowiedział mu czyjś głos.

- Może na planach będzie widać? - zasugerował prokurator.

- Warto sprawdzić. W katastrze powinni mieć - odparł ten sam głos co poprzednio.

Omkły omiół światłem latarki pomieszczenie i stwierdziwszy, że nie ma tu na razie nic do roboty, ruszył ku wyjściu, po drodze oddając użyczony sprzęt jego właścicielowi. Zanim wróci do winnicy Mischzuka, powinien uciąć sobie pogawędkę z personelem pałacyku. A może przy okazji uda się coś przegryźć, bo głód powoli dawał o sobie znać donośnym burczeniem w brzuchu.

Rozdział XII.

Tylko Bóg go osądzi

Wrażenia poranka w najmniejszym stopniu nie odebrały apetytu gościom Gościnnej Doliny i wszyscy zjawili się w jadalni, zanim zdążył wybrzmieć dźwięk gongu obwieszczający posiłek. Wszyscy z wyjątkiem Grażynki, która dostała środek uspokajający i spała jak kamień w pokoju udostępnionym jej przez właściciela. Pozostali uczestnicy feralnego weekendu siedzieli znów przy jednym stole, od czasu do czasu nieśmiało zerkając na dwa puste miejsca, i stukali łyżkami, aż niosło się echo.

Agata znów była pod wrażeniem kunsztu zatrudnionych przez Miszczuka kucharzy, których dziełom należały się szczere oklaski. Znakomity krem z białych szparagów podano w porcelanowych miseczkach, a groszek ptysiowy - bez wątpienia domowej roboty - ułożono w kształt kwiatów na maleńkich spodkach. Śródka z zachwytem odkrywała bukiet idealnie dobranych przypraw i ziół, których użycie gwarantowało ekstazę kubkom smakowym.

Za namową Korytki w interwale między zupą a daniem głównym podano wina, kelnerzy zaś dostali polecenie napełniania kieliszków w trybie przyśpieszonym. By nie dopuścić do niekomfortowej ciszy, Miszczuk odgrywał rolę gospodarza, w której czuł się jak ryba w wodzie.

Gadane to on miał, do radia nadawałby się jak złoto.

Zgodnie ze scenariuszem przewidzianym na okoliczność zwiedzania winnicy Barnaba najpierw przybliżył gościom jej

historię sięgającą niemal wieków średnich. I należy podkreślić, że lekcję odrobił celująco.

- Uprawa winorośli i produkcja wina mają w Wielkopolsce długą tradycję. Według historycznych źródeł pierwsze krzewy sprowadzono do Polski wraz z chrześcijańskimi duchownymi, którzy potrzebowali wina do sprawowania liturgii.

- No jasne - sarknęła Agata. - I niby problem alkoholizmu nie dotyczy duchowieństwa... Wino święte ma tyle samo procent co wino grzeszne.

- Amen - poparła ją Leokadia i wydudliła naraz pół kieliszka znakomitego pinot gris o wyraźnym aromacie dojrzałych jabłek, gruszek i cytrusów.

Barnaba denerwował się coraz bardziej. Nie dość, że jego plan wziął w łeb, to jeszcze wciąż mu przerywano! Spojrzał na Śródkę z wyrzutem, po czym odwróciwszy się do niej idealnym profilem, kontynuował wykład:

- Pierwsze winnice na naszych ziemiach powstawały w okolicach Poznania ze względu na jego ułożenie wśród morenowych wzgórz. Wsie służebne, których mieszkańcy zajmowali się uprawą winorośli, nazwano oczywiście Winiarami.

- Czy ty chcesz nam powiedzieć, drogi Barnabo, że Gościnną Dolina ma prawie tysiąc lat? - Mariola Santini wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

Śródka także wytrzeszczyła, ale skierowała je na byłą przyjaciółkę, której intelekt wyraźnie ulegał degradacji pod wpływem wyborczego wina serwowanego przez Myszczuka.

- Tak, tysiąc. Osobiście pierwsze grona ugniatał w beczce Bolesław Chrobry, a pestki rozłupywał ostrogami - odpowiedziała jej Leokadia Schmidt, nie patrząc nawet w stronę pisarki.

- Chyba razem z włosami mózg ci się utlenił, Madziaczku - oceniła Agata. - Wydawało mi się, że historii się w szkole

uczylaś i takie drobnostki jak chociażby nacjonalizacja w czasach Polskiej Republiki Ludowej obily ci się o uszy.

- Nie musisz być taka wredna, Agato - żaliła się Piekarska. - I nie musisz udowadniać, że we wszystkim jesteś lepsza ode mnie.

Miszczyk złapał się za czoło i pokręcił głową, dając wyraz niedowierzaniu. Musiał przewartościować swoją opinię o ludziach kultury; najwidoczniej dawał im zbyt duży kredyt zaufania.

Niestety historii stworzenia winnicy Gościnną Dolina nie udało mu się opowiedzieć do końca, co zdarzyło się bodaj pierwszy raz od czasu jej powstania. Czyli od lat dwudziestu, nie tysiąca. Ostatecznie machnął ręką i pozwolił sprawom toczyć się własnym torem.

Po pinot gris przyszła kolej na wino ze szczepów riesling, a języki biesiadników zaczynały się nieco rozwiązywać. Najpierw szeptano, nieśmiało zagajając rozmowy na interesujący wszystkich temat, a gdy kelnerzy serwowali solaris o intensywnych nutach dojrzałych gruszek i ananasów, gwar zrobił się już całkiem spory. Na to właśnie liczył Korytko.

Osobą, na którą wino zdawało się nie mieć żadnego wpływu, była Śródka. Przyglądała się wszystkim spod zmrużonych powiek i usiłowała wymyślić, kto spośród nich mógł zabić Roberta. I jaki miałby powód. Trudno jej było uwierzyć, że jej były zdążył zająć komuś za skórę w ciągu jednego wieczoru - skoro ona nie zamordowała go przez ponad dwadzieścia pięć lat małżeństwa, co mogłoby do tego skłonić zupełnie obcą osobę? Chyba że osoba nie była zupełnie obca... Jeśli to nie ona sama - a przecież wiadomo, że nie - to pozostają Grażynka i Madziaczek. Jedna śpi jak kłoda, ale ta druga...

Madziaczek aktualnie zajęta była flirtem z przystojnym księdzem, który nie wyglądał na szczególnie niezadowolonego, nie bronił się przed przypadkowymi dotknięciami, wręcz

zdawał się zachęcać pisarkę do tych mało subtelnych umizgów. Śródka przesunęła swoje krzesło najciszej, jak potrafiła, ustawiając je niemal na stopie Ludwika, który wcale tego nie zauważył pochłonięty zagłębieniem olśniewającej Marioli Santini w dekolt. I w oczy. Zaglądał jej raz tu, raz tu, chwilami dostając oczopląsu.

Anna Pawełka, nieźle już podchmielona, nagle poczuła potrzebę zgłębienia tajemnic, które powoli zaczynały się zewsząd wynurzać. Zapytała pisarkę o to, skąd ta знаła Roberta Śródkę.

- Och, to prehistoria! - Santini zaśmiała się perliście. - Naprawdę zupełnie nie ma o czym mówić.

- Jednak nalegam, bardzo mnie to interesuje.

Agatę też żywo interesowała wersja, którą Madziaczek sprzeda dziewczynie. Przyzna się, że jest zdradziecką żmiją, czy się nie przyzna? Już trochę ma w czubie, więc może się przyznać.

- Tak naprawdę to właściwie ja powinnam była zostać jego żoną. Agata bezczelnie mi go ukradła - stwierdziła bez skrępowania przyklejona do Burego biuściasta piękność, upewniając się, że Śródka słyszy każde słowo.

„Oż ty zakłamana małpo!”. Restauratorka musiała ugryźć się w język, żeby nie wypowiedzieć tych słów na głos. Słuchała dalej, niemal dotykając policzka zapatrzonemu w pisarkę księdza.

- Byliśmy tacy szczęśliwi, kochaliśmy się bezgranicznie, a ona wymusiła na nim ślub.

- Jak to? - zdziwiła się Pawełka. - Jak można kogoś zmusić do ślubu?

- Uwiodła go i zaszła z nim w ciążę - odparła Santini, po czym czknęła tak mocno, że aż podskoczyła.

- Ciebie chyba Bóg opuścił, durna babo! - ryknęła Agata, wprawiając w osłupienie pozostałych uczestników obiadu. - Skoro już rzucasz oskarżenia, to racz się trzymać faktów!

- A niby jakie są te twoje fakty, moja droga przyjaciółko? - wybełkotała pisarka i oparła głowę na ramieniu księdza, po czym znów czknęła.

- Fakty nie są ani moje, ani niczyje, są obiektywne i niepodważalne. Bywają też niewygodne, jak w tym przypadku, toteż wcale mnie nie dziwi, że ich unikasz, a zamiast tego rzucasz kalumnie.

- Złodziejka narzeczonych - skwitowała Santini.

- Puszczalska nimfomanka. - Agata nie pozostała jej dłużna.

- A kto wie, czy nie morderczyni.

Korytko poczuł, że serce na moment mu się zatrzymało, a Mariola Santini natychmiast wytrzeźwiała.

- Coś ty powiedziała?! - wrzasnęła, zrywając się na równe nogi.

- Dokładnie to, co słyszałaś. Wyświadczyć ludzkości przysługę i przyznać się lepiej. Pan komendant będzie ci na pewno wdzięczny.

- Ludwik, powiedz coś. - Mariola spojrzała na księdza wzrokiem zbitego psa.

- Co mam powiedzieć, duszko?

- Prawdę powiedz, jak Pan Bóg przykazał.

- Jesteś pewna? - zafrasował się przystojny duchowny.

Santini energicznie pokiwała głową, czkając przy tym z nadmierną częstotliwością.

Ludwik Bury potarł czoło i z wyraźnym bólem, który świadczył o toczącej się w jego duszy walce, wyznał:

- Pani Mariola Santini nie mogła poprzedniej nocy zamordować pana Roberta Śródki ani nikogo innego, gwoli ścisłości, ponieważ poprzednią noc spędziła ze mną.

Tego nie spodziewał się raczej nikt. Z pewnością jednak nie spodziewała się Śródka, która nagle poczuła, jakby ktoś wymierzył jej cios prosto w splot słoneczny. Nie, wcale nie ktoś.

Ona! Znów to zrobiła!

- Rozumiem, że czytaliście Biblię? - zaszydziła Leokadia Schmidt.

- Chyba biblię Dalekiego Wschodu. Z obrazkami. - Mariola Santini zachichotała jak nastolatka.

- Jak ci nie wstyd, Ludwiku? - zagrział Barnaba. - Katolicki ksiądz!

- Ksiądz, sraźd - przedrzeźniła go starsza dama. - Wszyscy wiemy, że nie z powołania tym księdzem został, tylko z musu.

- Pani Leokadio! - oburzył się Bury. - Niektóre tajemnice powinny pozostać tajemnicami. Tak samo jak grzechy wyznawane podczas spowiedzi.

- Moja noga więcej w twoim konfesjonale nie postanie! - zapowiedziała Julianna Makowiecka. - Romanie, domagam się, żebyś natychmiast coś z tym zrobił!

- Co ja mogę, Julciu, zrobić? - Pajor wzruszył ramionami i nalał sobie kolejny kieliszek wina. - Ksiądz katolicki świeckiej władzy nie podlega. Tylko Bóg go osądzi.

- A nam rozgrzeszenia nie chciał dać - żaliła się Anna Pawełka. - Hipokryta jeden!

- Prawda i tak zawsze wyjdzie na jaw - poparł ją jadowitym tonem Michał Kornaś.

- Skoro już ta prawda wychynęła, to może pani skończy, pani Leokadio, myśl, którą tak niegrzecznie pani przerwano? - Śródka wspięła się na wyżyny dyplomacji, żeby nie zgrzytać zębami i nie pluć jadem dookoła. Najchętniej urwałaby tej jędzy, Madziaczkowi, głowę i wykonała nią rzut różny.

- Słusznie - zgodziła się właścicielka połowy Gościńca. - Wystarczy już tych tajemnic.

Nie zamierzam ich wszystkich zabierać do grobu.

Rozdział XIII.

To było straszne!

U szczytu piwnicznych schodów, przestępując z nogi na nogę, stał Michel. Omkły najpierw ujrzał jasność, a zaraz potem udało mu się dostrzec skrzywione oblicze pół-Francuza.

- No i co, no i co? - Konsjerż rzucił się ku prokuratorowi, zagradzając mu drogę.

- Co: co? Dziura, ot co.

- Dziuha? *Oh mon dieu!* I co te haz? Co hobić?

- Nic nie hobić, tfu! Nic nie robić. Strażacy wszystkim się zajęli, a jak już zabezpieczą ścianę, to trzeba będzie wezwać ubezpieczyciela, a potem dziurę załatać. Roboty raptem na kilka godzin.

- To już niech Agata sobie załatwia, ja tu za chłopca na posyłki hobić nie zamierzam - zachnął się Michel. - Ale niech pan powie: co się stało? Gaz? Zwahcie? Petahda?

- Wyniki ekspertyzy będziemy mieć najwcześniej w poniedziałek; nieoficjalnie mogę jedynie przypuszczać, że użyto materiałów wybuchowych.

- *Sacrebleu!* Eksplozja?! Zamach! Mohdehstwo!

- A pan skąd już się dowiedział?

- Sam pan powiedział!

- Ja powiedział? Chryste, to jest zaraźliwe! - Pacnął się w czoło, przywołując do porządku własne kompetencje językowe.

- Ja panu powiedziałem o morderstwie Śródki?

Michel zbladł i zrobił dwa kroki do tyłu, machając niezgrabnie rękami w poszukiwaniu ściany, która mogłaby dać

mu oparcie. Wystraszony prokurator zrugął się w myślach za niefortunny dobór słów. Za dużo Śródków w tej sprawie, do diaska!

- Panie Michelu, proszę głęboko oddychać - odezwał się miękko. - Pani Agata jest cała i zdrowa, przejęczyłem się.

- Przejęczył się pan, mówiąc „o mohdehstwie Śhódki”? A co pan miał na myśli?

Pasehstwo? Kumotehstwo? Kuhestwo?

- No co też pan! - zafrasował się prokurator. - Nic podobnego nie miałem na myśli.

W ogóle nie miałem na myśli Agaty Śródki. Chodziło mi o jej byłego męża.

- Hobeht nie żyje? - Michel wytrzeszczył oczy.

- Nie żyje. Nie wiedziałem, że pan go znał.

- Osobiście nie, tylko z opowieści. Ale zawsze mi było chłopca szkoda, za dwadzieścia pięć lat życia z tą kobietą zasłużył na medal.

- Nie ma pan najlepszego zdania o swojej szefowej, co, Michelu?

- Nie, dlaczego? - Zdziwienie na twarzy konsjerżera wyglądało na autentyczne. -

Podziwiam ją i szanuję. Ale ja w ogóle nie wyobhażam sobie życia z żadną kobietą. Kobiety są złośliwe, czepialskie i przewhażliwione, nie uważa pan?

Błążej może i uważał, ale na pewno nie zamierzał się do tego przyznawać. Nie pozwalały mu na to zasady etyki zawodowej oraz fakt, że od trzydziestu lat mieszkał z matką i nie zanosilo się na zmianę tego stanu rzeczy. A matka to w końcu też kobieta. W dodatku najbardziej czepialska i złośliwa.

Zaskoczony nieco zawołowanym coming outem Michela prokurator Omkły postanowił zakończyć konwersację zapewnieniem, że sytuacja została opanowana i nic załodze

pałacyku nie grozi. Michel nie wyglądał na przekonanego, o czym świadczył przede wszystkim wyraz jego twarzy.

Tymczasem w kuchni, która zajmowała pół piętra, nieoficjalne zebranie związków zawodowych trwało w najlepsze. Błażej delikatnie uchylił drzwi i najpierw wetknął przez szparę lewe ucho. Kiedy upewnił się, że rozmowy nie ucichły, powoli wślizgnął się do pomieszczenia.

Przycupnął z boku, częściowo ukryty za wysokim na półtora metra regałem z naczyniami, i nasłuchiwał.

- Figurki są za dyszkę?

- Dycha jest większa od figur.

- Dycha jest pod jopkiem!

- Dziesiątka jest na dole.

- Dziesiątka jest po asie!

- Weźcie się, do cholery jasnej, zdecydуйте. Głodna jestem!

- Dobra, gramy.

Błażej wychylił się odrobinę zza regału, zaciekawiony tą przedziwną wymianą zdań. Przy ustawionej centralnie wyspie siedziało pięć osób płci obojga. Ścisłej rzecz biorąc, czterech mężczyzn i jedna kobieta. W rękach trzymali karty. Po pierwszej rundzie Omkły zorientował się, że kucharze grali w tysiąca. On sam nieszczególnie lubił gry karciane; chyba nigdy nie udało mu się w żadną wygrać. Może dlatego, że nigdy też nie zrozumiał do końca zasad ani jednej z nich.

W piotrusia potrafił, ale i tak zwykle to on zostawał z trzynastką bez pary.

Omkły spojrział na zegarek i stwierdził, że niedługo powinien wracać do winnicy, a przecież nawet nie zdążył z nikim porozmawiać. No nic, trudno, musi im przerwać rozrywkę.

- Ekhm, ekhm... - odchrząknął głośno i wyszedł ze swojej kryjówki. - Nie przeszkadzam?

Pochłonięci grą kucharze pokręcili głowami, nie odrywając wzroku od kart. Omkły zbliżył się do wyspy na odległość umożliwiającą prowadzenie normalnej rozmowy i przez chwilę w milczeniu obserwował rozgrywkę, która w wykonaniu obcych wyglądała na bardziej emocjonującą niż te, które pamiętał.

- Wychodź! - warknęła dziewczyna do siedzącego po przekątnej młodego mężczyzny.

- Czym mam wychodzić, skoro nie mam?

- Pas. - Czterdziestoletni na oko facet rzucił karty na środek blatu.

- Weź mi nie zaglądamy w karty - gorączkował się młody blondyn. - Specjalnie tak siadłaś, żeby mi tu lukać, nie?

- Trzaśnij się w ten głupi łeb - zachnęła się dziewczyna. - Nie mam co robić, tylko gapić się na twoje karty.

- Przepraszam państwa, czy ja mógłbym prosić o chwilę uwagi? - zapytał grzecznie Omkły. - Obiecuję, że nie zajmę państwu dużo czasu.

Niestety i tym razem skutek był żaden. Nikt się jego przemową szczególnie nie przejął.

Nadal łoili w tysiąca.

- Melduję: sto trzydzieści! - krzyknęła dziewczyna i wszyscy aż się wzdrygnęli.

- Tylko? - Czterdziestolatek przechylił się w jej stronę. - Ty tam miałaś co najmniej sto siedemdziesiąt.

- A ty skąd wiesz?

- Oj, dajże spokój, Madeleine, wychodź.

- Czy mogą państwo przerwać?! - Prokurator uniósł głos już mocno zniecierpliwiony. -

Chyba że wolą państwo rozmawiać z policją, w komendzie.

Na dźwięk magicznych słów „policja” i „komenda” nastąpił cud. Wszystkie pięć par oczu spojrzało na Błażeja, tym razem rejestrując obecność kogoś w kuchni.

- W komendzie? - zapytał z niedowierzaniem czterdziestolatek, który jako pierwszy zgłosił „pas”. - A w jakiej sprawie?

- W sprawie nocnych fajerwerków. A jest jakaś inna sprawa, którą powinny się zainteresować organy ścigania?

- Nie, nie - zapewnił pośpiesznie kucharz, prawdopodobnie szef wszystkich szefów w tej kuchni. - Czyli to nie było zwarcie?

- Nic takiego nie powiedziałem - odparł Błażej z rezerwą.

- Ale też pan nie zaprzeczył - zauważyła słusznie dziewczyna.

- Co mogą mi państwo powiedzieć na temat tego incydentu?

- Urzędowy ton w głosie prokuratora brzmiał już z całą mocą.

Po chwili wahania wszyscy kucharze powiedzieli to samo: około drugiej w nocy obudził

ich straszliwy huk, po którym nastąpił łoskot spowodowany zapewne przez walące się cegły.

- Jak tylko dotarło do mnie, że to nie był sen, wyskoczyłem z pokoju i na korytarzu spotkałem Jacques'a - opowiadał młody blondyn.

- Ze mną było tak samo. - Czterdziestolatek, czyli wspomniany Jacques, kiwał potakująco głową. - To znaczy tak samo jak z Pierre'em: też myślałem, że to sen.

- A ja bałam się wyjść z pokoju i schowałam się pod łóżko - wyznała zawstydzona dziewczyna, która przedstawiła się jako Madeleine.

- Tam właśnie ją znalazłem - potwierdził grubasek o takich samych jak ona oczach. -

Jestem Charles, brat Madeleine.

- A pan? - Omkły zwrócił się do piątego osobnika, który dotychczas tylko kiwał głową.

- A mnie na imię Antoine, jestem sous-chefem i to ja szedłem do piwnicy, żeby sprawdzić, co tam się stało.

- I co pan zobaczył? - zaciekawił się prokurator, podziwiając piękną, pozbawioną obcego akcentu polszczyznę kucharzy zatrudnionych w pałacu. „Nie to co Michel” - skonstatował w myślach.

- Generalnie to niewiele widziałem poza tumanem dymu i kurzu. W piwnicy było ciemno, jakby ktoś odłączył prąd.

- Myślałem, że zrobili to strażacy? - wyraził zdziwienie Omkły, przesuwając wzrokiem po twarzach kucharzy.

- Oni wyłączyli prąd w całym budynku, ale w piwnicy nie było go już w nocy - odparł Jacques.

Błążej się zadumał. Trzeba będzie spytać szefa strażaków, czy wybuch mógł odciąć dopływ energii elektrycznej w tamtej części budynku. Prawdopodobnie tak właśnie się stało.

Miał ochotę zadać pytanie o ewentualne podejrzenia co do motywu, którym kierował się sprawca zamachu, w porę jednak przypomniał sobie, że udział osób trzecich nie został oficjalnie potwierdzony. Zamiast tego zapytał o coś, co zniecka przyszło mu do głowy:

- Wiedzą coś państwo o zamordowaniu Claude'a?

Spodziewał się wybuchu śmiechu albo co najmniej głupkowatych komentarzy bagatelizujących tę sprawę, z zaskoczeniem więc stwierdził, że żaden z rozmówców bynajmniej nie uważa incydentu sprzed tygodnia za żart.

- To było straszne! - wyszeptała przejęta Madeleine. - Agata pracowała cały tydzień, ten tort to jej *spécialité*.

- Tak jest - potwierdził Charles, który okazał się cukiernikiem. - Mimo że pracuję dla Agaty od dziesięciu lat, nigdy nie udało mi się nawet zbliżyć do jej poziomu.

- I ta kartka... - dodał Pierre, po czym wzdrygnął się nieznacznie. - Nie dość, że krowa, to jeszcze francuska.

Przecież Agata ma metr w kapeluszu, waży tyle co dorodny kogut i jest Polką!

Omkły pokiwał głową ze zrozumieniem i spojrzął na pozostałych dwóch kucharzy.

- A panowie? - zapytał cicho, choć nie liczył na żadne rewelacje.

- Mnie w tym czasie nie było w Gościńcu - odparł Jacques. - Ale na samą myśl o tym, że ktoś zbezczescił moje santoku, robi mi się słabo.

- Musi pan zrozumieć, że noże są dla szefa kuchni jak... bolid dla kierowcy Formuły 1.

Nikt nie ma prawa nawet ich dotknąć - wyjaśnił Antoine. - To ja odpowiadałem za catering tego wieczoru, ale skończyłem, zanim zjawili się goście. Madeleine, Charles i Pierre byli jedynymi osobami, które widziały tę zgrozę na własne oczy. No i kelnerzy rzecz jasna.

- A gdzie są teraz? Mógłbym z nimi porozmawiać?

- Pewnie by pan mógł, ale tu ich nie ma. Nie są zatrudnieni na stałe, to ludzie z Gościńca, najemni. Z dużym prawdopodobieństwem obsługują dzisiaj gości w winnicy.

Omkłemu zapaliła się ostrzegawcza lampka. Wyglądało na to, że wszyscy potencjalni sprawcy oraz świadkowie wandalizmu przebywali znów w jednym miejscu, na dodatek w miejscu popełnienia zbrodni. W żadne wróżby, astrologie i inne zjawiska nadprzyrodzone takie jak zbiegi okoliczności Błażej od dawna nie wierzył, tym bardziej więc utwierdził się w przekonaniu, że dziwne rzeczy dzieją się wokół Śródki. Albo Śródków.

Nagle kwestia powrotu do Gościnnej Doliny wydała mu się bardzo pilna. Podziękował załodze za rozmowę i zapewnił, że nic im nie grozi - pałac ma grube mury, a ściany szczytowe pozostały nietknięte. Zadowoleni kucharze natychmiast wrócili

do przerwanej rozgrywki, kłócąc się zawzięcie o to, czy można rzucić asa na atę.

Rozdział XIV.

Miód nie kobieta

Danie główne w postaci apetycznie pachnących pieczonych sandaczy, nadziewanych pietruszką, pieczarkami i serem pstrągów oraz filetów z łososia podanych pod chmurką sosu holenderskiego pojawiło się na stole w odpowiednim momencie. Tajemnica Burego mogła jeszcze przez chwilę pozostać tajemnicą. Podziwiając wirtuozerię, z jaką udekorowano pięknie wypieczone ryby, towarzystwo ochoczo zabrało się do konsumpcji.

Śródka jednak zdawała się nie mieć apetytu, co nie uszło uwagi Mischczuka.

- Nie jesteś głodna, Agato?
- Nie bardzo. Odebrało mi apetyt.
- To przez panią Santini?

Restauratorka wzruszyła ramionami, co można było odczytać różnorako. Zastanawiała się nad słowami dawnej przyjaciółki, które wciąż bolały jak dotyk rozpalonego żelaza. Złodziejka narzeczonych. Podłe oszczerstwo! Obrzydliwe pomówienie! Tonący brzytwy się chwyta.

A jednak jeśli naprawdę tak było i to ona ukradła Roberta Magdzie? Przez dwadzieścia pięć lat starannie odsuwała od siebie takie podejrzenie.

- Każdy medal ma dwie strony - odezwała się nagle Leokadia Schmidt, intensywnie wpatrując się w strapione oblicze Śródki. - Pamiętaj, moja droga, że mężczyznom z założenia nie można ufać, a w dziedzinie przeinaczania prawdy

pleć brzydsza osiągnęła mistrzostwo. Czy warto poświęcać dla nich przyjaźń?

- Rozumiem, co chce pani powiedzieć - wyszeptała Agata.

- Może wciąż nie jest za późno? - Staruszka mrugnęła do niej filuternie i wskazała brodą na rumianą od alkoholu pisarkę.

Śródka pochyliła się nieznacznie i spojrzała z ukosa na kobietę siedzącą obok Burego.

Niewiele się zmieniła, nabrała nieco ciała, poprawiła to i owo, ale to wciąż była ta sama Magdalena Piekarska, z którą przez dwadzieścia lat Agata dzieliła ogród i najskrytsze sekrety.

Może gdyby nie stanął między nimi Robert, wciąż byłyby sobie bliskie?

Posiłek dobiegał końca przy akompaniamencie cichych rozmów, jedynie ksiądz nie odzywał się do nikogo, od czasu do czasu łypiąc okiem na Leokadię. Tymczasem ona ani myślała zrezygnować z podjętego wcześniej tematu, musiała się jedynie posilić. A zjeść potrafiła! Trzy razy dokładała sobie ryby, pochłonęła kopiec ziemniaków, nie żałowała też duszonej w czerwonym winie kapusty. Wreszcie ukontentowana ułożyła sztucce równolegle na talerzu i skinieniem głowy wezwała kelnera.

- Przynies no, chłopcze, dwie butelki rieslinga i postaw tu, obok mnie. I jeszcze może różowe dla pani Śródki.

Agata różowe wino lubiła najbardziej, zwłaszcza jeśli w bukiecie miało truskawki. Jej frankofilskie podniebienie nigdy nie nauczyło się doceniać ciężkich czerwonych bordeaux albo merlotów, a po białym męczyła ją zgaga. Z wdzięcznością skinęła głową Leokadii i dzióbnęła kawałek soczystej ryby, która okazała się wyśmienita.

- Proszę o ciszę - zabrzmiał mocny głos Leokadii Schmidt zapowiadający powrót do przerwanoego na czas posiłku wyjawiania sekretów. - Mają państwo prawo poznać prawdę o kolejnym z obecnych tu gości.

Dokładnie w tym momencie do jadalni wślizgnął się prokurator Omkły, jednak żaden z biesiadników nie zwrócił na niego uwagi. Leokadia odsunęła krzesło od stołu i nonszalancko założyła nogę na nogę. Omiotła spojrzeniem wszystkich gości, na chwilę zatrzymała wzrok na twarzy prokuratora, nie zdradzając zaskoczenia jego nagłą obecnością, i rozpoczęła opowieść, która dla Ludwika Burego okazała się gwoździem do trumny.

- Urodziłam się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim jako czwarte dziecko Władysława i Eleonory, a zarazem praprapraprawnuczka szlachcica herbu Hochberg z linii międzychodzkiej.

Śródka dokonała ekspresowych obliczeń na palcach, wyszło jej osiemdziesiąt siedem, ale zgubiła się przy drugim „pra” i w rezultacie nie potrafiła sobie wyobrazić, w jakich latach mógłby żyć ów szlachcic z linii międzychodzkiej. No trudno, najwyżej dopyta.

- Zgodnie z przekazywanym z pokolenia na pokolenie podaniem ród Hochbergów wywodzi się z Alzacji i wziął nazwę od legendy o rycerzu, który zdobył największą górę w okolicy i zbudował tam pierwszy dom, zakładając rodowy *Heimat*. - Ostatnie słowa Leokadia wymówiła jak rodowita mieszkanka Hanoweru, czym zaimponowała Śródce i wszystkim pozostałym słuchaczom. - Mój ileś tam razy pradziadek był znanym w Wielkopolsce ziemianinem, a jego rozpuszczonym zstępny na szczęście nie udało się wszystkiego roztrwonić.

Moja matka, Eleonora z rodu Hochberg, wyszła za Władysława rodu gołodupiec i majątku tym mariażem nie pomnożyła, za to musiała go podzielić pomiędzy dwoje dzieci.

- Jak to: dwoje? - przerwała jej obcesowo Agata. - Mówiła pani, że urodziła się jako czwarta.

- Na szczęście dwoje nie dożyło podziału spadku - odpowiedziała staruszka bez mrugnienia okiem.

- Miód nie kobieta - szepnęła Śródka w stronę Burego, ale ten raczej niedosłyszał. Wzrok miał utkwiony w stole, a jego nieszczęśliwa mina nadawałaby się na obraz pośmiertny.

- Co tam pani mówi? - Leokadia za to słuch miała znakomity.

- Nic, nic, proszę kontynuować. Szalenie to ciekawe, historii można trochę liźnąć i przy okazji ludzi lepiej poznać...

- W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym zostałam wydana za Hermana Schmidta, pięćdziesięcioletniego prawnika, którego rodzina zmusiła do ożenku po tym, jak zapłodnił kilka służących. Rzecz jasna służące zostały odprawione, a z każdą z nich z domu ubywało trochę sreber. W końcu sreber całkiem zabrakło, skończyła się też cierpliwość Herr Schmidta, liczącego sobie wówczas osiemdziesiąt wiosen. „Skoro Herman tak bardzo lubi płodzić dzieci, niech to przynajmniej robi legalnie”, miał orzec mój przyszły teść. Ja do powiedzenia zbyt wiele nie miałam, zwłaszcza że najmłodsza też już wtedy nie byłam, zostałam więc panią Leokadią Schmidt.

- Zawsze mogło być gorzej i mogła pani wyjść za Roberta Śródkę... - Agata wypowiedziała te słowa, zanim dobrze się nad nimi zastanowiła, wskutek czego, zupełnie niechcący, wywołała burzę.

- Jak możesz, Agato! - uniosła się Anna Pawełka. - Jego ciało jeszcze nie ostygło, a ty już bezczęścisz jego pamięć.

- Coraz bardziej mi się wydaje, że to nie on był w tym związku gorszą połową -

powiedziała Julianna Makowiecka z wyraźną dezaprobatą w głosie.

- Święta się odezwała! - W obronie Śródki stanęła pijana jak bela Mariola Santini. - Jeśli nie wiesz, jak było, to nie gadaj. Robuś to był swołocz i żigolak! Chędożył wszystko, co mu w łapy wlażło, jak ten Herkules pani Leokadii.

Ów Herkules na moment wszystkim zabił świeka, w końcu jednak zorientowali się, że pisarka miała na myśli Hermana.

Leokadia chrząknęła głośno, lecz nie wyglądała na szczególnie niezadowoloną.

Ewidentnie dobrze się bawiła, wyciągając brudy.

- Mimo że po świecie chodzą całe bataliony dzieci mojego męża, wspólnych nie udało się nam doczekać - kontynuowała starsza dama. - W zasadzie trudno się temu dziwić, nie da się mieć dzieci, nie posiadając narządu, w którym mogłyby urosnąć.

Tym razem mówczyni zyskała niepodzielną uwagę słuchaczy. Wszyscy, włącznie z Ludwikiem, gapili się na nią jak sroka w gnat. I nikt nie odważył się wydać najmniejszego dźwięku. A pani Schmidt mogła dalej swobodnie się nad nimi pastwić.

- To bardziej powszechne, niż się wam wydaje; w mojej rodzinie, jak w każdej arystokratycznej, zdarzało się nagminnie. Jak myślicie, dlaczego wielkie rody bardzo często wygasają? Ciągłe mieszanie się tych samych genów musi prowadzić do aberracji.

- Pani o tym wiedziała, prawda? Już wtedy, kiedy wychodziła za niego za męża? - Śródka spojrzała staruszcze prosto w błyszczące oczy.

- Oczywiście. Trudno nie zauważyć, że nie dojrzewa się tak jak inne dziewczynki.

- Powiedziała mu pani? - drążyła restauratorka.

- Nie musiałam, sam chyba się zorientował, że skoro pól województwa posiada jego genotyp, to problem jest raczej we mnie.

- Czy ta opowieść ma w ogóle jakąś puentę? - Mischuk postanowił w końcu zabrać głos, czując wyraźny dyskomfort. - Może już wystarczy, ciociu?

- To ja zdecyduję, kiedy wystarczy, mój drogi Barnabo. I siedź cierpliwie, dojdziemy do puenty. - Elegancka starsza pani spojrzała na Mischczuka wyniośle, czym wyraźnie dała znać, co sądzi o jego zachowaniu.

Winiarz odrobinę skłęśł w sobie i postanowił nie odzywać się już niepytany. Leokadia przymknęła na chwilę oczy, odetchnęła głęboko i podjęła przerwany wątek:

- Jak mówiłam: dzieci z tego małżeństwa nie było. Wiele lat po śmierci Hermana spotkałam w Gościńcu pewną kobietę z kilkunastoletnim chłopcem. Ów chłopiec spojrzał na mnie tylko raz, jeden jedyny, a ja w mig spostrzegłam, że wygląda jak skóra zdjęta z ojca.

Oczywiście nie dałam nic po sobie poznać, ale bardzo szybko dowiedziałam się, że kobieta nazywa się Emilia Bury i przez kilka lat pracowała jako sekretarka w kancelarii mojego męża.

Nie od razu sens tej rewelacji dotarł do wszystkich zasłuchanych w opowieść Leokadii; jako pierwsi zrozumieli go prokurator Omkły i Agata Śródka. Ludwik Bury i Barnaba Mischczuk rozumieć nie musieli, dla nich nie było to żadne novum.

- I Ludwik musiał zostać księdzem za karę? Za to, że... był bękartem pani męża? - zapytała Julianna Makowiecka, kiedy już połączyła fakty.

- O nie, moja droga. Wstąpienie do stanu kapłańskiego było dla niego nagrodą. Zbyt hojną, jak widać. - Starsza pani utkwiała pełen gniewu wzrok w twarzy przystojnego duchownego.

- Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, co zrobił, żeby na nią zasłużyć - skwitowała Śródka cierpko. - Dla mnie to brzmi jak pokuta; w nagrodę można lecieć na Kanary albo dostać voucher do spa.

Staruszka kiwała się na krześle w przód i w tył, mruczając coś pod nosem. Nie kwapiła się z wyjaśnieniem, jakby celowo

budowała napięcie, zamierzając oszołomić słuchaczy szokującym finałem. W rzeczy samej, jeśli było to jej zamiarem, powiodło się znakomicie.

Rozdział XV.

Michelu, zostałeś wybrany na ochotnika

Ekipa straży pożarnej uporała się z gruzowiskiem powstałym po wysadzeniu sporej części ściany w piwnicy pałacyku w niespełna pięć godzin, z czego większość czasu pochłonęło zwiedzanie tajemniczego tunelu oddzielającego zewnętrzne mury piwnicy od ścian. Największy problem stanowiła szerokość owego tunelu, która nie pozwalała na swobodne poruszanie się barczystym strażakom. Tylko jeden z nich, dziewiętnastoletni ochotnik, miał szansę nie utknąć w wąskiej przestrzeni korytarza. Potrzebował jednak asysty, o którą dowódca poprosił Michela.

Reakcja konsjerża mogła zaś być tylko jedna.

- *Non! Absolutement non!* - powiedział tonem niepozostawiającym wątpliwości, po czym założył ręce na piersi i ostentacyjnie zaprezentował strażakom swoje plecy.

- Eeee, nada się idealnie - stwierdził jeden z nich. - Szczuplutki jak dziewczynka.

- Tylko phoszę bez takich! Wyphaszam sobie bycie nazywanym dziewczynką. Albo dziewczyną. Te czasy już dawno się skończyły. Tehaz panuje tolehancja.

- Znaczy, że pan jest... no wie pan, ten teges? - zapytał z niedowierzaniem krzepki strażak stojący najbliżej Michela.

- Jakie ten teges? Że niby co pan chce przez to powiedzieć? - oburzył się Michel nie na żarty. - Jeżeli pyta pan, czy jestem homoseksualistą, to odpowiedź brzmi: od uhodzenia!

- Podobno niemowlęta nie mają jeszcze preferencji seksualnych - wtrącił się inny ze strażaków. - No co się tak dziwicie, dziecko mi się urodziło i żona czyta te wszystkie poradniki.

A wy w toalecie to niby co czytacie, Tołstoja?!

Gromki rechot zadudnił w pięciobocznym pomieszczeniu, wywołując donośne echo.

Michel pomyślał, nie bez złośliwości, że większość z tych panów nawet magazynów w toalecie nie czyta, a już o znajomość twórczości Tołstoja nie da się ich podejrzewać.

- Śmichu-chichu, ale zajrzeć do tego korytarza musimy. - Dowódca przywołał swoich podwładnych do porządku ku ich wyraźnemu niezadowoleniu. - Panie Michelu, albo zostaniesz wybrany na ochotnika, albo pójdiesz pan sam, z poczucia obywatelskiego obowiązku. Wybieraj pan.

Michel odczuwał delikatny dysonans i nie mógł się zdecydować, czy jest obywatelem Francji, czy też Polski, paszporty bowiem posiadał dwa, w domu rodzinnym mówiło się w obu językach, przeważała jednak myśl o tym, że niedawno kupił działkę pod Poznaniem, a więc poniekąd stał się właścicielem ziemskim w kraju nad Wartą. Niechętnie włożył woniejący wszystkim, tylko nie świeżością, ochronny kombinezon użyczony przez jednego ze strażaków, na głowę wcisnął hełm, z rozpaczą myśląc o starannie ułożonej przez barbera fryzurze, i podążył za dziewiętnastoletnim strażakiem ochotnikiem z miną prowadzonego na galery Vidocqa.

Po drugiej stronie dziurawej ściany panowały egipskie ciemności. Latarki czołowe umieszczone na kaskach dawały nieco światła, jednak wysokość tunelu, w przeciwieństwie do jego szerokości, powodowała, że i tak było tam upiornie. Michel przez chwilę szedł z zamkniętymi oczami, za co oberwało mu się w chwili, w której wlaźł z całym impetem na plecy poprzedzającego go chłopaka.

- Co pan robi?! - syknął młodzieniec. - Narusza pan moją przestrzeń intymną!

- W tym ubhaniu? Szczerze wątpię... - odparł konsjerż z urazą. - Nic nie widzę, a pan?

- Też nic. Idźmy dalej, zobaczymy, jak długi jest ten korytarz.

- Wcale mnie to nie ciekawi - burknął Michel, ale posłusznie podreptał dalej, opierając ręce o ściany, jakby się bał, że za chwilę zaczną się zamykać jak imadło.

Tunel wydawał się nie mieć końca. W dodatku nie było z niego ani jednego wyjścia, żadnych drzwi, okien ani nawet zamurowanych wnęk. Po przejściu kilkunastu metrów postanowili zawrócić. Jako że nie było możliwości wyminięcia się w wąskim korytarzu, tym razem Michel musiał iść pierwszy. Kiedy mijali dziurę w ścianie, rzucili czekającym tam strażakom krótkie: „Po tej stronie nic, idziemy w drugą” i ostrożnie ruszyli ku zachodniej części pałacowych piwnic. Również i tu niczego nie znaleźli, zatem tak samo jak poprzednim razem wykonali w tył zwrot i wrócili do jedyne go wyjścia z tajemniczego korytarza.

Michel z ulgą i wyrazem obrzydzenia na twarzy zdjął strażacki uniform, a następnie, krzywiąc się paskudnie, czego na szczęście w ciemności nie było widać, oddał hełm jego właścicielowi i bez słowa wrócił na górę, gdzie dopadły go zawroty głowy. Niech no on dorwie tę Śródkę! Tak jej nagada, że baba z wrażenia urośnie!

Nie mając nic więcej do roboty, strażacy zebrali sprzęt i szykowali się do wyjazdu.

Towarzyszący Michelowi młodzieniec śpieszył się bardziej niż inni, ponieważ już był spóźniony na randkę z dziewczyną swoich marzeń. W ekspresowym tempie zrzucił z siebie kombinezon i podskakując na lewej nodze, siłował się z prawym butem. Kiedy wreszcie udało mu się go zdjąć, spojrzął na podeszwę, w którą wbił się kawałek niebieskiego szkła. Nie

miał jednak czasu zastanawiać się, gdzie mógł na niego nadeprnąć, wrzucił więc but do torby, za chwilę to samo zrobił z lewym, wzuł eleganckie półbuty pasujące do reszty stroju jak wół do karety i pomknął na spotkanie z panią swego serca.

Rozdział XVI.

Krew jest gęstsza od wody

Barnaba Miszczuk zasepił się. Za oknem lało jak z cebra, więc z wycieczki po winnicy nici, zresztą nawet gdyby prażyło słońce, jego goście i tak byli zbyt pijani, żeby spacerować po rozległych polach. Z nosem na kwintę sam zaczął dolewać sobie wina, modląc się o cud, który zatka usta ciotce Leokadii. Musiało w nią złe wstąpić, że wybrała akurat jego doroczne wydarzenie na wywlekanie wszystkich wstydliwych sekretów.

Tymczasem Leokadia Schmidt wyglądała na ukontentowaną. Plan podzielenia się wszystkimi grzechami Gościńca musiał w niej długo dojrzewać, czekając na odpowiedni moment. Po trwającej kilka minut przerwie, podczas której nikt nie odważył się choćby głośniejszemu ziewnięciu, a Mariola Santini z wrażenia przestała czkać, nobliwa dama wróciła do omawiania żywota szczególnie świętego Ludwika Burego.

- Podobieństwo chłopca, którego ujrzałam w sklepie, do mojego nieżyjącego męża było tak uderzające, że nie mogłam przestać o nim myśleć - podjęła tonem zawodowego gawędziarza.

- W pewnym momencie opanowała mnie obsesja i zapragnęłam obserwować, jak klon Hermana dorasta. Bardzo szybko zorientowałam się, że poza urodą odziedzyczył także jego rozwiązłość.

Nie mogąc dłużej słuchać opowieści o sobie, przystojny ksiądz podniósł się z krzesła i ostentacyjnie wymaszerował z jadalni. Mariola Santini chciała pójść w jego ślady, jednak nogi

odmówiły jej posłuszeństwa i z głośnym pacnięciem opadła z powrotem na krzesło. Rzecz jasna na bezdusznej Leokadii ani ewakuacja księdza, ani pijacka gimnastyka pisarki wrażenia nie zrobiły. Ciągnęła swą opowieść:

- W wieku siedemnastu lat Ludwik, jak większość chłopców, zaczął szukać przygód.

Początkowo były to niewinne zabawy z rówieśnikami, pierwsze kontakty z alkoholem i używkami, pierwsze miłosne fascynacje. Ze względu na to, że nigdy nie miał męskiego wzorca w domu, nie było komu go pilnować i przywoływać do porządku. Pieniądze, które Herman przeznaczył na utrzymanie chłopca, także się skończyły i matka Ludwika ledwo wiązała koniec z końcem. Dzieciak zaczął kraść - zakończyła Leokadia i skinęła na kelnera, żeby wymienił jej butelkę na pełną.

- Czy to jest oficjalne oskarżenie? - zainteresował się Błażej Omkły do tej pory siedzący cicho jak mysz pod miotłą.

- W żadnym wypadku, panie prokuratorze - odparła ostrym tonem kobieta. - Nawet gdyby, to sprawa już się przedawniła. Niemniej od tego właśnie się zaczęło. Najpierw podkradał różne rzeczy ze sklepu, z czasem nauczył się wyjmować portfele z kieszeni, aż w końcu i to mu nie wystarczało. W Gościńcu zaczęły się włamania.

- To był Ludwik?! - zagrział Roman Pajor, któremu niewyjaśnione sprawy włamań do bogatych domów sprzed dwóch dekad spędzały po dziś dzień sen z powiek. - I ty o tym wiedziałaś, ciociu?

Prokurator i Agata wyglądali jak rażeni piorunem na dźwięk ostatniego słowa. Co prawda Śródka już wcześniej myślała, żeby o to zapytać, ale rzecz jasna wypadło jej to z głowy, dla Omkłego tymczasem była to całkowita nowość.

- Czy państwo wszyscy są ze sobą spokrewnieni i nikt nie raczył mnie o tym poinformować? - wycedził, z trudem

trzymając nerwy na wodzy. – Kiedy ja prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa?

– Ja nie jestem! – zaproponowała natychmiast restauratorka.

– Ani ja – zawtórowała Santini. – Ja jestem sierotką.

– Co ty bredzisz, Madziaczkę? – syknęła Śródka. – Twoi rodzice wciąż żyją, w tym samym domu co mój tatuś. Głupsza jesteś niż Grażynka!

– Żyją? – zdziwiła się szczerze pisarka. – To wspaniale! Muszę ich odwiedzić. Pojedziesz ze mną, Agatko?

– Kretynka... – wyszeptała właścicielka pałacyku, kręcąc z politowaniem głową. Na głos zaś powiedziała: – Pojadę, pojadę, tylko mordercę musimy najpierw znaleźć. Jesteś pewna, że nie zamordowałaś Roberta?

– Nikogo ostatnio nie mordowałam – wyznała szczerze blond pięknosc. – Chyba że w książce.

– A nie ostatnio i nie w książce pani kogoś może mordowała? – podchwycił prokurator niewinnym tonem.

– Nie pamiętam – wyznała Santini i czknęła donośnie.

Bliski załamania nerwowego Błażej zanotował coś w swoim kajecie, po czym poprosił Leokadię o odpowiedź na pytanie o powiązania rodzinne. Przytomnie nie schował długopisu, za co później pochwalił się w myślach.

– Moi protoplaści skupiali w swoich rękach wielkopolskie, lubuskie i pomorskie ziemie od połowy piętnastego wieku. Poza wybitnymi generałami ród Hochbergów wydał utalentowanych prawników i ekonomistów. Kiedy wychodziłam za Hermana, mój majątek stanowiły trzy wsie i połowa Gościńca.

– O co, u licha, chodzi z tą połową? – uniosła się Śródka. – Jak się dzieli miasto na połowy? Wzięła pani taśmę policyjną, rozciągnęła wzdłuż ulicy Poznańskiej i stanęła po jednej stronie, krzycząc „Mój ci on!”?

- Słuszna uwaga - poparł ją prokurator. - Proszę to wyjaśnić, pani Leokadio, jeśli łaska.

- Łaska pańska na pstrym koniu jeździ - odparła staruszka, odrobinę bez związku z tematem. Ale kto by się czepiał właścicielki połowy Gościńca? - Kiedy miasteczko o nazwie Hochburg uzyskało w połowie siedemnastego wieku prawa miejskie, cała ziemia należała do Hochbergów i ich powinowatych. Pod zaborem pruskim większość prowadzonych przez moich antenatów przedsiębiorstw, w tym jedna z najznamienitszych na tym terenie cukrowni, podupadła. Trudno teraz dochodzić powodów tego stanu rzeczy, ale zapewne wszystko rozbiło się o pieniądze. - Leokadia zrobiła przerwę, upiła spory łyk wybornego białego wina i wróciła do opowieści: - Po drugiej wojnie światowej grunty zostały znacjonalizowane, a spór o należące do rodziny budynki trwał latami. W rezultacie, na mocy ugody zawartej z rządem, zwrócono nam wyłącznie te budynki, na których zachowały się znaki herbowe. Były to, poza dworkiem, w którym mieszkałam wówczas z Hermanem: kościół, obecna biblioteka będąca niegdyś domem handlowym, folwark, stacja kolejowa oraz pałac wraz z przyległościami.

- Mój pałac z moimi przyległościami?! - Agata się zatchnęła.

- Tak, pani Agato - potwierdziła Leokadia. - Zasadniczo teraz ten pałac należy do pani wraz z terenem dawnej winnicy wyglądającym jak, pozał się Boże, kloaka.

Agata zaczęła nerwowo mrugać, co przypłaciła łzawieniem lewego oka, które nie znosiło energicznego mrugania, a następnie prawe oko wlepiła w staruszkę. I zdumiało ją nie tyle porównanie rozległego ogrodu do wychodka, ile fakt, że sama zgadła jego pierwotne przeznaczenie. O Chryste z Nazaretu, ależ ona jest mądra niewyobrażalnie! *Vraiment géniale!*

- Czy ja dobrze zrozumiałam? - upewniła się słabym głosem. - W pałacu była winnica?

- Obok pałacu - uściślił Miszczuk, wyręczając ciotkę. - W pałacu, a konkretniej w jego piwnicach, znajdowała się królewska winiarnia.

- Czy możemy wrócić do tematu? - zniecierpliwił się prokurator Omkły. - Pani Śródka już chyba wie, skąd się wzięła połowa miasta, i nie zacznie szukać taśmy policyjnej wzdłuż głównej ulicy, ja jednak wciąż nie uzyskałem odpowiedzi na pytanie o państwa powiązania rodzinne.

- Cierpliwość jest zaletą bogów - skwitowała filozoficznie nobliwa dama. - Dzisiejsza młodzież wszystko chciałaby mieć podane na tacy, nie ma w was za grosz ciekawości i pokory.

No ale dobrze, niech już panu będzie. Obecni tu Barnaba, Roman Pajor, Antoni Korytko, Julianna Makowiecka, Patrycja Żmuda oraz Anna Pawełka są potomkami arystokratycznego rodu Hochbergów. Na oko licząc, mieliśmy wspólnych praprapradziadków. Potem linia się rozpiezchła, Hochbergowie *de domo* wymarli albo rozjechali się po świecie, a w Gościńcu zostałam tylko ja. Arystokracja nigdy nie zapomina o swoich krewnych, dlatego też staramy się żyć blisko siebie i dbać o wzajemne interesy. Krew jest gęstsza od wody, niech pan o tym pamięta, panie prokuratorze.

Włącznie z Błażem, do którego skierowana została owa przedziwna rada, nikt nie zrozumiał sensu ostatniego zdania, więc złożono je na karb mieszających się zmysłów staruszeki.

Prawdę mówiąc, nikt też nie zwrócił na nie szczególnej uwagi. Głowy zasłuchanych biesiadników zaczęły się niepokojąco kiwać, co oznaczało koniec imprezy - w tym stanie nikt nie zdołałby złożyć oficjalnych zeznań. I to jeszcze przed kolacją! Tylko kelnerzy zacierali ręce, ciesząc się na myśl o wolnym wieczorze.

Rozdział XVII.

Psiakhew!

Michel Blanc nie mógł zasnąć. Rzucał się na łożku jak księżniczka na ziarnku grochu.

Porównanie o tyle trafne, że skórę nasz konsjerż miał niezwykle delikatną i dostawał odcisków nawet od bawełnianych kapci. Mimo że zażył ziołowe leki na sen, ten uparcie nie chciał przyjść.

Ktoś inny pewnie chwyciłby nudną książkę albo włączył beznadziejny serial, ale nie on. Michel uspokajał się przy czyszczeniu butów.

Mrucząc pod nosem przekleństwa na przemian po polsku i francusku, wystawił z szafki dziewięć par obuwia w typie uniseks i zabrał się do ich pucowania. Rzecz jasna najbrudniejsze z całej kolekcji były sznurowane botki, w których Michel wędrował poprzedniego dnia po pałacowych katakumbach, od nich więc zaczął. W żłobionej podeszwie zgromadziło się sporo odłamków cegieł, wobec czego konieczne okazało się użycie specjalnej szczotki. Półprzytomny ze zmęczenia Michel wprawnymi ruchami oczyszczał wgłębienia z pamiątek po wizycie na gruzowisku, kiedy na starannie rozłożonej ściereczce, pośród ceglanych odłamków i drobnych kamyczków, zalśniło coś niebieskiego.

- *Qu'est-ce que c'est?* - Michel chwycił znaleźisko w dwa palce i delikatnie przetaił z kurzu. - Szafih? Nie, haczej nie szafih. - Ostrożnie odłożył niezidentyfikowany minerał na szafkę nocną i obejrzał dokładnie podeszwę drugiego buta.

Również tam znalazł niewielkie niebieskie kamyczki, które usunął z wyłobień i ułożył na szafce.

Po wyglansowaniu wszystkich dziewięciu par butów wreszcie zaczął porządnie ziewać.

Umył ręce, jeszcze raz wyszczotkował zęby i zadowolony położył się do łóżka. Czuł, jak jego myśli się rozplywają i nawet coś zaczęło mu się śnić, kiedy ocknął się nagle i usiadł wyprostowany jak struna.

- Psiakhew! - zaklął na głos. - Przecież to nie mógł być nikt inny. Że też ja o tym nie pomyślałem!

Zerwał się jak oparzony, chwycił komórkę i wybrał numer do Śródki. Natychmiast włączyła się poczta głosowa, ale skrzynka nie przyjmowała nowych wiadomości. Pośpiesznie odszukał w internecie numer do Gościnnej Doliny i cierpliwie czekał na zgłoszenie recepcji. Po siedmiu sygnałach w słuchawce rozległ się zaspany damski głos:

- Halo? Gościnna Dolina, czym mogę służyć?

- Dobry wieczór - niemal wykrzyczał do słuchawki. - Mówi Michel Blanc, dzwonię z pałacu w Gościńcu. Czy może mnie pani połączyć z pokojem pani Śródki?

- Niestety nie mam takiej możliwości, telefony gości nie wychodzą na zewnątrz.

- Hozumiem... - Michel się zatroskał. - A myśli pani, że można by z nią tehad hozmawiać?

- Raczej wątpię. Pani Śródka śpi. Rano mogę przekazać pańską wiadomość.

- Dobhe i to - burknął konsjerż i podyktował dziewczynie dwa słowa, które zanotowała na kartce z logo winnicy, zaznaczając numer pokoju, do którego notatka powinna trafić.

Zadowolony i wreszcie spokojny Michel wrócił do łóżka, po czym natychmiast zasnął.

Rozdział XVIII.

Jedyną wymówką jest śmierć

Agata obudziła się z uczuciem niepokoju. W obawie przed tym, że przespała porę śniadania, złapała zegarek i z zaskoczeniem odkryła, że dopiero dochodzi szósta. Miała zatem całą godzinę, by się przygotować do posiłku. Za oknem panowała ciemność, więc wycieczki po winnicy postanowiła sobie darować, zresztą Barnaba zapewniał, że dzisiaj uda się wreszcie ją zwiedzić.

Wyszykowała się w niespełna pół godziny i postanowiła zabić czymś czas. Może przejrzy Fejsbuka w telefonie? Prawda, przecież się rozładował! Podłączyła zasilacz do gniazdka i usiadła w fotelu, przeglądając ulotkę reklamującą Gościnną Dolinę.

Założona na początku XXI wieku przez Barnabę Miszczuka winnica jest jedną z największych w Polsce uprawiających Vitis vinifera (winorośl prawdziwą). Pierwsze wina z gatunków riesling, pinot noir, pinot gris, elbling wyprodukowane zostały w 2003 roku. Od tamtej pory Gościnną Dolina niezmiennie plasuje się w czołówce polskich i europejskich rankingów producentów win. Żółty Przewodnik Gault & Millau Polska rekomenduje wyroby z wielkopolskiej winnicy na liście stu sześćdziesięciu najlepszych produktów regionalnych w całej Polsce.

- Do czasu, panie Miszczuk, do czasu! - wyszeptała Śródka.
- Jak się Agata zabierze do wina, to nawet Michel będzie musiał przyznać, że mucha nie siada.

Ekran komórki się włączył i zaczęły nadchodzić kolejne powiadomienia. Agata dotknęła symbolu wiadomości i nagle przypomniała sobie, że miała oddzwonić do Michela. *Merde!*

Dzwonić teraz? Nie, to zły pomysł, o tej godzinie konsjerż na pewno śpi snem sprawiedliwego i obudzenie go grozi lawiną wyzwisk, w dodatku w obcym języku. Był kwadrans po szóstej.

Agata rozsiadła się w fotelu, fantazyjnie przerzuciwszy nogę przez jego podłokietnik, uruchomiła aplikację z grą Tetris i przepadła.

Z transu, podczas którego osiągnęła dwudziesty szósty poziom gry, wyrwał ją brzdęk gongu. Z trudem wygramoliła się z fotela, zdążywszy się już całkiem wygodnie zapaść w jego siedzisko, i rozprostowała nogi. Bateria w telefonie wciąż była słaba, zostawiła więc aparat podłączony do ładowarki i wyszła na śniadanie.

Spodziewała się tłoku na schodach, jednak na całym piętrze panowała cisza – nikt poza nią nie opuścił pokoju. „Tym lepiej – pomyślała. – Będzie spokój i może uda się poplotkować z Martą”. Ku swojemu zdziwieniu w jadalni zastała Madziaczka, która przyjęła półleżącą pozycję, opierając głowę na skrzyżowanych rękach ułożonych na stole. Okazem zdrowia raczej nie była.

- Oho, dzień dobry, słoneczko – powiedziała Śródka dużo głośniejszym głosem, niżeli wymagała tego sytuacja. – A gdzie twój święty kochaś, czyżby kłopoty w raju?

- Mhm... – wymruczała pisarka, wciąż z głową na rękach. – Znaczący nie wiem, gdzie jest Ludwik, nie widziałam go od wczoraj. Może umiera, tak jak ja.

- Wcale nie umierasz, mój robaczku zalany wyśmienitym pinot noir, to ordynarny kac, który cię odrobinę sponiewiera, ale później wrócisz do żywych. Soku pomidorowego wypij i słodkiej herbaty.

- Fúj!

- Które?

- Sok pomidorowy. Bleh.

- Ja też nie przepadam. - Agata usiadła obok i popatrzyła na nią niemal ze współczuciem.

- Stara, a głupia. Rodziców przynajmniej wskrzesiłaś?

- Jak wskrzesiłam? A kiedy oni umarli?! - Madziaczek gwałtownie podniosła głowę i natychmiast tego pożałowała. Jasna skóra pisarki nabrała zielonkawego odcienia. Ani chybi zaraz coś jej się uleje.

Agata przytomnie pobiegła do kuchni, chwyciła pierwszą lepszą miskę i podstawiała pod brodę przyjaciółki. Podczas gdy Mariola prowadziła dyskusję z naczyniem, Agata przypominała jej wydarzenia poprzedniego wieczoru.

- Jezu, naprawdę powiedziałam, że jestem sierotą? - zapytała pisarka, kiedy poczuła się odrobinę lepiej.

- Głośno i wyraźnie. Ale bardzo cię uradowało, kiedy zapewniłam, że twoi rodzice żyją.

- Pociuszające...

- Zjesz coś? Widziałam sałatkę z pomidorów.

- O nie, niczego nie przełknę. Tylko tej herbaty może się napiję.

Śródka poderwała się z krzesła, jakby tylko na to czekała, i w jednej chwili znalazła się w kuchni. Wypatrzyła Martę nad miską oliwek i podeszła do niej na paluszkach.

- Dobry - wyszeptła nad ramieniem dziewczyny. - Masz chwilę?

- A, jesteś! Usiądź sobie tam gdzie wczoraj, zaraz przyjdę.

Agata tanecznym krokiem udała się do kącika, po drodze chwytając dwa kubki.

- No, co tam ciekawego? - zapytała, gdy tylko dziewczyna usiadła na sąsiednim krzeselku. - Jakieś soczyste plotki po wczorajszej imprezie?

- O, kochana! Huczało jak w ulu. Kelnerzy nam wszystko opowiedzieli. Podobno Leokadia puściła farbę.

- Trochę tak, a trochę nie. Nie dokończyła historii Ludwika, a ja umieram z ciekawości, dlaczego on tym księdzem został. Ty wiesz?

Marta podniosła się i rozejrzała dookoła. Następnie przysunęła swoje krzesło bliżej Śródki i odezwała się konspiracyjnym szeptem:

- Że był młodocianym przestępcą wiesz?

Agata pokiwała głową.

- A że Leokadia uratowała go przed więzieniem?

- Tego się w zasadzie domyśliłam. Nie sądziłam tylko, że duchowni mają immunitet.

- No bo nie mają! On księdzem został niedawno, jakieś siedem, osiem lat temu.

- A wcześniej co? Tułał się po świecie jak Sindbad Żeglarz?

- Ty wiesz, że prawie trafiłaś? - zdumiała się Marta. - Leokadia załatwiła mu papiery i wysłała do Legii Cudzoziemskiej.

- Żartujesz?! - krzyknęła Agata i natychmiast zatkała usta ręką. - Żartujesz czy nie żartujesz?

- Nie żartuję. Nasz święty Ludwinio był najemnym żołnierzem. Zabójcą, zbrodniarzem, jak wolisz.

- I wy od niego przyjmujecie komunię? - Mina Śródki wyraźnie pokazywała jej stosunek do pobożności mieszkańców Gościńca.

- Nikt nic nie wie. Jak w czeskim filmie. - Dziewczyna zaśmiała się dźwięcznie. - Poza kilkoma osobami z najbliższego otoczenia rzecz jasna.

- A ty jesteś najbliższe otoczenie? Tak jak Mischuk?

- Moja mama była kuzynką byłej żony Barnaby, więc trochę jakby jestem.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i kuchnię wypełniły kształty Marioli Santini.

- Agata! Agatka, jesteś tu? - wychrypiała pisarka, trzymając się mocno ściany.

- Jestem, już idę do ciebie. Herbaty szukałam.

- Gapa z ciebie, Agatko, przecież herbata stoi obok ekspresu do kawy.

- No faktycznie, gdzie ja mam głowę? - Śródka teatralnym gestem pacnęła się w czoło i wstała z krzesła. Rzuciła bezgłośnie „Później pogadamy” w stronę Marty, na co ta skinęła głową. Agata chwyciła pisarkę pod rękę, po czym obie wyszły z kuchni. Bardzo powoli.

Około ósmej w jadalni zrobiło się tłoczno. Miszczuk wyglądał w miarę rzeško, Korytko też trzymał się całkiem nieźle. Pozostali nie mieli tyle szczęścia i aż żal było na nich patrzeć.

Nawet Leokadia postarzała się w ciągu ostatniej nocy o kilka lat. Albo i całą dekadę.

Mariola Santini klapnęła na pierwsze wolne krzesło, zajmując miejsce obok Patrycji Żmudy i Julianny Makowieckiej, które trudno było poznać. Rudowłosa Żmuda grzebała widelcem w jajecznicy, podparłszy głowę lewą dłonią, a Makowiecka ograniczyła się do herbaty i cynamonowej bułeczki. Po dobrych humorach z poprzedniego wieczoru nie został nawet ślad.

Śródka nałożyła na talerz solidną porcję sałatki z tuńczykiem, chwyciła dwie pachnące, jeszcze ciepłe żytnie bułki, a następnie różnym krokiem powędrowała do stolika, przy którym siedzieli naprzeciwko siebie Miszczuk z Korytką. Nie pytając ich o zdanie, zajęła wolne krzesło między mężczyznami i przystąpiła do energicznej konsumpcji smacznego posiłku.

- Masz ty zdrowie, Agato - stwierdził z uznaniem policjant, przyglądając się, jak kolejne porcje sałatki znikają w

czeluściach Agatowej jamy ustnej. – Oszukiwałaś wczoraj?

– Coś ty! – oburzyła się Śródka. – Piłam równo z wami, to wy jesteście leszcze.

– Na pewno tak się czujemy – bąknął cicho Mischuk. – Jak śnięte ryby.

– No, no, tylko bez takich! – Śródka machnęła widelcem tak energicznie, że kawałki sałatki wylądowały na koszuli Korytki. – Po śniadaniu idziemy zwiedzać winnice, choćby skały sra... się załatwiały!

Barnaba podjął skazaną na porażkę próbę wymówienia się kaczem, jednak nie z Agatą takie numery. Pozostała głucha na wszystkie argumenty. Bez słowa skończyła śniadanie, wypła do dna szklanekę soku pomidorowego, po czym wstała i ruszyła ku schodom. W ostatniej chwili odwróciła się, omiotła wzrokiem wszystkie chodzące trupy i zaordynowała:

– Za pół godziny zbiórka. Obecność obowiązkowa. Jediną wymówką jest śmierć.

Rozdział XIX.

W tych butach daleko nie zajdziesz

O dziewiątej w recepcji poza Agatą nie było nikogo. Po pięciu minutach restauratorka usiadła w fotelu i z nudów zaczęła nucić pod nosem popularną melodię. Wkrótce dodała do tego rytmiczne stukanie obcasami swoich nowiutkich złotych szpilek wysadzanych cyrkoniami.

- A gdzie reszta? - zapytał, wchodząc, Antoni Korytko. - Czyżby wszyscy postanowili wymówić się śmiercią? - zażartował niesmacznie.

- Na mnie nie licz - zabrzmiało ze strony schodów. - Ja się na razie na tamten świat nie wybieram.

- Dobrze to słyszeć - przywitała Leokadię Agata. - Miejmy nadzieję, że reszta pójdzie za pani przykładem.

Pani Schmidt zajęła drugi z foteli i przyjrzała się krytycznie stopom właścicielki pałacyku.

- W tych butach raczej daleko nie zajdziesz - stwierdziła z przyganą.

- Zdziwiłaby się pani - odparła Agata ze stoickim spokojem. - Ja w takich butach przeszłam całą trasę marszu kobiet w Poznaniu i nawet mnie pięty nie piekły.

Reszta towarzystwa schodziła się powoli. Kilka minut przed dziesiątą wszyscy, poza Grażynką, zbrali się w holu okutani w szale, czapki i ciepłe kurtki. Nawet Mariola Santini, choć wyjątkowo nieszczęśliwa, zastosowała się do zarządzenia

Śródki i pojawiła się uczepiona ramienia Ludwika Burego. Tylko Agata tryskała energią i niewyjaśnionym entuzjazmem. I nic ani nikt nie mógł jej tego wyśmienitego humoru popsuć.

Spacerowali chwilę pomiędzy szeroko rozstawionymi szpalerami krzewów latorośli, podziwiając uprawy ciągnące się po horyzont. Rześkie powietrze listopadowego poranka zdawało się poprawiać samopoczucie uczestników wycieczki. Początkową ciszę przerywaną wyłącznie beznamietną prelekcją Barnaby stopniowo zastępował przyjemny gwar rozmów i wybuchający co jakiś czas śmiech. Agata pytała o wszystko, starając się zapamiętać dziwnie brzmiące nazwy, takie jak piętki, nasady przyrostów czy korzenie szkieletowe. Z uwagą słuchała porad dotyczących wyboru właściwych podkładek i sposobów walki z groźnym szkodnikiem korzeniowym, jakim jest filoksera winiec. W końcu nadarzyła się okazja, żeby dowiedzieć się, od czego w ogóle zacząć tworzenie winnicy.

- Przed przystąpieniem do sadzenia trzeba sporządzić szczegółowy plan winnicy, uwzględniający rozstawę krzewów, kierunek rzędów i przejazdów oraz odległości od ogrodzenia - wyjaśniał cierpliwie Barnaba. - Mówiąc w skrócie: po wyrównaniu i zbronowaniu pola należy przystąpić do rozplanowania terenu. Najlepiej zacząć od wyznaczenia kształtu winnicy; zwykle to prostokąt lub kwadrat. Następnie wytycza się rzędy wewnętrzne i co półtora metra wbija paliki, które powinny znajdować się dokładnie w linii prostej. Odległość między rzędami nie może być mniejsza niż dwa metry, aby umożliwić właściwe nasłonecznienie krzewów. Jeżeli zastosujesz paliki, które wystają z ziemi na wysokość co najmniej stu osiemdziesięciu centymetrów, to powinny wystarczyć na dwa lata uprawy, a rusztowanie będzie potrzebne dopiero w trzecim roku. Dołki można wykopać...

Agata zgubiła się przy bronowaniu pola, o dołkach przy palikach już w ogóle przestała słuchać, co zupełnie nie

przeszkadzało Mischczukowi w omówieniu metod zakładania winnicy do końca. Śródka pod pretekstem usuwania kamyka z buta zatrzymała się nagle, pozwalając wycieczce zostawić ją odrobinę z tyłu.

Zgodnie z planem następny punkt stanowiły odwiedziny w winiarni. Anonsując to, Mischczuk uświadomił sobie, że zapomniał kluczy od budynku. Pomknął więc z powrotem do hotelu, lawirując między krzewami winorośli, a towarzystwo zostawił na pastwę zimowej aury.

- Nie stójmy jak te słupy soli - warknęła Leokadia. - Nie czuję palców u stóp.

- Ja nie czuję ani palców, ani pięt - kwękała Patrycja Żmuda. - Marzy mi się miska gorącej wody.

- Albo kąpiel z pianą - szepnęła pisarka i przylgnęła do księdza, trzęsąc się jak osika.

- Zaraz napijemy się wina i trochę nas rozgrzeje - przypomniał Korytko, zacierając ręce na myśl o przyjemnym winogronowym trunku.

- O nie... Tylko nie to - pisnęła Anna Pawełka. - Nie spojrzę na alkohol już nigdy w życiu.

Na zmianę to marudząc, to snując marzenia o rozgrzewających czynnościach, nieśpiesznie zbliżali się ku winiarni.

- Agata! - wrzasnęła nagle Mariola Santini.

- Niech się pani tak nie drze z łaski swojej - syknęła Leokadia. - Umarłego mogła pani obudzić.

- No właśnie próbowałam - wyszeptała Madziaczek i ścisnęła rękę Burego tak mocno, że ten aż się skrzywił.

- Co pani próbowała? - zapytał Korytko z powagą, a po plecach przebiegł mu dreszcz. -

I gdzie jest pani Śródka?

Wszyscy nagle zaczęli się rozglądać. Agaty Śródki wśród nich nie było.

- Kiedy ostatni raz ją widzieliście? - indagował służbowym tonem policjant. - Kto z nią rozmawiał? Była tu, kiedy Barnaba nas zostawił?

Wyglądało na to, że nikt nie pamięta momentu, kiedy restauratorka zniknęła z pola widzenia.

Mariola Santini sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała zemdleć. Otwierała usta, ale nie udawało jej się wydobyć z nich dźwięku.

- Co się dzieje, pani Mariolu? Wie pani, gdzie jest Agata? - Julianna Makowiecka podeszła do pisarki i delikatnie dotknęła jej ręki.

Biuściasta piękność wzdrygnęła się, po czym wyciągnęła drżącą dłoń w stronę winiarni.

- Tam... - wyszeptała. - Tam jest Agata.

Wszystkie oczy podążyły w wytyczonym przez jej rękę kierunku i nagle ziąb przestał być problemem. Zza zachodniej ściany winiarni wystawała para niewątpliwie damskich nóg obutych w różowe lakierowane szpilki.

Rozdział XX.

Pan z tych wolniej myślących?

Michel obudził się z przeczuciem nadchodzącego kataklizmu. Spał prawie do południa, co nie zdarzyło mu się od ostatniego urlopu, czyli od ponad roku. Gdy w końcu udało mu się zasnąć, w objęciach Morfeusza spędził ponad osiem godzin bez żadnej przerwy. A jednak wcale nie czuł się wypoczęty. Alarmujący szept niepokoju sączył jad w jego podświadomości, wywołując nieprzyjemne skurcze żołądka.

Konsjerż sprawdził telefon w nadziei, że Agata oddzwoniła do niego po otrzymaniu wiadomości, którą przekazała recepcjonistce, lecz z przykrością stwierdził, że nie dała żadnego znaku życia.

Swoim zwyczajem wziął długi prysznic, pobudzając krążenie strumieniami na zmianę gorącej i lodowatej wody, następnie starannie się ogolił, ułożył fryzurę za pomocą piekielnie drogiej gumy do stylizacji kupionej w ulubionym poznańskim salonie i ruszył do swoich obowiązków. W ten weekend nie przyjmowali gości, co okazało się doskonałą decyzją w obliczu wydarzeń piątkowej nocy – dopiero byłaby heca, gdyby musieli wypłacać odszkodowania przerażonym klientom.

Upewniwszy się, że wszystko znajduje się w znakomitym porządku i każdy z pracowników wykonuje swoje obowiązki, Michel zadzwonił do Gościnnej Doliny. Tym razem telefon odebrano po pierwszym sygnale.

- Gościnna Dolina, Artur przy telefonie.

- Dzień dobry, panie Ahturze, mówi Michel Blanc z pałacyku w Gościńcu. Czy pani Śródka dawała może jakiś znak życia? Wczohaj zostawiłem dla niej wiadomość.

W telefonie zapadła głucha cisza. Po kilkunastu sekundach Michel poczuł zniecierpliwienie.

- Halo, jest pan tam?

- Tak, jestem...

- To czemu pan tak niegrzecznie milczy?

- Bo nie wiem, jak mam odpowiedzieć na pana pytanie...

- A, hozumiem, pan jest z tych wolniej myślących? Niepełnosphawni pełnosphawni w phacy.

- Czy pan mnie próbuje obrazić? - zachnął się chłopak i najwyraźniej zrobiło mu się odrobinę przykro. Może i Niagarą intelektu nie był i do Mensy by go z otwartymi ramionami nie przyjęli, ale przecież maturę zrobił, i to z całkiem niezłym wynikiem.

- Bhoń Boże! Ja bahdzo popieham aktywizację zawodową osób niepełnosphawnych. Czy mam sfohmułować pytanie inaczej, żeby łatwiej było panu na nie odpowiedzieć?

- Nie dawała i nie da - odparował recepcjonista na wdechu.

- Phoszę? - Michel poczuł się odrobinę skonfundowany. - Czego nie dawała?

- Pani Śródka! - wrzasnął chłopak, aż zadudniło. - Nie dawała znaku życia, bo nie ma tego życia. Rozumie pan? NIE ŻYJE!

Michel nie rozumiał. A na pewno nie chciał rozumieć. I choć nieprzyjemne uczucie w żołądku się nasiliło, postanowił zastosować starą, znaną w psychologii metodę wyparcia.

Odłożył słuchawkę bez słowa, wytarł palcem wskazującym drobinki kurzu z kontuaru i przyznał sobie wolne do końca dnia.

- Ta Śhódka! Cholehna Śhódka! Mała Śhoda. *La petit mercredi, sacrebleu!* - wycedził przez zęby, wspinając się po schodach prowadzących do swojego pokoju, gdzie trzymał walizkę od Louis Vuitton za trzy tysiące euro.

Rozdział XXI.

Ile tych Śródków?

Prokurator Omkły na wieść o kolejnej śmierci w Gościnnej Dolinie sam niemal dostał

zawału. Najpierw nie uwierzył, zwłaszcza że poprzedniego wieczoru skusił się na lampkę lub dwie wyśmienitego owocowego pinot noir i nie miał pewności, czy umysł powrócił już do swej zwykłej formy. Kiedy komendant Korytko zapewnił go, że to nie żart i przydałaby się jego obecność na miejscu, Błażej z rezygnacją w głosie zapytał o tożsamość ofiary.

- Śródk - odparł pośpiesznie policjant.

- Która tym razem? - warknął prokurator, tracąc zimną krew.

- Ta nowsza, Grażynka. Choć przez chwilę myśleliśmy, że ta druga.

- A dlaczego... Dobra, nieważne. Nie chcę wiedzieć - rzucił Błażej. - Jadę do was, niech nikt nie waży się nigdzie ruszać. W szczególności Śródk. Ta żywa! - dodał na koniec.

Omkły rozłączył się, przez co nie usłyszał komentarza Korytki. I w zasadzie całkiem dobrze się stało. Po co chłopak miałby się dodatkowo denerwować? Jeszcze zdąży.

*

Budynek winiarni otaczała taśma policyjna. Na miejscu znalezienia zwłok w różowych szpilkach pracowała już ekipa techników, a nad ciałem kucał medyk. Błażej Omkły podszedł do niego, uważnie rozglądając się dookoła.

- Myśli pan, że serce jej pękło z żalu za mężem? - zażartował.

- Prędzej chyba zabiłaby się na tych szczudłach. Niestety obawiam się, że ani jeden, ani drugi scenariusz nie miały zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością. - Lekarz przywołał gestem Omkłego i wskazał na głowę leżącej na plecach Grażynki. - Dostała czymś szklanym, prawdopodobnie butelką, w tył czaszki. W dodatku z niezwykłą siłą. Jedno uderzenie i było po sprawie.

- Interesujące... I po tym uderzeniu upadła na plecy?

- Bardziej na bok, przynajmniej na to wskazują mocne stłuczenie barku i obtarty łokieć lewej ręki.

- Czyli ktoś ją przełożył na plecy?

- I przykrył szalem - dodał medyk, wskazując głową na szarozieloną pashminę leżącą kilka kroków dalej. - Musieliśmy ją zdjąć, żeby sfotografować twarz.

- A ta butelka jako narzędzie zbrodni to pański domysł? Mogło to być coś innego?

- Zdziwiłbym się, gdyby tak było. W ranie dostrzegłem odłamek grubego szkła i z dużą dozą prawdopodobieństwa, głównie ze względu na miejsce, w którym się znajdujemy, założyłem, że pochodzi ono z butelki na wino.

- Ale samej butelki nie znaleźliście? - upewnił się prokurator.

Lekarz zaprzeczył gestem. W tej chwili nic więcej nie mógł powiedzieć, ciało musiało jak najszybciej trafić na stół.

- Jeszcze jedno pytanie, doktorze. - Omkły przypomniał sobie nagle. - Czy to pan wykonywał obdukcję jej męża?

- Niestety nie. Nim zajmował się doktor Marczuk.

Błążej skinął głową i ruszył w stronę badających ślady techników. Wyglądało na to, że narzędzie zbrodni nie zostało odnalezione, a zamarznięta ziemia działała na korzyść sprawcy,

nie pozwalając na zabezpieczenie nawet jednego wyraźnego odbicia podeszwy buta. Nolens volens udał się w stronę hotelu, będąc jednak bardziej volens, bo zrobiło się nieprzyzwoicie zimno.

*

Po wejściu do budynku Błażej doświadczył dwóch rzeczy: najpierw otuliło go cudowne ciepło, a po chwili oszołomił jezący włos na głowie wrzask dobiegający z głębi holu.

- Ja żądam widzenia się z panią Śródką! Natychmiast!

- PO RAZ TRZECI TŁUMACZĘ PANU, ŻE JEJ TU NIE MA!

- A ja po haz czahty panu mówię, że nie wierzę - cedził przez zęby Michel Blanc, do którego w obecnej sytuacji lepiej pasowałoby nazwisko Rouge. - I wcale nie musi pan tak krzyczeć, ja doskonale hozumiem po polsku.

- Słabo pan raczej rozumie, skoro wciąż muszę powtarzać to samo. - Młody recepcjonista ściszył głos, ale tonu nie zmienił. - Pani Śródki tu nie ma i nie będzie, dołączyła do swojego męża.

- Chyba byłego męża? - zareagował Michel odruchowo.

- A tego to nie wiem, ja się plotkami nie zajmuję.

- Panie Blanc, co pan tu robi? - odezwał się zdumiony głos Błażeja Omkłego. - Coś się stało?

- To haczej ja pana powinienem o to zapytać - odparował pół-Francuz z grymasem. -

Ten pan twiehdzi, że zgubili Agatę.

- Wcale nie zabili Agaty - odparował Omkły, zanim zrozumiał sens słów Michela. -

A kto mówi, że zabili?

- Jaką znowu Agatę? - wrzasnął recepcjonista doprowadzony do szału. - Ja mówiłem, że ktoś zabił panią Śródkę, żonę pana Śródki.

- No i sam pan widzi, panie phokuhatorze, oszaleć można w tym buhdelu! Haz ją zabili, potem jej nie zabili, a te haz znowu albo zgubili, albo zabili! To kóhé w końcu ma być? Zabili ją czy jej nie zabili, *bon sang*?!

Zagotowany recepcjonista najwyraźniej podzielał potrzebę poznania odpowiedzi na te pytania, bowiem wpatrywał się w prokuratora nie mniej intensywnie niż miotający się Michel.

- Pani Agata Śródka żyje - wyjaśnił Omkły, patrząc w oczy konsjerżowi. - Natomiast pani Grażyna Śródka, ostatnia żona pana Roberta Śródki, już tyle szczęścia nie ma.

- *Oh mon Dieu!* - Michel złapał się za głowę. - To ile tych Śhódków tu było? I dlaczego?

- To są bardzo trafne pytania, panie Blanc. Na które zamierzam znaleźć odpowiedzi.

Rozdział XXII.

Brzoskwinie i mięta

Tymczasem Agata Śródka doskonale się bawiła w trakcie prywatnej jednoosobowej wycieczki po sercu Gościnnej Doliny. O ile ciągnące się po horyzont szpalery winorośli na polu robiły wrażenie, o tyle miejsce przerobu i produkcji wina wprost odbierało oddech.

Wędrowała korytarzem zalanym ciepłym światłem stylizowanych na lampy oliwne kinkietów i ciekawie zaglądała do mijanych wnętrz. Największym z nich była leżakownia, czyli wykorzystywane do fermentacji i rozlewania wina pomieszczenie, w którym ogromne zapieczętowane beczki zostały ustawione w kilku rzędach, a nawet w piramidach. Nieco dalej znajdowały się sala degustacyjna i piwniczka do przechowywania win, której odnowione ściany od góry do dołu zajmowały oryginalne stojaki przypominające plastry miodu wypełnione różnokolorowymi butelkami. W głębi pomieszczenia ogrodnik enolog szykował wino na zbliżającą się degustację.

- Dzień dobry, panie Marku. - Restauratorka powitała Kopczyńskiego z radosnym uśmiechem.

- Witam panią, Agato! - Ucieszył się na jej widok ogrodnik. - Pani sama?

- Pewnie reszta zaraz dojdzie, Barnaba zapomniał klucza, a ja zauważyłam, że pan wchodzi przez szopę, i pobiegłam za panem. Nogi mi zmarzły odrobinę, rozumie pan chyba.

Kopczyński spojrzał na złote pantofelki i w mig zrozumiał.

- To co, oprowadzi mnie pan? Pięknie tu macie!

- O tak, to prawdziwy skarbiec. Te beczki, które mijała pani po drodze, zostały sprowadzone z Francji. To właśnie dzięki nim nasze czerwone wina mają tak szlachetny aromat.

- To dąb?

- Zgadza się. Podobno z tego samego lasu, który dostarczał materiału na beczki do królewskich winnic.

- Tych w pałacyku? - domyśliła się Agata.

- I kilku innych - potwierdził Kopczyński.

- A skąd Barnaba miałby wiedzieć, który to był ten las na królewskie beczki? - zastanawiała się głośno Śródka.

- Nie tyle Barnaba, ile Leokadia.

Agata wyraziła uprzejmie zdziwienie uniesieniem brwi, które schowały się pod czarną grzywką.

- Skoro wspomina pani o pałacowej winnicy, musiała pani skądś się o niej dowiedzieć.

A nie ma w Gościńcu nikogo, kto lepiej od jego właścicielki znałby historię miasta i gościnieckich winnic, na których wzór zbudowała Dolinę - wyjaśnił Kopczyński.

- Dlaczego sprzedali pałac? - zagadnęła zniecierpliwiona Agata. - Przecież mogli zrobić winnicę w miejscu, w którym kiedyś była.

- Pałac poszedł pod młotek, kiedy Leokadia musiała się zająć problemem Ludwika -

odparł Kopczyński nieco enigmatycznie. - Wyrobinie dokumentów i wysłanie chłopaka do Francji kosztowało mały majątek i coś trzeba było poświęcić.

- À propos święcenia - podchwyciła wścibska restauratorka. - Jak to się stało, że siepacz został kapłanem? Kościół katolicki zgodził się na to bez szemrania? Nikt nie podejrzewał, że coś tam śmierdzi?

- Pieniądz nikomu nie śmierdzi, pani Agato - skonstatował wąsaty ogrodnik. -

A w dodatku biskupem poznańskim był wówczas kuzyn Leokadii, więc jak to się mówi, wszystko zostało w rodzinie.

- Trochę to dla mnie zastanawiające, dlaczego pani Schmidt tak bardzo dba o los zupełnie obcej osoby. Cóż z tego, że to bękart jej nieżyjącego męża? Przecież nie on jeden. I co, wszystkim funduje taką pomoc społeczną?

Kopczyński wzruszył ramionami i spojrzał Śródce w oczy. Widać było, że i on się nad tym nie raz i nie dwa zastanawiał, ale nie znalazł odpowiedzi.

- Wiem jedno, pani Agato: Herman Schmidt był bardzo dobrym człowiekiem. I kochał swoją żonę ogromnie, całkowicie się jej podporządkował. Moja świętej pamięci mama, która знаła ich jeszcze w czasach młodości, zawsze powtarzała, że gdyby nie Leokadia, ten biedny pogubiony facet zginąłby marnie.

- Taaa, w zasadzie bardzo dobrze to rozumiem - rzuciła Śródka szyderczo, myśląc raczej o swoim własnym Hermanie, który bez niej, Agaty, zginął marnie na kaflach podłogi w hotelowej łazience.

Marek Kopczyński pokiwał ze smutkiem głową, trafnie domyślając się powodu, dla którego restauratorka tak dobrze rozumie zjawisko matkujących żon. Żeby odciągnąć jej myśli od smutnego bądź co bądź wydarzenia, opowiedział o swoim małżeństwie, które też wcale nie było szczęśliwe. Kobiety również potrafią być niewdzięcznymi francami. A ponieważ wiadomo, że od mówienia gardło mocno wysycha, nawilżenie strun głosowych zapewniła mu - a przy okazji i Śródce - butelka szlachetnego osiemnastoletniego *vin rosé* ze szczepu cabernet cortis.

Marek Kopczyński ożenił się bardzo młodo. Oczywiście zrobił to z miłości, miał bowiem niebywale romantyczną duszę. Zakochał się w Barbarze na amen w dniu, w którym piękna

dziewczyna zignorowała go tak ostentacyjnie, że nie mógł przestać o niej myśleć.

- Pamiętam to, jakby działało się dosłownie wczoraj. Spotkałem ją na targu. Była zjawiskowo piękna: blond włosy do pasa, smukła kibić, krągłe biodra i ten błysk w wielkich błękitnych oczach. Pachniała brzoskwiniami i miętą. - Mężczyzna się rozmarzył.

Agata ze smutkiem pomyślała, że nie była w typie ogrodnika - nie miała smukłej kibici, wcięcia w talii też na próżno by u niej szukać, a krótką fryzurę w stylu lat dwudziestych nosiła niezmiennie od podstawówki. Miętą zasadniczo mogła pachnieć, czemu nie, w końcu pracowała w kuchni i lubiła zioła.

- Stałem za nią w ogonku po warzywa, wciągałem ten niepowtarzalny zapach i marzyłem tylko o tym, żeby na mnie spojrzała - ciągnął opowieść Kopczyński, co chwila mocząc usta w kieliszku z winem. - A ona nic. Co się do niej zbliżyłem, to ona krok w przód.

W końcu nie miała już nawet gdzie się przesunąć, musiałyby wejść na plecy osoby stojącej przed nią. Staliśmy tak kilka chwil, ona wyprostowana jak struna, ja oddychający prosto w jej kark, aż nie wytrzymała. - Ogrodnik skrzywił się, imitując grymas wkurzonej kobiety, co nawet nieźle mu wyszło. - Odwróciła się, poraziła mnie lodowatym wzrokiem i bez słowa wymaszerowała z kolejki.

- I co? Poszedł pan za nią? - spytała zaintrygowana Śródka.

- Nie miałem odwagi - wyznał cicho ogrodnik. - Ale nie odpuściłem. Tak się zawzięłem, że w końcu musiała na mnie zwrócić uwagę. Tydzień później odstawiony jak stróż w Boże Ciało czatowałem na targu od piątej rano. Zdążyłem poznać wszystkie tajniki ogrodnictwa i zupełnie nieświadomie wybrałem swój przyszły zawód. W końcu się zjawiała,

roztaczając wokół siebie aurę olśniewającego piękna i zapach miętowych brzoskwiń, a ja przystąpiłem do ataku.

- Za kudły i do jaskini?! - zachwyciła się Agata.

- Na kolano i do ołtarza - sprostował Kopczyński z uśmiechem. - Nie tak od razu, wiadomo, byliśmy wtedy niepełnoletni, ale jak tylko rodzice się zgodzili, poślubiłem moja Basieńkę i wydawało mi się, że Pana Boga za nogi złapałem.

- Miłość potrafi zaślepić - zgodziła się Agata z poważną miną. - Coś o tym wiem. Sygnały ostrzegawcze nic nie dają, rozum niewiele ma do gadania. Żałuje pan? - zagadnęła z ciekawością.

- Absolutnie nie. Dzięki Basi mam Martę, a ona jest całym moim życiem, moim oczkiem w głowie. - Ogrodnik uśmiechnął się z czułością, która wzruszyła Śródkę. - A pani?

- Czy żałuję ślubu z Robertem? - Agata zamyśliła się głęboko. - Wie pan, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Kiedy przyszła pora na rozwód, wiedziałam, że podejmuję właściwą decyzję. Teraz oczy otworzyły mi się nieco szerzej, zaczynam myśleć, że więcej to małżeństwo przyniosło złego niż dobrego. Przede wszystkim straciłam przyjaciółkę, możliwe, że jedyną.

- Prawdziwej przyjaźni nie można tak łatwo stracić, pani Agato. Myślę, że wszystko da się naprawić - pocieszył ją ogrodnik o szlachetnym wąsatym obliczu. - To co, otwieramy jeszcze jedną?

Rzeczywiście w butelce pokazało się dno. Agata miała wielką ochotę na kolejną, jednak potrzeba zgłębienia winiarskich tajemnic Mischzuka była silniejsza. Śródka odmówiła więc ruchem głowy i poprosiła Kopczyńskiego o *tour de la maison*, który okazał się niezwykle pouczający.

W trosce o wyjątkowo niewłaściwie dobrane obuwie Agaty Marek Kopczyński poprowadził ją „tajnym przejściem”, z którego korzystano do transportu butelek i przemieszczania się bez konieczności paradowania po polu. Korytarz, którym

Śródka dostała się wcześniej do leżakowni, rozwidłał się – lewa odnoga prowadziła do piwnicy, prawa zaś wiodła prosto do trzeciego, znanego wyłącznie pracownikom Doliny wejścia do hotelu. Tym sposobem Śródka nie miała okazji zauważyć ekipy dochodzeniowej ani leżącego za domem ciała Grażynki, cała mrożąca krew w żyłach scena rozgrywała się bowiem z drugiej strony pofolwarcznych zabudowań, a grube ceglane mury idealnie tłumili dochodzące z zewnątrz dźwięki.

Zadowolona z wycieczki i niezwykle przyjemnej pogawędki z Kopczyńskim wróciła do hotelu jakby nigdy nic.

Rozdział XXIII.

Czy ja jestem o coś podejrzana?

W jadalni panowała atmosfera żałoby. Patrycja Żmuda z Julianną Makowiecką zawodziły rzewnie, Miszczuk podpierał ścianę blady jak upiór, Korytko siedział pochylony nad stołem ze wzrokiem utkwionym w oparciu krzesła stojącego naprzeciw niego, Anna Pawełka lekko się kołysała czule objęta przez Kornasia, Mariola Santini ułożyła głowę na ramieniu Ludwika Burego i wyglądała na pogrążoną w głębokim śnie. Leokadia Schmidt siedziała wyprostowana jak struna i patrzyła przed siebie, jakby na coś czekała.

- Gdzie jest pani Śródka? - zagrzemiał głos Błażeja Omkłego, gdy tylko prokurator przekroczył próg jadalni.

Pogrążone w rozpaczycie towarzystwo wzdrygnęło się lekko, ale natychmiast zwróciło spojrzenia na towarzyszącego prokuratorowi mężczyznę.

- Bardzo niesmaczny ten żart - odezwała się Mariola Santini cichutko. - Pani Śródka nie żyje.

- Ja naprawdę oszaleję z tą sprawą - warknął Omkły. - Gdzie jest Agata Śródka, do jasnej cholery?!

- Za panem - odparła Leokadia Schmidt wyraźnie uspokojona. - Zdaje się, że właśnie nadchodzi.

W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza i słychać było stukanie obcasów na posadzce holu. Wszystkie oczy wpatrzyły się w drzwi z intensywnością, która stała się niemal dotykalna.

Stukot nagle ucichł i drzwi otworzyły się z rozmachem, wpuszczając do środka rumianą restauratorkę.

- A co to za impreza? - zapytała z uśmiechem i spojrzała na Michela. - Michelinku, co tu robisz? Tylko nie mów, że się za mną stęskniłeś!

- Można wiedzieć, gdzie pani była? - odezwał się zimno Omkły.

- Ja gdzie byłam? A gdzie wy byliście? Czekałam na was w tej winiarni, aż mi się znudziło. Dziabnęłam sobie butelczynę jakiegoś czegoś, bo trochę zimno się zaczęło robić, i w końcu wyszłam. Przecież nie będę tam sterczeć jak kołek.

- Była pani sama? - kontynuował przesłuchanie prokurator.

- Nie, skąd! - Rozpędziła się, żeby streścić całą rozmowę z Kopczyńskim, kiedy nagle coś ją tknęło. - Zaraz, zaraz... A o co tu właściwie chodzi? Czy ja jestem o coś podejrzana?

- Pani sobie ze mnie kpi? - Omkły z trudem zachowywał spokój, jeszcze chwila, a zaczęłoby mu się dymić uszami. - Po co pani, za przeproszeniem, polazła do winiarni? Interes tam pani jakiś miała? Czy może tą wydojoną z nudów butelczyną tłukła pani po głowie rywalkę?

- Oszalał pan?! - oburzyła się nie na żarty Agata. - Butelczyna została grzecznie odstawiona zaraz po wydojeniu i na pewno nie stała się narzędziem walenia po głowie, chyba że pana ktoś rąbnął, bo faktycznie pierdusi pan jak potłuczony...

- Agato! - Korytko tak gwałtownie wciągnął powietrze, że aż dostał czkawki. - Hik, to nie jest, hik, dobry pomysł, hik, żeby obrażać, hik, stróża prawa.

- A idźcie wy wszyscy do diabła z tym waszym stróżowaniem. I z prawem przy okazji.

Morderca Roberta wciąż lata na wolności niczym biała dama w Kórniku, sprawca masakry w pałacowej spiżarni też nie doczekał się sprawiedliwości (chyba że to ten sam osobnik, to

wtedy hańba podwójna, panie prokuratorze), a pan mnie tu przesłuchuje na okoliczność nie wiadomo czego, jakbym była wrogiem publicznym numer jeden. A chała!

Oszołomiony niespodziewaną perorą Błażej Omkły całkiem stracił kontenans. Stał jak słup soli, blady niczym wspomniana przez Śródkę biała dama strasząca w kórnickim zamku, i milczał. Milczeli też świadkowie tej sceny, usiłując udawać, że wcale ich tam nie ma. Jako pierwszy mowę odzyskał Michel.

- I mnie takie fajehwehki ominęły? Zabawa w Cluedo odchodzi w najlepsze, a ty, duhny Michelu, siedz sobie w swoim pałacu i nudź się jak mops. Tak, Agato?

- Fajerwerki to raczej były u pana - wycedził prokurator. - Tutaj co najwyżej ordynarne mordowanie.

- Jakie znowu fajerwerki? - zdumiała się Śródka. - Zrobiliście sobie *la fête* beze mnie?!

- Oczywiście! Tylko postawiłaś nogę za phogiem, a my siup i phywatka, jakiej nie przeżył nikt. W Poznaniu nas pewnie słyszeli albo nawet i w Wahszawie - szydził Blanc bez cienia litości dla swojej bądź co bądź chlebowaczyni. - Ty się naphawdę powinnaś leczyć, Agato, najlepiej w zakładzie zamkniętym.

- Najlepiej będzie, jak oboje się państwo uspokoją. To taka moja delikatna sugestia.

A nawet polecenie. - Omkły patrzył to na jedno, to na drugie wzrokiem surowego rodzica. -

Proszę zająć miejsce przy stole i wysłuchać, co mam do powiedzenia.

Zrugana jak sztubak Agata posłusznie podreptała do stolika, Michel podążył za nią i w rezultacie usiedli obok siebie, niecierpliwie oczekując na przemowę olśniewająco przystojnego młodzieńca.

Młodzieniec ostentacyjnie odchrząknął, policzył wzrokiem obecnych w jadalni – wyszło mu o jedną sztukę za dużo, po czym przypomniał sobie, że Michel jest nadprogramowy – i jak rasowy Herkules Poirot rzekł: – Okłamywano mnie. Od początku nikt z państwa nie mówił prawdy.

Zapadła niezręczna cisza; wszyscy oskarżeni o oszukiwanie wymiaru sprawiedliwości poczuli się dotknięci do żywego.

– No co ty, Błażej, chyba nie podejrzewasz mnie o działanie na szkodę firmy? – W głosie Korytki słychać było oburzenie, ale i odrobinę smutku.

– Do ciebie, Antoni, mam żal o to, że ukryłeś przede mną fakt waszych rodzinnych powiązań oraz to, że znaleście pana Śródkę: ty, Ludwik i Barnaba.

Oczy wszystkich, a zwłaszcza Agaty, co najmniej podwoiły swoją wielkość. Tego nie spodziewała się na pewno.

– Może wyjaśnicie pozostałym gościom, dlaczego pan Roman Śródka was nie rozpoznał? – dodał Omkły tonem niby pytającym, choć w rzeczywistości był to rozkaz.

Panowie wyraźnie nie palili się do składania wyjaśnień, było im to raczej mocno nie na rękę. Błażej Omkły pomimo młodego wieku, wyglądu cherubina i myślącego nazwiska nie był żadnym, Boże broń, żółtodziobem fajtłapą, rozum miał całkiem niezłe pofałdowany, serce też po właściwej stronie i potrafił ustawić do pionu niemal każdego. Z wyjątkiem rzecz jasna swojej matki, ale to wymagałoby mocy nadprzyrodzonych, a Błażej był przecież tylko człowiekiem.

Milczał jeszcze przez chwilę, żeby uspić ich czujność – niech się łudzą, że zostawił im wybór. Tymczasem nikt już wyboru nie miał: albo zaczną gadać, albo pojedą do aresztu.

A w areszcie czarny chleb, czarna kawa, a o czerwonym cabernet cantor można zapomnieć.

Pierwszy złamał się Korytko, choć gołym okiem było widać, że wewnętrzna walka toczyła się w nim do końca. Zerkał

jeszcze nieśmiało to na siedzącego z jego prawej strony Miszczuka, to na oddalonego nieco Burego, ale wsparcia w ich spuszczonego wzroku nie znalazł.

Poprawił się odrobinę na krześle, wyprostował tułów, nadając całej sylwetce godność, po czym wyznał pełnym wstydu głosem:

- Poznaliśmy pana Śródkę ponad dwadzieścia pięć lat temu, w okolicznościach nader nieprzyjemnych i prawdę mówiąc, udało nam się o tym przykrym zajściu zapomnieć.

- Dwadzieścia pięć lat temu to on był moim mężem - stwierdziła Agata, marszcząc czoło. - A was w ogóle sobie z tamtych czasów nie przypominam.

- Ćśśś - upomniała ją Leokadia. - A co ty jesteś, papież, żeby wszyscy cię po pierścieniach całowali? Słuchaj grzecznie i nie przeszkadzaj.

Agata usiadła jak niepyszna i założyła ręce na piersi. Nie nawykła do bycia uciszaną i szalenie jej się to nie podobało. Była jednak za dobrze wychowana, a przede wszystkim stanowczo zbyt zaintrygowana owym „przykrym zajściem”, żeby wchodzić w utarczki słowne ze szlachcianką z piekła rodem.

Korytko pogodzony z losem odczekał krótką chwilę na wypadek, gdyby komuś jeszcze przyszło do głowy wtrącić swoje trzy grosze, i podjął spowiedź:

- Wstyd o tym mówić, ale mleko się rozlało. Skoro Błażej już zdążył się o tym dowiedzieć, to pewnie i wy prędzej czy później poznalibyście prawdę. Dwadzieścia siedem lat temu wdaliśmy się w bójkę w Poznaniu i zostaliśmy aresztowani. Wszyscy czterej: Barnaba, Ludwik, ja i pan Śródka. Ludwik był wtedy studentem Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych, a my, zdaje się, zostaliśmy tam zaproszeni na obchody jakiejś uroczystości. W gali brała także udział sympatia Ludwika i

niczym Helena Trojańska stała się przyczyną późniejszych wydarzeń. Może zechce pani dokończyć, pani Magdo?

Mariola Santini, do której zostały skierowane te słowa, oblała się purpurą, dzięki czemu odzyskała mniej więcej wygląd żywego człowieka. Spojrzała w oczy Ludwikowi Buremu i znalazłszy w nich przyzwolenie, odezwała się cicho:

- To prawda, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, po tym jak Roman Śródka porzucił mnie dla mojej przyjaciółki Agaty, zakochałam się, zresztą z wzajemnością, w przepięknym Ludwiku Burym. Szkoda, że nie widzieli go państwo w mundurze! I ty, Agatko!

- Rzeczywiście, wielka szkoda... - bąknęła Śródka pod nosem i wbiła paznokcie w lewe kolano.

Wyglądało na to, że kradnąc przyjaciółce Roberta, wyświadczyła Madziaczkowi ogromną przysługę. Nic dziwnego, że pisarka wcale nie miała jej tego za złe! Parszywe szczęście.

- Do rzeczy, pani Magdaleno - upomniał pisarkę Omkły.

- Ekhm, tak, już mówię. Otóż po uroczystości, o której mówił pan Antoni... to było, zdaje się, święto patrona, tak, Ludwiniu?

- Zgadza się - potwierdził niebywale przystojny ksiądz. - Rocznica śmierci hetmana Stefana Czarnieckiego.

- Właśnie, właśnie. Po części oficjalnej poszliśmy na kolację, a następnie mieliśmy się wybrać na tańce - ciągnęła Santini. - W drodze do lokalu, w którym zwykle bawiła się młodzież, spotkałam Roberta Śródkę. A właściwie to Robert już tam na mnie czekał, w dodatku pijany tak bardzo, że ledwo trzymał się na nogach. Wywiązała się sprzeczka, Ludwik stanął w mojej obronie, Robert rzucił się na niego z pięściami, na to zareagował pan Barnaba, pan Antoni próbował ich uspokoić i też mu się oberwało, a na sam koniec, nie wiadomo skąd, zjawiała się policja.

- I co było dalej? - wyrwało się Juliannie Makowieckiej.

- Policja wręczyła im kwiaty - wycodziła Leokadia.

- Aresztowali nas - odparł Barnaba, gromiąc ciotkę wzrokiem. - Zwinęli, posiedzieliśmy czterdzieści osiem, dostaliśmy zarzuty, potem wyroki, i tyle. Śródka został dłużej, bo w tym amoku rzucił się na policjanta i ugryzł go w nos.

- I pan nadal może phacować w policji? - oburzył się Michel, idealista i romantyk do szpiku kości.

- Kosztowało mnie to bardzo wiele - odpowiedziała na jego pytanie pani Schmidt. - Wiele krwi, potu i pieniędzy.

Błażej Omkły wodził wzrokiem po czworgu spiskowców, nie próbując nawet ukryć obrzydzenia, jakie budziło w nim ich kłamstwo. Od początku czuł, że w tej sprawie coś się nie zgadza, choć aż do tej chwili nie miał pewności co. Nazwisko Magdaleny Piekarskiej nie znalazło się w aktach sprawy sprzed dwudziestu siedmiu lat, on jednak domyślał się, że zażyłość między pisarką a księdzem nie była wyłącznie wynikiem jednodniowego flirtu. Wieloletni romans z Burym, a także osobista znajomość z Barnabą Mischzukiem tłumaczyły również brak prawdziwego nazwiska pisarki na liście gości winnicy.

- Czy to wszystko, co mieli mi państwo do powiedzenia w sprawie znajomości z panem Robertem Śródką? - zapytał z naciskiem.

Cztery głowy wykonały potakujące gesty niemal w tym samym tempie.

- Czy możemy zatem przejść do kolejnego morderstwa?

Agata nie zareagowała na pytanie prokuratora, pogrążyła się bowiem w zadumie. Kiedy ten cały Czarniecki umarł? Albo może z drugiej strony - kiedy Roman zniknął na kilka dni?

Zdaje się, że wiosną, czy może pod koniec zimy? W lutym - to musiał być luty, bo w marcu już się do niej wprowadził. Powiedział jej później, że wypadły mu jakieś nagłące sprawy rodzinne.

A to menda! Sprawy rodzinne! Parys od siedmiu boleści się znalazł. I Mike Tyson biedawersja...

- Pani Agato!

Głos Błażeja przedarł się w końcu do jej świadomości i restauratorka podniosła nieprzytomny wzrok na Omkłego.

- Tak, to ja.

- Co ma pani do powiedzenia na temat morderstwa pani Śródki?

- Wszystko już przecież panu powiedziałam. Ile razy mam powtarzać, że zamordowała go ta chuda latawica, żeby pan wreszcie to pojął? - wycedziła. - Czego?! - syknęła do Michela, który szturchał ją łokciem raz za razem, mrugając oczami, jakby miał tik nerwowy.

- Pan phokuhatoł zapytał cię o mohdehstwo pani Śródki. A nie pana.

- A cóż to znowu za nedorzeczność? Po pierwsze, pani Śródka tu siedzi, więc niegrzecznie jest o niej mówić w trzeciej osobie, a po drugie, skoro siedzi, to jest żywa, a zatem nikt jej nie zamordował - odparowała.

- Jest pani pewna, że nie wypięła w tej winiarni więcej niż jednej butelki?

- Niech się pan wreszcie zdecyduje, panie prokuratorze - odparła wściekła. - Mam być martwa czy ubzdryngolona? Bo zasadniczo to ani jedno, ani drugie, tak na marginesie.

Stojący dotychczas niemal na baczność Omkły musiał nagle stracić siły, bo sięgnął po najbliższe krzesło i opadł na nie bezwładnie. Zgiął się wpół, ścisnął skronie dłońmi, po czym potargał starannie ułożoną fryzurę w stylu Christiana Ronaldo z sezonu dwa tysiące piętnaście z przedziałkiem po lewej stronie. Agata przyglądała mu się z wyrazem zniesmaczenia. Może to on jest pijany? Coś kiepsko wygląda, nie mówiąc o bredniach, jakie wygłasza. Śródka martwa.

Widzieliście go, wzięłyby się lepiej do aresztowania tej...

Nie zdążyła dokończyć myśli, kiedy zabrzmiał gong wyznaczający porę obiadu. W ciszy, która panowała w jadalni, upiorność tego dźwięku sprawiła, że wszyscy podskoczyli na krzesłach. Miało to także swoje dobre strony, bowiem oznaczało chwilową przerwę w niezbyt przyjemnym spotkaniu ze stróżem prawa.

Rozdział XXIV.

Mnie wahto znać

Obiad podano tym razem w przytulnej sali pełniącej zwykle funkcję pokoju konferencyjnego. Dzięki obecności Michela i prokuratora Omkłego, który nie dał się długo namawiać na skorzystanie z posiłku, przy stole znów siedziało czternaście osób i brak nowożeńców nie rzucał się tak bardzo w oczy. Tym razem Agata zajęła miejsce z dala od księdza, obok niej zaś usiadł Michel, coraz bardziej zachwycony atmosferą panującą w Gościnnej Dolinie. Z emocji całkiem zapomniał poruszyć z Agatą temat, który właściwie go tu sprowadził.

Niedzielne menu rozpoczynał znakomity rosół wołowy podany z lanymi kluskami i szczerze posypany aromatyczną natką pietruszki. Agata z lubością pochłaniała kolejne łyżki złotego bulionu, delektując się bukietem ziół z wyraźną nutą lubczyku. Pozostałym gościom też raczej smakowało, a Omkły nawet poprosił o dokładkę. Tylko Michel kręcił nosem, ale on wszystko, co nie miało w nazwie „ła” albo „le”, uznawał za niejadalne, chyba że akurat był bardzo głodny. Tym razem głodny był umiarkowanie, zjadł zatem odrobinę klusek i ostentacyjnie odsunął od siebie talerz pełen rosołu.

Rozmowy przy stole się nie kleiły. W zasadzie nikt nie miał nastroju do pogaduszek, wciąż stał im bowiem przed oczami widok różowych szpilek wystających zza budynku winiarni albo - jak w przypadku Agaty - zbyt byli obrażeni, żeby zaszczycać świat swoją elokwencją. Na szczęście jednak żadnemu z biesiadników nie przyszło do głowy, żeby wyjąć telefon

komórkowy i gapić się w jego ekran. Zamiast tego gapili się na stół.

Do drugiego dania, na które tym razem podano trzy rodzaje czerwonego mięsa, dwa rodzaje pierogów i ogromną ilość ziemniaków, tradycyjnie serwowano wino. Barnaba lękliwie spoglądał w stronę prokuratora, czy ten nie zabroni picia alkoholu, nic takiego jednak się nie stało. Omkły pierwszy chwycił za butelkę, po czym napełnił kieliszek Leokadii. Sobie nalał tylko symbolicznie „na spróbowanie, bo przecież jestem na służbie”.

Agata była niepokieszona. Barnaba sztywno trzymał się zasady, że do czerwonego mięsa pasuje wyłącznie czerwone wino, i różowego tym razem w ogóle nie było. Chcąc nie chcąc, musiała zadowolić się czerwonym roeslerem o początkowo ziemistym, nieco zielnym aromacie, który – co odkryła z prawdziwą przyjemnością – z czasem nabierał przyjemnych nut jeżyn, porzeczek, słodkiej wiśni, a wyczuwalne tony korzenne nadawały mu delikatną cierpkość.

Po kilku łykach szlachetnego trunku atmosfera wyraźnie się rozluźniła. Patrycja Żmuda opowiadała Makowieckiej o znajomej, której niedawno urodził się „taki malutki pulchniutki synek, tylko cztery kilo ważył!”, na co bibliotekarka z rozczuleniem odparła, że zaciumkałaby go chyba, te paluszki, rączki i te małe pućki. Anna Pawełka, która tym razem siedziała między Kornasiem a Leokadią, rozgadała się na temat planów weselnych i dowodziła wyższości orkiestry nad didżejem, z czym nie zgadzał się jej narzeczony. Mischczuk był w swoim żywiole – opowiadał Omkłemu o procesie powstawania „tej austriackiej odmiany wina”, która wyraźnie zrobiła na prokuratorze wrażenie. Ludwik Bury szeptał czułe słówka do ucha Marioli Santini, zupełnie się już nie kryjąc ze swoim uczuciem. Antoni Korytko i Roman Pajor dyskutowali żywo z Różą Kalicką na temat wycinania drzew owocowych w

przydomowych ogródkach, skutkiem czego musieli uznać, że przepisy są stanowczo zbyt niejasne i konieczne będzie spotkanie z właściwymi organami.

Michel Blanc wyglądał na zachwyconego. Wino znikało z jego kieliszka zaskakująco szybko, odwrotnie do uśmiechu na twarzy. W odróżnieniu od Agaty Śródki nie był odporny na działanie alkoholu, a nawet dość prędko ulegał jego wpływowi. Na skutki nie trzeba było zatem długo czekać i już po wypiciu jednej butelki okropnie się rozswawolił.

- Agato - szepnął wprost do ucha swojej pracodawczyni, przy okazji obdarzając ją aromatycznym chuchnięciem. - Przedstaw mnie, ci państwo mnie chyba nie znają. Poza panem phokuhatohem.

- A niby po co mieliby cię znać?

- Bo mnie wahto znać! - Konsjerż wyprężył dumnie chudą pierś, przez co upodobił się do bojowego kurczaka. - Michel Blanc to nie jest byle kto.

- Puknij się, Michelku. Albo lepiej się napij. - Agata sięgnęła po butelkę, tym razem odmiany monarch, i przelała jej zawartość do dwóch kieliszków. - Mmm, spróbuj! Czujesz wanilię?

Michel upił spory łyk trunku i uniósł brwi ze zdumienia.

- Masz hację! Wanilia, thoszkę dhewna, jakby dym i jakieś przyjemne przyphawy.

Zapisuj, musimy to mieć! - podniósł głos zupełnie niezamierzenie, po czym skulił się lekko. -

Chyba że zmieniłaś zdanie i zhezygnowałaś z tej winnicy? - dodał szeptem.

- Ćśśś - upomniała go Agata. - Z niczego nie zrezygnowałam, ale bądźże cicho, bo wszystko mi zepsujesz. Siedź i ucz się. Czeka nas trochę enoturystyki.

Choć Śródka starała się mówić jak najciszej, siedząca tuż obok niej Julianna Makowiecka przysłuchiwała się w wielkim skupieniu, udając zainteresowanie opowieściami Żmudy.

Nadstawione w kierunku Agaty ucho bibliotekarki nie uszło jednak uwagi Leokadii Schmidt, która była żywo zainteresowana osobą restauratorki i bardzo żałowała, że dzieli ją od niej cała długość stołu.

Agata zaś przede wszystkim chciała się dowiedzieć jednej rzeczy, wykorzystwała więc pierwszy moment względnej ciszy, kiedy większość towarzystwa wychylała kieliszki zawierające purpurowy trunek, i wyskoczyła jak filip z konopi:

- Czy ja się doczekam tej wycieczki po winiarni, czy znów muszę ją sobie organizować na własną rękę?

Jak nietrudno się domyślić, wywołała wilka z lasu.

Rozdział XXV.

Kłamać nie ma sensu

Dwanaście par oczu spojrzało na Śródkę tak, jakby właśnie na czubku głowy wyrósł jej wielki róg. Michel, całkowicie nieświadom powodu zainteresowania jego pracodawczynią, również zaczął się jej intensywnie przyglądać. Zauważył, że ufarbowane na hebanową czerń włosy trochę już odrosły i gdzieniegdzie prześwitują srebrne nitki. Poza tym Agata wciąż była piękną kobietą o wielkich zielonych oczach, pełnych ustach i zadziornie zadartym zgrabnym, niedużym nosie.

- Znowu coś palnęłam? - zapytała, patrząc na prokuratora, który ewidentnie starał się ją przewiercić wzrokiem.

- Zależy, jak na to spojrzeć. Wyjścia są dwa. - Omkły uniósł dwa palce, który to gest uchodzi za najbardziej obraźliwy na Wyspach Brytyjskich. - Albo naprawdę pani nie ma bladego pojęcia o wydarzeniach dzisiejszego przedpołudnia, albo szydzi sobie pani z wymiaru sprawiedliwości, którego jestem cielesną formą.

Śródką ugryzła się w język, bo już miała na jego końcu niekoniecznie poprawny politycznie komentarz dotyczący cielesności prokuratora. Postanowiła jednak się nie odzywać, co okazało się słuszną decyzją. Omkły mówił dalej, ani na moment nie zmieniając ostrego tonu:

- Wychowano mnie na porządnego chrześcijanina i nigdy nie zakładałam z góry niczyjej winy. Dlatego też skłonny jestem przyjąć, że jednak mówi pani prawdę.

- Łaskawca, co? - szepnęła Agata półgębkiem do Michela.

Ten jednak zbyt był zafascynowany wpatrywaniem się w szlachetne oblicze Omkłego, żeby zwrócić uwagę na jej złośliwości.

- Skoro sama pani przywołała ten temat, to może opowie nam pani, co robiła pani w winiarni. I dlaczego pani tam poszła.

- I z kim - dodał Mischczuk, marszcząc czoło.

- A proszę uprzejmie - odparła ze zdecydowaniem w głosie restauratorka. - Ja nie mam nic do ukrycia i wszystko państwu opowiem. Oczekuję jednak, że zaraz potem dowiem się, o co tu chodzi.

Omkły skinął głową i oparł się wygodnie. Pozostali też przyjęli swobodniejsze pozycje.

Śródka natomiast odczuwała coraz większą irytację.

- Kiedy staliśmy jak te sieroty, bo Barnaba zapomniał klucza do winiarni i zostawił nas na środku pola, zauważyłam pana Marka Kopczyńskiego. Widziałam, jak wchodzi do budynku, więc niewiele myśląc, postanowiłam pójść w jego ślady.

- A skąd ty, Agato, znasz Marka Kopczyńskiego? - zaciekał się Mischczuk.

- Bardziej interesująca będzie odpowiedź na pytanie, w jakim celu polazłaś za nim do ciemnego budynku. - Julianna Makowiecka była wyraźnie usatysfakcjonowana możliwością wypowiedzenia tych słów.

- Tak, chętnie posłuchamy - zgodził się Antoni Korytko.

Agata ze smutkiem pokręciła głową. Chyba nie ma wyjścia i musi wyjawic swoje zamiary wcześniej, niż planowała. Kłamać nie ma sensu, zwłaszcza w obliczu śledztwa w sprawie tajemniczej śmierci Robusia. Otworzyła usta, żeby zacząć spowiedź, kiedy niespodziewanie głos zabrał Michel.

- Skoho już musicie wszystko wiedzieć, wścibskie plotkaczy, to Agata umówiła się tam ze mną! Chcieliśmy sobie zhibić tajną schadzke.

- Bzdura - stwierdziła Leokadia. - Chyba nie oczekuje pan, że ktokolwiek w to uwierzy?

To bardzo szlachetne stawać w obronie swojej pracodawczyni, jednak, pan wybaczy, ona raczej

- Ani pan w jej - dodał Mischuk.

- A skąd ty to wiesz, Barnabo? - Julianna Makowiecka wyglądała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć. - Skąd ty wiesz, kto jest w typie Agaty, a kto nie jest?

- No... - zaczął winiarz, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów. - Zasadniczo to nie wiem na pewno, tylko tak mi się wydaje.

- Wydaje się panu, że co? Przephaszam bahdzo? Czyżby chciał pan powiedzieć, że czegoś mi bhakuje? Że nie mam phawa podobać się takiej kobiecie jak Agata? Co? Tak pan uważa? - Michel pieklił się, jakby naprawdę chodziło o honor wybranki jego serca. A przy okazji rzecz jasna jego.

- Ależ nie, w żadnym razie! - bronił się Mischuk. - Pan jest bardzo przystojnym mężczyzną i takim, no... Wie pan, zadbanym i ułożonym. Tylko że mnie się wydaje, że pani Śródka woli jednak mężczyzn bardziej... Jak to powiedzieć, żeby pana nie urazić? No... Mniej homoseksualnych - wydusił wreszcie i siły go opuściły.

W hermetycznej społeczności małego miasteczka postęp i tolerancja wciąż były hasłami nie do końca wcielonymi w życie i zjawisko homofobii radośnie hasało po zaułkach Gościńca.

Mimo to Barnaba zaliczał się do osób hołdujących zasadzie „niech każdy żyje w zgodzie ze sobą”.

- Dziękuję - odparł Michel z godnością. - To phawdziwy komplement, panie Bahnabo.

Przykho mi, Agato, naphawdę phóbowalem.

Śródka machnęła ręką na znak, że nie ma o czym mówić. Warto było spróbować, choć na spektakularny efekt nie liczyła.

Wyprostowała się jak struna, poprawiła grzywkę, która przykleiła jej się do czoła, i zaspokoiła wreszcie ciekawość prokuratora.

- Wcale nie poszłam do winiarni na tajną schadzkę z Michele, właściwie to nie miałam nawet pojęcia, że Michel jest w Dolinie. - Agata spojrzała na konsjerżę z odrobiną dezaprobaty.

- Jak już mówiłam, dostrzegłam Marka Kopczyńskiego, którego poznałam wczoraj w trakcie spaceru po winnicy. Poszłam za nim, licząc na to, że idzie do winiarni, a poza tym stopy mi skostniały w tych pantoflach. Byłam przecież pewna, że za chwilę wszyscy się tam spotkamy, jak tylko Barnaba przyniesie klucz - dodała dla podkreślenia braku złych intencji.

Omkły uważnie przyglądał się kobiecie, nie znajdując w mowie jej ciała niczego, co sugerowałoby kłamstwo. Możliwe, że Śródka to psychopatka, która po mistrzowsku potrafi wprowadzać w błąd depczących jej po piętach śledczych, na razie jednak ta teoria nie znajdowała żadnego potwierdzenia.

- I nie zdziwiło cię, że się nie zjawialiśmy? - dociekał Korytko.

- Może trochę. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Pan Kopczyński znakomicie zna się na produkcji i bardzo miło nam się rozmawiało, zwłaszcza po pierwszym kieliszku wina, którym mnie poczęstował. Jeśli mam być szczerą, to nikt więcej mi do szczęścia nie był potrzebny, a skoro nie przychodziliście, uznałam, że odechciało wam się zwiedzać.

- Ha! - wykrzyknęła Julianna Makowiecka, wskazując palcem na Agatę. - Wiedziałam!

Od początku wiedziałam, że masz w tym swój cel!

- Pardon? - Śródka spojrzała na nią z autentycznym zdumieniem. - Niby jaki cel miałabym mieć?

- *Espionage!* - wykrzyknęła bibliotekarka i spojrzała maślanym wzrokiem na Mischzuka niczym wierny pies, który

czeka na nagrodę w formie pieśczoły. Brakowało jej tylko merdającego ogona.

- O czym ty mówisz, Julianno? - zareagował natychmiast Korytko. - Dlaczego rzucasz bezpodstawne oskarżenia o szpiegostwo?

- Wcale nie bezpodstawne. - Makowiecka się nadeła, nie doczekawszy się nagrody. - Jak inaczej nazwać węszenie po winnicy, kiedy ma się zamiar otwierać własną?!

Tym razem strzał był celny. Śródką zbladła tak samo jak w dniu, kiedy znalazła na podłodze krwawą miazgę po dyniowym torcie, zbladł także Michel. Miszczuk dla odmiany wyglądał tak, jakby ciśnienie nadmiernie mu się podniosło i szukało ujścia porami skóry.

Spośród wszystkich uczestników obiadu tylko Leokadia Schmidt nie wydawała się zaskoczona.

Na jej ustach błąkał się uśmiech satysfakcji.

- Dlaczego ty mnie tak nienawidzisz, Julianno? - zapytała cicho Agata, a w jej oczach pojawił się autentyczny smutek.

- To nieprawda - zaprzeczyła tamta, jednak zrobiła to zbyt szybko.

- Nie powiesz chyba, że darzysz mnie sympatią.

Makowiecka nie odpowiedziała. Siedziała dumnie na krześle, odrobinę zaniepokojona, że jej plan obnażenia szpiegowskich motywów Śródką obrócił się przeciwko niej.

- Pani Agato, czy to prawda? - odezwał się Omkły, wodząc wzrokiem od jednej kobiety do drugiej. - Przyjęła pani zaproszenie od pana Miszczuka w celu uzyskania wiedzy winiarskiej?

- Och, a co to właściwie ma do rzeczy? - zdenerwowała się restauratorka. - Nawet jeśli, to chyba nie łączy pan moich planów z morderstwem?

- Morderstwami - poprawił ją Korytko. - Mamy dwa, a nie jedno morderstwo.

- O czym wy, u diabła, mówicie? - Śródka wyglądała tak, jakby za chwilę miała dostać apopleksji. - Myślałam, że sprawa Claude'a została już zamknięta w lamusie.

- Z Claude'em będą trzy - odpowiedział spokojnie Omkły. - Jestem jednak przekonany, że mamy do czynienia z co najmniej dwoma sprawcami. Nie licząc oczywiście wybuchu w pałacu.

- Jakiego wybuchu?! - krzyknęli równocześnie Śródka, Schmidt i Korytko.

- To kolejna sprawa, o której musimy porozmawiać - odparł prokurator. - I tym razem proszę o bezwzględną szczerłość.

Rozdział XXVI.

Ktoś cię nie lubi

Opowiadanie o tajemniczej eksplozji w gościnnieckim pałacyku zajęło Omkłemu niespełna kwadrans, podczas którego panowała całkowita cisza. Śródka na zmianę to bladła, to czerwieńiała, co chwila chwytając się za serce, które - na szczęście - miała mocne jak dzwon.

- Dzięki Bogu nikt nie ucierpiał, a pozbycie się dziury w ścianie nie sprawi zbyt dużego kłopotu - zakończył opowieść prokurator.

- Dlaczego ktoś to zrobił? - zastanawiała się na głos Anna Pawełka, wyrażając prawdopodobnie myśli wszystkich obecnych przy stole.

- Liczę, że pomogą mi państwo to ustalić.

- Jest pan pewien, że to był zamach? A nie na przykład uszkodzona ściana, która prędzej czy później i tak musiałaby się zawalić? - zagadnął Mischuk.

- To dopiero ustalą biegli - odparł Błażej.

- Po co ktoś miałby rozwalać ścianę piwnicy? - zapytała Agata. - Znaleźliście za nią coś cennego?

- A po co ktoś zniszczył twój toht? - odpowiedział pytaniem Michel. - Widocznie ktoś cię nie lubi.

Po tej uwadze wszyscy mimowolnie spojrzeli na Julianę Makowiecką, która usiłowała ukryć się za pukłem kasztanowych włosów.

- Julianno, czy to ty zniszczyłaś Claude'a? - zapytała bez pardonu Śródka.

- Jak możesz, Agato?! - wykrzyknęła urażona do żywego bibliotekarka. - Jak możesz mnie tak obrażać?

- A bo ja wiem? Seryjne morderczynie też wyglądają jak przykładne żony i matki, a jednak ich umysły toczy *le mal* - zauważyła przytomnie restauratorka.

- Zapominasz o tym, że na kartce z groźbą był błąd interpunkcyjny. A ja błędów nie robię!

- To jeszcze żaden dowód - wtrąciła Mariola Santini. - W jednej z moich książek bohater stylizował się na mańkuta, żeby oszukać policję, i nawet dosyć długo udawało mu się ich zwodzić.

- Nikt pani nie pytał o zdanie, pani Santini - warknęła bibliotekarka. - Jaki mogłabym mieć powód, żeby niszczyć jakiś zakalec?

Są granice, zza których nie ma już powrotu. Dla Agaty Śródki nazwanie zakalcem jej popisowego, wyróżnianego, znanego w całym świecie cukierniczym tortu dyniowego było przekroczeniem Rubikonu. Nie krzyknęła, nie rzuciła się na bibliotekarkę z pięściami, ba! nie spojrzała nawet w jej kierunku. Agata Śródka - jak przystało na osobę wykształconą, inteligentną i w pełni świadomą swojej wartości - wstała z krzesła, odkleiła spodnium od tylnej części ciała, strzepnęła niewidoczny pyłek z ramion i ostentacyjnie wymaszerowała z pomieszczenia. Zanim jednak drzwi się za nią zamknęły, wetknęła przez nie głowę i lodowatym jak mrożona herbata głosem zwróciła się do Makowieckiej:

- Moja noga nigdy nie postanie w tej twojej bibliotece. Zresztą i tak prawdopodobnie ona długo już twoja nie będzie. Pani Leokadia z pewnością się ze mną zgodzi.

Prokurator Omkły postanowił nie reagować. Niech sobie ta Śródka pójdzie do kuchni, ochłonie, w końcu to jej strefa komfortu. On i tak ma pełne ręce roboty z pozostałymi. Na

szczęście Agata pozostawiła rozpoczęty wątek, który można było pociągnąć.

- Pani Leokadio, pani wie, z czym miałyby się pani zgodzić?
- zapytał bez pardonu. -

I dlaczego pani Makowiecka ma przestać zajmować się biblioteką?

- Zdaje się, że pani Śródka miała na myśli mój testament - odparła ciotka Miszczuka bez mrugnięcia okiem.

Przez pokój przeleciał pomruk. Temat testamentu Leokadii Schmidt był bardzo niewygodny. Niewygodny dla pozostałych, staruszka nie miała bowiem najmniejszych skrupułów, żeby znęcać się nad bliskimi.

- Bo widzi pan, panie prokuratorze - perorowała ze swadą odziana w czerń dama - postanowiłam zmienić zdanie w kwestii mojego majątku i zostawić go wyłącznie osobom, które na to zasłużyły.

- Pfff - parsknęła Makowiecka i natychmiast zakryła usta dłońmi, żeby pokryć gafę. -

Przepraszam, pani Leokadio, przypadkiem mi się wymasknęło.

- Tym samym - kontynuowała Schmidt - żaden z tu obecnych moich krewnych bliższych lub dalszych nie otrzyma niczego, a nowi właściciele nieruchomości będą mogli zmienić ich przeznaczenie. Oczywiście nie od razu i pod pewnymi warunkami.

- Zasadniczo to pani prawo... - Omkły zamyślił się na chwilę.
- Ale tak z czystej ciekawości: dlaczego pani to zrobiła?

- Bo mogłam. - Staruszka wzruszyła ramionami. - Całe życie robiłam to, co powinnam, opiekowałam się wszystkimi dookoła, krewnymi, bękartami, sierotami, dziećmi alkoholików.

I co dobrego mi z tego przyszło? Idę o zakład, że jak tylko mnie zabraknie, wszystko pójdzie wniwecz. Wystarczy

popatrzeć, co się stało z pałacem.

Na te słowa Michel wzdrygnął się lekko. Nigdy nie rozmawiał z Agatą na temat poprzednich właścicieli pałacyku, teraz jednak, gdy tajemnice zaczęły wychylać łby z zakamarków, ogromnie go ten temat zaciekawił.

- Przephaszam uprzemie, pani Leokadio, jeśli mógłbym panią o coś zapytać - zagaił, przywołując na oblicze najbardziej czarujący wyraz ze swego repertuaru. - Mogłaby pani coś więcej opowiedzieć o tym, co się stało z pałacem?

- Dosyć! - zarządził Omkły. - Na ten temat mogą państwo porozmawiać przy kolacji albo jutro przy śniadaniu. Teraz mamy do omówienia o wiele ważniejsze kwestie.

- Jak to jutro przy śniadaniu? - oburzyła się Pawełka. - A co z moim sklepem?

- Jeśli nikt nie przyzna się do zamordowania Romana Śródki i jego żony, będą państwo musieli tu zostać. Wszyscy bez wyjątku. - Stanowczość w głosie Błażeja Omkłego nie pozwalała wątpić w realność tej groźby.

Dopiero teraz Michel Blanc zrozumiał, o czym mówił podejrzewany o niepełnosprawność intelektualną recepcjonista. „Co za imbecyl ze mnie” - łajał się w myślach konsjerż. A z drugiej strony - nie mógł mu ten chłopak od razu powiedzieć, że Śródki były dwie?!

Rozdział XXVII.

Myśleli, że to ty

W trakcie wygłaszania przez Leokadię jadowitej riposty pod adresem Julianny Makowieckiej Agata użyła zgniecionej chusteczki higienicznej jako blokady, która miała zapobiec domknięciu się drzwi. Postukała przez chwilę obcasami, ćwicząc marsz w miejscu, i kiedy już się upewniła, że nikt za nią nie wyszedł, przykleiła ucho do szczeliny między drzwiami a framugą. Przy krewnych, bękartach, sierotach oraz dzieciach alkoholików straciła zainteresowanie, odwróciła się więc na pięcie i poszła, zgodnie z przewidywaniami Omkłego, do kuchni.

W kuchni zaś wrzało, wciąż przecież była pora obiadu, a nie wszystkie dania zostały jeszcze zaserwowane. Wprawne oko Śródki, a przede wszystkim jej doskonały węch natychmiast poznały, że szykuje się deser. W powietrzu unosił się zapach prażonych migdałów, słodki aromat gotowanych w syropie gruszek i jeszcze czegoś... Wiśni? Nie, to nie wiśnie, ale blisko.

Czereśnie! Restauratorka niczym pies myśliwski ruszała nozdrzami, wyłapując coraz intensywniejsze odcienie słodczy. W końcu feeria aromatów ułożyła się w spójny obraz: na deser przewidziano migdałowe clafoutis z czereśniami oraz rozkoszną poire belle Hélène. Agata z rozczeniem pomyślała o swoim cukierniku Charles'u, który jako jeden z niewielu w Polsce potrafił przyrządzić idealne clafoutis, a jego prażone migdały rozplływały się w ustach.

- Agata? - Marta Kopczyńska dostrzegła Śródkę i podeszła do niej, wycierając ręce ściereczką. - Co tu robisz?

- Zależy według kogo. Jedni twierdzą, że szpieguję, inni, że morduję. Wybierz sobie.

- Znam też kogoś, kto twierdzi, że całkiem nieźle idzie ci opróżnianie butelek najdroższego wina. - Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i puściła oko.

- TO było najdroższe wino? - Brwi Śródki zniknęły pod grzywką. - Nie wiem w takim razie, czy chcę spróbować najtańszego. W Lidlu miewają lepsze.

Marta zaśmiała się wesoło i odłożyła ściereczkę. Dała Agacie znak, żeby schowały się w ich ulubionym kącie, chwyciła gruszkę i usiadła tak energicznie, że oparcie lekko zaskrzypiało.

- Nieźła historia, co? - zagadnęła, gryząc soczysty owoc.

- Która? - Śródką nalała wody mineralnej do szklanki zgarniętej wcześniej ze stojaka i szukała wzrokiem cytryny. W końcu dostrzegła plasterki limonki na desce tuż obok gruszek. -

Podałabyś mi limonkę? Wolałabym nie podchodzić pod rękę cukiernikowi, żeby znów ktoś mnie o coś nie oskarżył.

- Gdybym nie wiedziała od taty, że byłeś wtedy z nim, pomyślałabym, że może faktycznie się jej pozbyłaś - rzuciła Kopczyńska, podając Agacie plasterek limonki. - Podobno wzięli ją za ciebie.

- Kogo? O czym ty mówisz? - Agata wrzuciła owoc do szklanki i zaczęła go ugniatać łyżeczką.

- No tę drugą, tę Grażynkę. Zobaczyli jej nogi w różowych szpilkach i myśleli, że to ty tam leżysz.

Łyżka w szklance z wodą coraz szybciej uderzała o dno. Po limonce zostało zaledwie wspomnienie skórki i bezładnie pływające strzępki miąższu.

- Poczekaj, jeszcze raz mi to powiedz, jakoś tak może bardziej po ludzku - poprosiła Śródka, intensywnie myśląc. - Zrozumiałam tylko różowe szpilki.

- Za winnicą znaleźli zwłoki, tak? I te zwłoki miały na nogach twoje buty, tak? Znaczący nie te, które ty masz na nogach, tylko takie same - wyjaśniła pośpiesznie dziewczyna i spojrzała na stopy Agaty. - Ale nie te, inne. Takie różowe lakierki.

- Grażynka ma takie same - stwierdziła restauratorka i wreszcie do niej dotarło. Przestała ubijać pozostałości limonki, szeroko otworzyła oczy ze zdumienia i zaczęła krzyczeć: - Grażynka ma takie same różowe szpilki jak ja! I znaleźli zwłoki w różowych szpilkach! Ale to nie mogły być moje zwłoki, bo ja tu z tobą siedzę! *Oh mon Dieu*, Grażynka nie żyje!

Marta przyglądała się jej z lekkim zdziwieniem.

- Ty naprawdę nic nie wiedziałaś! Tata mi mówił, że z tą Grażynką była niezła heca; ktoś roztrzaskał jej głowę butelką po winie, tym samym, które piliście w winiarni.

O masz! Czyli jednak ktoś tymi butelkami tłukł. Nie ma co, zrobiła z siebie konkursową idiotkę przed tym przystojnym Błażem. Trzeba będzie przeproszać...

- Marta? - zagadnęła Agata nieśmiało. - A co, jeśli ta flaszka nie miała zabić Grażynki?

- Nie rozumiem? Może nie miała zabić, tylko na przykład ogłuszyć?

- Nie, nie o to mi chodzi. Co, jeśli ten ktoś myślał, że morduje mnie, a nie Grażynkę? Bo na przykład podszedł z tyłu, a ona była okutana jakimś szalem albo miała na głowie kaptur?

I widział tylko te różowe szpilki?

- Hmm... - Dziewczyna się zamyśliła. - Zasadniczo to możesz mieć rację. Postury jesteście podobnej, gdyby podszedł

z tyłu i rzeczywiście jakaś szmata głowę by jej zakrywała, to miał prawo się pomylić. Po samych nogach trudno poznać.

- Ja mam zgrabniejsze - oznajmiła Agata. - Ale pojedynczo nie widać różnicy, musiałabym stać obok i robić za materiał porównawczy. Czyli co, myślisz, że to możliwe?

Marta pokiwała głową i ugryzła ostatni kęs gruszki, zostawiając chudziutki ogryzek.

Śródka dopiła mus limonkowy, po czym postanowiła wrócić do jadalni. Chciała jak najszybciej podzielić się swoim odkryciem z prokuratorem. Kto wie, może w ten sposób uda jej się odkupić winy.

Rozdział XXVIII.

Wszystko po staremu

- To jak będzie? - kontynuował przesłuchanie Omkły. - Kto z państwa to zrobił? I dlaczego?

Las rąk nie wyrósł. Wszyscy odruchowo wcisnęli dłonie pod stół, nie zważając na etykietę. Nagle też mieli obezwładniającą potrzebę dokładnego przyjrzenia się zastawie stołowej.

Nawet Leokadia Schmidt, która do tej pory zdawała się całkowicie bagatelizować sytuację życiową i nieżyciową państwa Śródków, poczuła lekki dyskomfort. No bo w końcu ktoś tych nieszczęśników, a na pewno Grażynkę, wysłał do bram rajy. Chociaż to raczej wątpliwe, żeby trafiła do Królestwa Niebieskiego, jeśliby wziąć pod uwagę genezę jej małżeństwa.

Prokurator Omkły nie spodziewał się bynajmniej wystąpienia skruszonego mordercy i odstawienia gorzkich żali na środku jadalni, niemniej poczuł się co nieco zniesmaczony. Nie wyobrażał sobie, żeby można było żyć z kłamstwem na sumieniu, a co dopiero z morderstwem.

Inna sprawa, że natura powinna zadbać o ukaranie takich delikwentów i zafundować im na przykład bolesne pryszcze albo czyraki na siedzeniu. Lub też - jak w *Niebezpiecznych związkach* - karma powinna wrócić. Tymczasem nic. Zero. Null. Siedzi ta cała gościniecka elita ze wzrokiem utkwionym w stole i pewnie każdy z nich marzy tylko o tym, żeby dano im spokój.

- Jeśli liczą państwo na to, że dam im spokój - powiedział na głos - to od razu mogą państwo porzucić nadzieję. Sytuacja

mocno się skomplikowała, a moim zadaniem jest dotarcie do prawdy. Oczekuję od państwa zatem, że wreszcie zaczną mi tę prawdę wyjawiać.

W pomieszczeniu zapadła cisza, a miny obecnych wyrażały zaniepokojenie. Wreszcie dotarło do nich, że to nie jest zabawa. Zaczęły się rzucane ukradkiem spojrzenia, niecierpliwe wiercenie się na krzesłach i coraz głośniejsze wzdychanie. Co odważniejsi pozwolili sobie nawet sapnąć raz czy dwa, ale apel prokuratora pozostał bez odzewu.

W końcu, gdy niewygodna cisza zaczęła coraz bardziej ciążyć, pojawił się ratunek. Drzwi do jadalni otworzyły się z impetem i czworo kelnerów wniosło na tacach desery. Korzystając z okazji, że jej pojawienie się nie wzbudzi niepotrzebnej sensacji, Śródka wślizgnęła się - o ile można się wślizgnąć w butach na jedenastocentymetrowych szpilkach - do pomieszczenia i usiadła obok Michela.

- Co mnie ominęło? - zapytała jakby nigdy nic.

- Niewiele, phokuhatoł sthaszy nas galehami, jeśli nie przyznamy się do zamohdowania pani Śhódki.

- A, czyli wszystko po staremu - skwitowała Agata. - A mówił, kiedy nas wypuści?

- Wnioskuje, że nigdy. Utknęliśmy tu na zawsze - pożalił się konsjerż.

- Ty też? Dlaczego ty? Waliłeś Grażynkę po głowie?

- Zwahiowałaś?! Nikogo niczym nie waliłem, mam inne sposoby na spędzanie wolnego czasu. Zdaje się, że odpowiedzialność għupowa tu obowiązuje i albo wydamy mohdehcę, albo będziemy więzieni solidahnie.

- W zasadzie wcale mi to nie przeszkadza - stwierdziła Agata, napychając usta migdałowo-czereśniowym przysmakiem. - Boże, jakie to jest dobre! Mistrzostwo świata!

Gdybym nie widziała na własne oczy, pomyślałabym, że robił je Charles.

Michel, sam zajęty pałaszowaniem znakomitego francuskiego deseru, kiwał głową, w której nieźle mu już szumiało. Gdyby był trzeźwy, z pewnością w tej chwili przypomniałby sobie, w jakim celu przybył do winnicy, a tym samym rozwiązał przynajmniej jeden problem prokuratora Omkłego. No cóż, wszystkiemu winne wino...

Po deserze atmosfera się poprawiła, zrobiło się głośniejsze i o wiele przyjemniej. Nikt już nie udawał, że jest niewidzialny, nawet Błażej wydawał się jakiś życzliwszy. Możliwe, że cukiernik przesadził z ilością sherry, kto by się tym jednak przejmował, liczy się efekt.

Zbliżała się godzina siedemnasta, za oknem panowały egipskie ciemności, więc z wycieczki do winiarni znów nici. Agata pogratulowała sobie w duchu swej porannej przedsiębiorczości i choć liczyła na ponowną możliwość obejrzenia fascynujących pomieszczeń, wyprawę mogła uznać za udaną. Zadowolona z siebie dołączyła do przyjemnej dyskusji na temat organizacji przyjęcia weselnego Anny Pawełki i Michała Kornasia. Najwięcej do powiedzenia miał Michel, który na branży ślubnej znał się jak mało kto. A w kwestii problemów panien młodych był prawdziwym ekspertem.

- Musi pani pamiętać, że sukienkę powinno się dobiehać do typu uhody, figuhy oraz chahaktehu stylizacji - wygłaszał tonem znawcy. - Pani na przykład ma sylwetkę typu kielich, więc dobrze będzie wyglądać w sukniach z mahszczeniami w okolicy bioder, by je optycznie poszerzyć. Powinna pani unikać sukni z całkowicie odkhytymi hamionami lub hamiączkami związanymi na kahku.

Anna Pawełka starała się zapamiętać rady Michela, choć z niemałym trudem przychodziło jej zrozumienie jego

specyficznej wymowy, zaś Michał Kornas poddał się po pierwszym zdaniu i skierował uwagę na zażartą dyskusję polityczną toczącą się między Mischukiem, Korytką i Leokadią. W zasadzie wszyscy troje byli tego samego zdania, ale żadne z nich nie mogło tego zrozumieć, z tego też względu Kornas włączył się do rozmowy.

Ludwik Bury, zdjawszy uprzednio koloratkę, pochłonięty był opowiadaniem o swoich przygodach w czasie misji w Iraku, gdzie nabawił się syndromu stresu pourazowego, z którym wciąż do końca nie udało mu się rozprawić. Mariola Santini słuchała tych zwierzeń z coraz większym rozanieleniem, co chwila obcałowując policzki przystojnego duchownego.

Z nie mniejszą ciekawością słuchał Burego Błażej Omkły, który wzięwszy familiarny nastrój za dobrą monetę, zdecydował, że nie opłaca mu się wracać do domu, zwłaszcza że wciąż czekał na wyniki sekcji, a te nie nadchodziły. Prawdopodobieństwo otrzymania ich wcześniej niż nazajutrz zmniejszało się z każdą minutą.

Nie wiadomo, kiedy zapadła decyzja o zmianie lokum na przyjemne foyer oraz kto dokładnie zarządził oddanie się dodatkowej rozrywce, która, na nieszczęście prokuratora, mieściła się w zbiorze znienawidzonych przez niego gier hazardowych.

Rozdział XXIX.

W tej grze liczy się punkty

- Kości?! - jęknął Błażej na widok rozłożonych na stolikach zestawów do gry. -

Naprawdę chcecie grać w kości?

- Pewnie! - ucieszyła się Śródka. - Wreszcie jakaś rozrywka. Skoro i tak tu utknęliśmy, to chociaż coś miejmy z tej imprezy.

- Popieram - odezwała się Leokadia i zajęła miejsce przy pierwszym stole. - Niech pani siada ze mną, pani Agato.

Agata nie mogła się zdecydować - zamierzała usiąść obok Miszczuka, bo chciała go trochę pociągnąć za język, zwłaszcza że ten solidnie zaczął mu się już plątać, wciąż miała do pogadania z Omkłym, ale i Leokadia mogła jej sporo pomóc. Ostatecznie przycupnęła obok leciwej damy.

Michel także czuł się rozdarty - z jednej strony wciągnął się w planowanie wesela i miał do omówienia fryzurę, buty, dekoracje kwiatowe, oprawę muzyczną i dobór serwetek, z drugiej zaś chciał poznać historię pałacyku, a w tym celu konieczna była bliskość Leokadii Schmidt.

Ostatecznie wygrała ciekawość, nad weselem Pawełki jeszcze zdąży zapanować. Finalnie towarzystwo zasiadło przy czterech stolikach, umawiając się na rotacje po każdej zakończonej rozgrywce. Pierwszy stolik zajęła Śródka z Leokadią i Michelelem, przy drugim siedzieli Miszczuk z Korytką, Buryim i Mariolą, trzeci okupowali Żmuda i Makowiecka z Pawełką i Kornasiem, Pajor zaś grał z Różą Kalicką i Omkłym

przy ostatnim stole. Choć w zasadzie trudno to było nazwać graniem, bo Omkły okazał się wyjątkowo oporny na zasady.

- No co w tym jest takiego trudnego? - irytował się burmistrz, kiedy po raz czwarty musiał powtórzyć, że rzuty są trzy, kości jest pięć, a nie odwrotnie. - Skończyłeś studia prawnicze, zrobiłeś aplikację prokuratorską, a nie jesteś w stanie pojąć zasad dziecinnej rozrywki?

- Probabilistyka nigdy nie była moją mocną stroną - bronił się prokurator.

- To raczej kiepsko wróży naszemu śledztwu - skomentowała Leokadia. - Jeśli prowadzący je nie jest w stanie wykoncypować PRAWDOPODOBNEGO mordercy.

- To chyba nie to samo - obruszył się Błażej. - W grach liczy się szczęście.

- W tej grze liczy się punkty - odparował Korytko, zgrzytając zębami. - Dobra, szkoda czasu, nauczmy cię w trakcie. Róża zaczyna.

Początkowo rozmowy toczyły się wyłącznie w obrębie stolików i ograniczały do komentowania gry.

- Co robisz? - pytała narzeczonego Anna Pawełka.

- Parzyste - odparł Kornaś.

- Dwie pały? - zastanawiał się Michel.

- Szansa - odpowiedziała Agata.

- Ty to wyrzuciłeś z ręki?! - emocjonował się Mischuk, otwierając oczy ze zdumienia.

- Widocznie nie mam szczęścia w miłości - odpowiedział mu Bury z szelmowskim uśmiechem.

- No coś ty, Ludwiniu? - Mariola vel Madziaczek pogłaskała go czule po ręce. - Przecież jesteśmy szczęśliwi.

W tym czasie kelnerzy uwijali się jak w ukropie, pilnując, żeby kieliszek żadnego z graczy ani przez chwilę nie pozostawał pusty. Nawet Omkły dał się uwieść magii wieczoru i

mieszał równo pinot gris z monarchem, zupełnie nieświadomy, czym przyjdzie mu za tę niefrasobliwość zapłacić.

Zachowując całkowitą trzeźwość umysłu, Agata co chwila spoglądała na sąsiednie stoły i starała się wymyślić, kto z tego dziwnego towarzystwa mógłby z zimną krwią zamordować Grażynkę. Z tyłu głowy wciąż błąkało jej się pytanie, czy to na pewno Grażynka została wybrana na ofiarę. Bo jeśli nie? Jeśli zginąć miała Agata, a ta durna dziewczucha sprowadziła na siebie nieszczęście wyłącznie przez brak własnego gustu? Czy to oznacza, że jej, Agaty, życie w dalszym ciągu znajduje się w niebezpieczeństwie? Musi koniecznie porozmawiać z Omkłym, im szybciej, tym lepiej. Zanim ten młody człowiek zupełnie straci rozum za sprawą dolewanego mu wciąż diabelskiego wina.

Rozum powoli odpływał także Michelowi, choć akurat w jego przypadku Agata nie miała nic przeciwko temu. Może pod wpływem wyskokowego napoju jego paskudny charakter nieco złagodnieje?

- Michelinku mój drogi - zagadnęła go słodko, wyrzucając przy okazji cztery szóstki. -

Kareta oczywiście. Kochany mój, a gdzie ty dzisiaj, promyczku najjaśniejszy, będziesz nocował?

- Ty fahciaho! - zdenerwował się konsjerż. - Jak to: gdzie będę nocował? U siebie będę spał, w swoim łóżku.

- A jak ty tam zamierzasz dojechać, cukiereczku najśłodszy?

- Nohmalnie, tylko odwhotnie niż w tę sthonę. Najpiehw w lewo, potem piętnaście kilomethów phosto, a potem w phawo do pałacyku.

- Tak, tak, kochany, snuj te swoje fantazje dalej - podsumowała Śródka głosem ociekającym słodyczą. - Barnabo, czy znajdziesz pokój dla Michela?

- To zależy, czy boi się duchów.

- Duchów? Jakich duchów?! - wrzasnął Michel i z wrażenia wyrzucił małego strita.

- Jedyne dostępne pokoje to ten po państwie Śródkach. Policja już go zwolniła, został sprzątnięty i jest gotowy na przyjęcie kolejnych gości.

- Nigdy! Nie będę spał w łóżku umahlaka! - darł się Michel, blady, jakby zaraz sam miał umrzeć.

- Głuptasie, przecież Robert nie umarł w łóżku - przypomniała Agata. - Od kiedy ty jesteś taki strachliwy?

- Od zawsze jestem, jak już chcesz wiedzieć! - gorączkował się Blanc. - Sama sobie tam śpij, mądhalo.

- A proszę cię uprzejmie - odparła grzeczenie. - Barnabo, przenieście moje rzeczy do pokoju Roberta, a Michel może nocować w moim. Ja nic na sumieniu nie mam, żebym się bała zmarłych.

Rozgrywka trwała dalej, wino lało się strumieniami i wkrótce mało kto mógł się normalnie wysławić. Mariola Santini co chwila przysypiała, Mischuk pokłócił się z Korytką, Anna Pawełka obraziła się na Kornasia za to, że nie pozwolił jej wygrać, a Roman Pajor wciąż tłumaczył Omkłemu zasady gry. Tylko przy stoliku Śródki rozgrywka trwała w najlepsze i cała trójka bawiła się wyśmienicie. Gdy Leokadia wyrzuciła generała, Michelowi przypomniało się, o co chciał ją zapytać.

- Pani Leokadio, może nam pani opowiedzieć historię pałacu? - Choć starał się szeptać, zrobił to na tyle głośno, że wszyscy usłyszeli.

- O tak, świetny pomysł - zawtórowała mu Agata. - Pan Kopczyński mówił, że nikt nie zna jego losów lepiej od pani.

- To niezupełnie prawda - odparła nobliwa dama. - Barnaba zna je tak samo dobrze, wychował się na tej historii i wiele razy prosił mnie o jej opowiedzenie. Ale dobrze, skoro nalegacie.

W rzeczywistości nikt nie należał, właściwie nikt nie odezwał się nawet słowem, Leokadii jednak to wcale nie przeszkadzało. Widocznie była przyzwyczajona do roli miejscowej skarbnicy wiedzy.

Rozdział XXX.

Der Weg

Począwszy od ostatniej dekady osiemnastego wieku, wieś o nazwie Der Weg była przedmiotem nieustannych sprzedaży, rozdrabniania majątku i nieudolnych prób jego scalania.

W tysiąc osiemset dwudziestym roku włości kupiła rodzina von Hochbergów, przyczyniając się do ich rozkwitu, a także rozpoczęcia urbanizacji wsi.

Do końca dziewiętnastego wieku majątek rodzinny regularnie się powiększał, między innymi o okoliczne folwarki, w tym kompleks folwarczno-pałacowy z przylegającym doń ogromnym terenem parkowo-ogrodowym, gdzie od połowy piętnastego wieku uprawiano winorośl. Teren ów, pierwotnie należący do opactwa Cystersów, po sekularyzacji dóbr kościelnych kilkakrotnie zmieniał właścicieli, aż w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku znalazł się w rękach Heinricha von Hochberga - znanego wielkopolskiego architekta i mecenasa sztuki, który z czasem włączył kompleks w granice wsi.

Nowy właściciel niezwłocznie przystąpił do przebudowy majątku - powstały wówczas budynki gorzelnii oraz zabudowania mające służyć produkcji wina na wielką skalę, a na każdym z nich pojawił się herb rodziny Hochbergów. Okres wojenny pałac przetrwał w niemal nienaruszonym stanie, podczas gdy zabudowania folwarczne zostały praktycznie zrównane z ziemią, a teren dawnej winnicy zamienił się w leśny gąszcz.

Już na samym początku, podczas porządkowania piwnic, von Hochberg natknął się na zaskakujące rozwiązanie architektoniczne.

- Zahaz, zahaz - przerwał Michel, starając się panować nad płaczącym mu się coraz bardziej językiem. - Skoho cystehsi mieli winnicę, to jaki znów leśny gąszcz? Winohośl ewoluowała i zamieniła się w dębinę? Przecież tam jest las!

- Nie pij już może, Michelku - poradziła Śródka tonem jadowitym niczym żmija gabońska. - Bo ci się te wolne elektrony w mózgowiu nadmiernie uwolniły i kontaktu z bazą nie ma za grosz.

- Whedny z ciebie babiszon - odparł konsjerż, lecz bez cienia urazy. Widocznie było z nim już całkiem źle.

- Być może nie przykładał się pan za bardzo do nauki historii - odparła Leokadia z wyższością - i nie wie pan, młody człowieku, że każdy szanujący się majątek musiał mieć swój ogród. Ten akurat był w stylu angielskim, bo żaden z zakonników nie miałby czasu na przystrzyganie tych geometrycznych żywopłotów uprawianych na francuską modłę.

- A winnica była w śhodku lasu? Jak u Galów, w świętym gaju dhuidów?

- Zakonnicy nie wytwarzali wina w celach komercyjnych - tłumaczyła cierpliwie staruszka. - Służyło im przede wszystkim do odprawiania liturgii. Winnice klasztorne i biskupie były zatem niewielkie aż do czasu, kiedy winiarstwo stało się popularne wśród mieszczan.

Trudno było stwierdzić, czy Michel w ogóle słuchał pouczeń starszej pani, czy może odleciał zupełnie w oparach doskonałego sauvignon blanc, którego zdołał wydoić niemal całą butlę. Kiwał się na krześle uśmiechnięty od ucha do ucha, co wróżyło powitanie nowego dnia w towarzystwie potwornego kaca.

Niezrażona Leokadia rozprawiała dalej, z zaangażowaniem przedstawiając zasłuchanym i coraz mocniej zamroczonym towarzyszom wieczoru bądź co bądź interesującą historię winiarstwa na ziemiach Rzeczypospolitej. Wyjaśniła, że od piętnastego wieku uprawą winnej latorośli trudnili się głównie mieszczanie, którzy – jeśli mieli odpowiednie warunki materialne – zakładali nowe plantacje lub też dzierżawili dawne winnice klasztorne i biskupie. Wtedy też wino na masową skalę stało się przedmiotem handlu, występowało nawet w charakterze waluty.

Aż do początku siedemnastego wieku w Europie wino nie miało konkurenta wśród trunków. Woda w miastach była najczęściej niezdatna do picia z powodu zanieczyszczeń, nie znano jeszcze kawy ani herbaty, a przemysł gorzelniczy i piwowarski dopiero się rodził. I choć w Polsce miody pitne i pszeniczne piwo cieszyły się największą popularnością, wino pito na skalę, którą trudno sobie dziś wyobrazić.

- Ówczesny Europejczyk wypijał nawet do tysiąca litrów wina rocznie – zakończyła z emfazą Leokadia i sięgnęła po kieliszek czerwonego napoju, jakby koniecznie chciała dorównać swoim sarmackim przodkom.

- Na zdhowie! – wrzasnął nagle Michel, niemal przyprawiając wszystkich o zawał serca, i uniósł kieliszek nad głowę. – Pani Leokadia pięknie opowiada, szkoda tylko, że w ogóle nie na temat!

- Jak nie na temat?! – oburzyła się Agata. – Bardzo na temat, pijaczynko moja słodka, przecież to crème de la crème historii winiarstwa. Po to tu przyjechałam, pamiętasz, opojku cudowny?

- A, phawda. – Michel pokiwał głową tak entuzjastycznie, że aż mu zęby zadzwoniły. –

Ale ćśśś, Agato – szepnął, przytykając palec do ust. – To jest *le secret*.

- Raczej *le secret de Polichinelle* - mruknęła Leokadia, rzucając kośćmi. - Wszyscy już wiemy, że pani Agata chce zrobić Barnabie konkurencję. I bardzo słusznie.

Na te słowa Mischczukowi kości wypadły z ręki i potoczyły się po podłodze. Spojrzał na ciotkę wzrokiem, którego nie powstydziliby się Bazyliśzek, a i Meduza mogłaby być z niego dumna. Czując, co się święci, Korytko ścisnął jego ramię.

- Siedź, osłe - syknął policjant. - Nie pozwól się sprowokować.

- Nie pozwól, nie pozwól - judziła staruszka. - Może ja powinnam tę winnicę zapisać pani Śródce? Widzę, że kobieta ma potencjał i na pewno więcej ikry niż wy wszyscy razem wzięci.

- Nie wytrzymam zaraz chyba - cedził przez zęby winiarz. - Jak matkę kocham, to przechodzi ludzkie pojęcie!

- Proszę się uspokoić - wtrącił prokurator Omkły i tym razem brzmiało to rzeczywiście jak prośba. - Po co psuć taki miły wieczór? Pani Leokadio, ale co z tym pałacem?

Pani Schmidt zaliczyła właśnie kareteę z szóstek i humor miała wyśmienity, zatem tym chętniej wróciła do opowieści, która rzeczywiście odrobinę zbcoczyła. Jak się jednak miało okazać, była to tylko drobna zmiana trasy konsekwentnie prowadzącej do celu.

- W owym czasie, który stanowił złotą erę europejskiego winiarstwa, nauczono się magazynować wina, by dojrzewały w dębowych beczkach. Jednak prawdziwa rewolucja przyszła wraz z wynalezieniem szklanej butelki, którą zamykano naturalnym korkiem. - W tym miejscu Leokadia dokonała prezentacji zarówno butelki, jak i korka, z niezwykłą wprawą otwierając kolejną flaszkę pinot noir. - Zauważono wówczas, że wino trzymane w dobrze zakorkowanej butelce dłużej zachowuje swoje walory niż w beczce, w której zbyt szybko wietrzało. Wynalazca butelki, angielski dżentelmen Kenelm

Digby, udoskonalił metodę produkcji szkła, dzięki czemu stało się trwalsze. On także wpadł na pomysł, żeby butelki barwić na ciemno...

- ...co miało za zadanie chronić wino przed niszczącym działaniem słońca! - weszła jej w słowo Agata. - To dlatego czerwone wina butelkuje się w ciemnym szkłe.

- Słyszysz, Barnabo? A tobie pojęcie tego zajęło kilka ładnych tygodni - powiedziała Leokadia z bezwzględnością, na którą mogą sobie pozwolić tylko ludzie niemający kompletnie nic do stracenia. - Zgadza się, Agato. Dokładnie z tego powodu. Każde wino, które może długo leżakować, powinno być zamykane w butelce z ciemnego szkła.

- A niebieskie to też ciemne? - wybełkotał Blanc ni w pięć, ni w dziewięć. - Takie chabhowe albo indygo?

Śródka kopnęła go w kostkę, niemal doprowadzając konsjerża do płaczu. Z wrażenia Michel poczuł nagle zawroty głowy i zażądał, by natychmiast odprowadzono go do pokoju.

Korytko, Mischuk i Bury rzucili się ochoczo z pomocą, wywołując oburzenie Madziaczka, zniesmaczenie Agaty i podejrzliwość Leokadii. Po pytaniu Michela leciwa dama odruchowo spojrzała na Barnabę, na którego obliczu przez ułamek sekundy zagościła panika. Nikt poza panią Schmidt i prokuratorem Omkłym nie zwrócił na to uwagi; uczestnicy nieplanowanej imprezy byli zbyt zaaferowani nieskładną grą w kości, przede wszystkim zaś starali się utrzymać pion, co przychodziło im z coraz większym trudem.

Ostatecznie rozgrywka pozostała nierozstrzygnięta, ponieważ po dalekiej od angielskiego stylu ewakuacji Michela wszyscy poczuli się mocno zmęczeni i za zgodą prokuratora udali się na spoczynek. Sam Błazej, resztką sił walcząc z niepokojącym przytępieniem zmysłów, zasnął w wygodnym fotelu, w którym usiadł na momencik, żeby zebrać myśli.

Rozdział XXXI.

Dzień bez trupa to dzień stracony

Gong o siódmej rano nie obudził jedynie Leokadii Schmidt i Agaty Śródki. Wszyscy pozostali zerwali się jak oparzeni, nie bardzo wiedząc, skąd ten hałas. Prokurator Omkły ocknął się zaśliniony w pluszowym fotelu. Głowa bolała go jak nigdy w życiu. Z ulgą stwierdził, że nikt nie widział jego sromoty, i pognał – o ile ten ślamazarny krok można nazwać gnaniem – do przydzielonego mu przez Miszczuka pokoju. Na widok posłanego łóżka w pierwszym odruchu zareagował entuzjazmem i już był gotów położyć głowę na sprężystej poduszce, kiedy odezwał się jego telefon. Dzwoniono z zakładu medycyny sądowej, co niewątpliwie zwiastowało intensywny początek dnia.

Po mniej więcej kwadransie od upiornego dźwięku wzywającego na śniadanie Michel Blanc stanął pod drzwiami pokoju, w którym nocowała jego pracodawczyni, i zaczął się do nich dobijać.

– Agato! Wstawaj! Wsta-waj! Wsta-waj! – skandował, uderzając rytmicznie w drzwi.

– Co tu się dzieje? – Antoni Korytko wyszedł z pokoju w spodniach od pizamy. Nawet po nim widać było skutki poprzedniego wieczoru. Ziewnął szeroko i utkwiał wzrok w Michelu. – Coś się stało?

- A to taka tutejsza tradycja, że coś się zawsze komuś musi dziać? Dzień bez thupa to dzień sthacony?

- To ja się pana pytam, dlaczego pan tak hałasuje - odparł zimno policjant. - Po co pan tak wali w te drzwi?

- Muszę pilnie pohozmawiać z Agatą.

- To może niech pan zadzwoni na komórkę - sarknął Korytko. - A najlepiej zapuka do właściwego pokoju.

- Co? - zdziwił się Blanc całkiem szczerze. - No hacja! Pomyliły mi się drzwi. - Zaśmiał się. - To wszystko wina tego wina, wie pan?

- Jasne, to zawsze jest wina wina albo toksycznej matki, albo czegoś innego.

Michel zignorował komentarz policjanta i podszedł do drzwi pokoju, w którym poprzednio nocowali Robert z Grażynką. Zawahał się, po czym wziął głęboki oddech i zaczął intensywnie uderzać w drzwi. Korytko stał bez ruchu z rękami skrzyżowanymi na piersiach i przyglądał się tej groteskowej scenie. Z wnętrza pokoju, podobnie jak z pokoju obok, nie dochodził żaden dźwięk. Mniej więcej po minucie zaniepokoił się także komendant.

- Dziwna sprawa - stwierdził, zbliżając się do drzwi pokoju zajmowanego przez Leokadię. - Pani Schmidt nie należy do osób o twardym śnie, zwykle budzi ją nawet szczekanie psa.

- A Agata wstaje o nieprzyzwoicie wczesnych porach - dodał Michel, odrobinę już panikując. - Myśli pan, że coś im się stało?

Korytko nie odpowiedział na pytanie, nacisnął klamkę najpierw jednych, a następnie drugich drzwi. Niestety były zamknięte na klucz. Nie pozostawało nic innego, jak zaalarmować Barnabę.

Kiedy policjant wrócił na górę w towarzystwie Mischczuka wyposażonego w uniwersalny klucz, na korytarzu zebrał się już komplet gapiów. Mariola Santini na wieść o prawdopodobnej

śmierci Agaty – taką wersję propagował przerażony Michel – dostała ataku hysterii i nie dało się jej uspokoić. Anna Pawełka łąkała w rękaw koszuli narzeczonego, Róża Kalicka modliła się na głos, co chwila wykonując znak krzyża, Julianna Makowiecka na przemian to bladła, to purpurowiała, a Patrycja Żmuda musiała pognać do toalety, bo zrobiło jej się niedobrze. Burmistrz Pajor ukucnął pod ścianą i wyglądał jak siedem nieszczęść.

Barnaba Mischuk drżącą ręką włożył klucz do zamka w drzwiach apartamentu, w którym dwa dni temu znaleziono zwłoki Roberta Śródki, i wstrzymał oddech. Pozostali także wstrzymali. Klucz obrócił się w zamku, szczęknęło i blokada ustąpiła. Winiarz odsunął się od drzwi i zachęcił Korytkę do ich otwarcia. Policjant nacisnął klamkę i delikatnym ruchem uchylił skrzydło, ukazując wnętrze pokoju. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie.

Toaletka, dwa fotele, stolik kawowy i ani śladu Śródki. Stąpając na palcach, Antoni przeszedł przez salonik i skierował się w stronę łóżka. Pościel leżała idealnie ułożona, a wokół mebla panował porządek. Nawet plamy po winie nie było, bo dywan został skonfiskowany przez techników policyjnych, a na jego miejscu znalazł się inny. Nauczony doświadczeniem Korytko wszedł do łazienki – tam także nie było żadnych niespodzianek.

- Coś tu jest nie tak – stwierdził Michel, podążający jak cień za policjantem.

- Co takiego? Na moje oko wszystko jest w idealnym porządku.

- No i właśnie to jest nie tak. Agata Śródka to jest bałaganiana piehwszej wody. Gdyby to była dyscyplina spohtowa, zostałyaby bezkonkurencyjną mistrzynią świata. Tu jest za czysto – stwierdził na koniec z granitową pewnością.

- I co to według pana może znaczyć? - W głosie policjanta słychać było niepokój.

- Według mnie? - zdziwił się Michel. - *Je ne sais pas*. To pan jest *le détective*.

- Według mnie to znaczy, że nie spała w pokoju - wtrąciła się Julianna Makowiecka.

- To w takim razie gdzie? - Patrycja Żmuda wściubiła głowę do pomieszczenia, tułów przezornie trzymając na korytarzu.

Nagle nadpłynął stamtąd głośny lament. Skulony pod ścianą burmistrz Pajor wył jak wilk do księżycy.

- Romuś, co z tobą? - przeraził się Korytko. - Co ci się stało?

Odpowiedział mu jeszcze bardziej przeraźliwy szloch. Wszyscy zbliżyli się do burmistrza kierowani niezdrową fascynacją. Uspokojenie go zajęło dobrych kilka minut i wymagało solidnego haustu whisky, którą Julianna Makowiecka przyniosła ze swojego pokoju.

- No, już, już. Możesz mówić? - Mischczuk kuczał obok Pajora i głaskał go po głowie.

Głowa ta najpierw nieśmiało, a następnie coraz energiczniej zaczęła się ruszać w górę i w dół, co miało zapewne oznaczać, że jej właściciel może mówić.

- To... to moja wina - załkał w końcu burmistrz.

- Ale co jest twoją winą? Co ty, Romuś, bredzisz? - dopytywał odrobinę poirytowany Korytko.

- No to - wydukał, pokazując ręką na otwarte drzwi do pokoju. - No to, że jej nie ma. Bo myśmy się wczoraj pokłócili i ja jej chyba kazałem się wynosić. I wyzwalem od szpiegów. - Znów załkał głośno, aż żal było słuchać. - I chyba jeszcze powiedziałem, żeby się cieszyła, że nie zginęła wtedy w pałacyku.

Korytko wciągnął powietrze tak gwałtownie, że aż się zakrztusił.

- Ty głupi jesteś? - ryknął na Pajora. - Czy wiesz, że za to można pójść siedzieć?

- Momencik, momencik - wtrącił Michel, marszcząc brwi, co z pewnością oznaczało zintensyfikowany proces myślowy. - A kiedy pan zdążył tak brzydko pothaktować moją uhoczą phacodawczynię? Przecież wszyscy whóciliśmy do pokojów w tym samym czasie.

Na tę uwagę nie tylko Roman Pajor, ale też Patrycja Żmuda, Julianna Makowiecka, Anna Pawełka i Barnaba Mischuk zareagowali w sposób nieoczekiwany. Przybrali wygląd dzieci przyłapanych na podkradaniu słodyczy z domowego barku, co nie uszło uwagi Korytki.

- Zdaje się, że macie nam coś do powiedzenia - stwierdził służbowym tonem. - Kiedy i w jakich okolicznościach to się wydarzyło?

- To wszystko przez tego melepetę Błażeja! - wydusił wreszcie burmistrz. - Wszyscy grali w kości jak ludzie, tylko ja musiałem tego imbecyla za rękę prowadzić, a on i tak nie odróżniał strita od fulla. No i zapytałem, czy ktoś by ze mną nie zagrał. Agata z Barnabą zgodzili się od razu, Leokadia też, namówiłem jeszcze Patrycję i Julkę, potem dołączyła Ania i rozegraliśmy sobie partyjkę na dwie drużyny.

- Jak to Ania? - wyraził bezbrzeżne zdumienie Kornaś. - Przecież położyłaś się razem ze mną.

- Ale nie mogłam zasnąć, kochany. - Pawełka zatrzepotała rzęsami, a na jej twarzy wykwitł uroczy rumieniec. - Usłyszałam hałasy, a że ściany są cienkie, szybko się zorientowałam, co się święci. Ty tak smacznie spałeś, więc poszłam sama.

- I co dalej? - warknął Korytko, wodząc wściekłym wzrokiem od jednego do drugiego uczestnika tajnej schadzki.

- Graliśmy sobie, jak należy, na pieniądze. Patrycja była krupierem. - Pajor uśmiechnął się promiennie do rudej

księgowej, szybko jednak zmienił wyraz twarzy w obawie przed gniewem komendanta. – Agata rozmawiała z Leokadią o pałacu i jego historii, zaczęła o wszystko dopytywać: „a co to za wino”, „a dlaczego takie cenne”, „a ile jest warte”.

Zdenerwowałem się w końcu, bo co to za gra, kiedy zamiast o grze to się o dupie Maryni myśli, no i tak jakoś się to potoczyło, że na nią nakrzyczałem, a potem nakrzyczałem na Leokadię, bo zaczęła się odgrażać, że nas całkiem wydziedziczy, i one sobie poszły.

– Razem poszły? – upewnił się policjant.

– Daleko zasadniczo nie miały... – skonstatował Kornaś i natychmiast zamilkł pod naciskiem ostrzegawczego spojrzenia Korytki.

– Na pewno razem wyszły – odezwała się cicho Makowiecka. – Zdaje mi się, że postanowiły pójść do jednego pokoju, chyba do Leokadii. Agata cały czas wypytywała o ten pałac. I dlatego Roman tak bardzo się zdenerwował.

Dopiero po tych słowach wszyscy przypomnieli sobie, że druga z nieobecnych osób, Leokadia Schmidt, w dalszym ciągu pozostaje nieobecna, a jej pokój wciąż jest zamknięty.

Barnaba wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Korytką, po czym znów użył uniwersalnego klucza. Przebieg zdarzeń nie odbiegał od poprzedniego – Antoni uchylił drzwi, zajrzał do środka, następnie wszedł, ostrożnie stawiając kroki. Leokadia zajmowała apartament będący lustrzanym odbiciem tego, w którym gościli Śródkowie – również tutaj wydzielono część dzienną z identycznym umeblowaniem, a za ścianką znajdowała się sypialnia z podwójnym łóżkiem.

Różnica rzucała się w oczy natychmiast: łóżko nie było posłane, a na nim, twarzą w dół, leżały zakrwawione zwłoki Leokadii z ogromnym nożem wystającym z pleców.

– O Chhyste! – wrzasnął Michel, kiedy jego wzrok zatrzymał się na makabrycznym obrazie. – *Oh mon Dieu! Oh mon Dieu!*

Mało brakowało, a poza krwawym trupem trzeba by jeszcze martwić się o omdlałego Michela, na szczęście jednak Korytko zachował zimną krew, wyprowadził bladezielonego konsjerża z pokoju i zamknął drzwi na klucz. Z przerażeniem pomyślał, co powie na ten cyrk prokurator (swoją drogą gdzie on jest?!). Na koniec jednak zadał sobie w myślach pytanie, które chodziło po głowach wszystkim: gdzie, u diabła, podziała się znowu cholerna Śródka?!

Rozdział XXXII.

Mamy cholerny problem

Prokurator Omkły otrzeźwiał nieco w chwili, gdy patolog sądowy oznajmił mu, że żadne z państwa Śródków nie umarło śmiercią naturalną.

- Co do dziewczyny wątpliwości raczej nie było, bo sama na narzędzie zbrodni się nie nadziała, ale z jej mężem sprawa nieco bardziej się komplikuje.

- Co ma pan na myśli? - Błażej ziewnął szeroko, aż strzeliły mu stawy w zuchwie. -

Znaleźliście jakieś ślady walki?

- Tylko wewnętrznej - zażartował medyk. - Nie mamy jeszcze wyniku analizy toksykologicznej. Treść żołądka i wymiocin była mocno zróżnicowana, więc trochę to zajmie.

Ale mamy tu jednego nadgorliwego studenta na praktykach, który z własnej inicjatywy wziął się do badania przywiezionej butelki po winie. No i tam już jest bardzo ciekawie.

Prokurator poprosił o przesłanie mu wyniku analizy e-mailem, wskoczył pod prysznic, gdzie biczował się na zmianę lodowatą i gorącą wodą, po czym pachnący i wyfiokowany ruszył na spotkanie z gośćmi, o których wciąż nie potrafił myśleć w kategorii podejrzanych.

Tymczasem coraz więcej okoliczności i faktów wskazywało na to, że w gronie sympatycznych mieszkańców Gościńca ukrywa się morderca.

Mijając foyer, które poprzedniego wieczoru służyło za salę hazardu, kątem oka dostrzegł, że pomieszczenie nie zostało

sprzątnięte. Zestawy do gry w kości wciąż leżały na stołach, nawet kieliszków po winie kelnerzy nie zabrali do mycia. „Dziwne obyczaje” – skonstatował w myślach młody prawnik. Na fotelu, w którym spędził noc, zauważył żółtą akrylową narzutę.

Rzeczywiście obudził się nią przykryty, nie pamiętał jednak, żeby tam była, zanim zasnął.

W jadalni nie zastał nikogo z gości, tylko kelnerów. Dochodziła ósma, gong wyrwał go ze snu ponad czterdzieści minut wcześniej, możliwe, że pozostali zdążyli już zjeść śniadanie. Błażej nalał kawy, wsypał do niej dwie czubate łyżeczki cukru i usiadł przy stole. Brak towarzystwa zupełnie mu nie przeszkadzało, dawno już przywykł do samotnych posiłków, ba! w zasadzie nawet wołał spożywać je bez świadków. Zawsze to mniej stresu, jak się coś człowiekowi uleje albo spadnie na koszulę. No i nie ma ryzyka oplucia rozmówcy.

Po pierwszej filiżance kawy poczuł dobroczynne działanie cukru i kofeiny. Przybyło mu sił na tyle, żeby mógł coś zjeść. Wybrał jajecznicę, którą jeśli dobrze pamiętał, zachwalała Agata Śródka, a jej rekomendacja to przecież nie w kij dmuchał. Doskonale wypieczona żytnia bułeczka z ziarnami dyni smakowała jak ambrozja w towarzystwie jajecznicy na maśle, dzięki czemu Błażej zapomniał o bożym świecie.

Tymczasem boży świat nie zapomniał o nim i zmaterializował się nagle na schodach w postaci wzburzonego Antoniego Korytki. W tym samym momencie od strony winnicy poniósł się echem stukot obcasów.

- Jak tam dzionek, Antoni? - zagadnął Omkły, przełknąwszy zbyt duży kęs bułki. - Wszyscy żyją?

Korytko spojrział na niego z mieszaniną obrzydzenia, strachu i podejrzliwości. Czyżby wróżbita? Nie zdążył jednak odpowiedzieć na pytanie, choć i tak nie miał pojęcia, jak powinien na nie odpowiedzieć, bo do jadalni wmaszerowała

zadowolona z siebie Śródka w towarzystwie wąsatego jegomościa.

- Wygląda na to, że trochę się spóźniliśmy - zaszcebiotała radośnie. - Mam nadzieję, że coś zostało dla maruderów. Zje pan ze mną, prawda, panie Marku?

- Bardzo chętnie, dziękuję. - Przystojny mężczyzna skinął głową Korytce i wyciągnął rękę do prokuratora. - Marek Kopczyński, bardzo mi przyjemnie.

- Bławej Omdły - odwzajemnił się, nie zdążywszy przełknąć, młody człowiek. - Przepraszam, Błazej Omkły, prokurator. A pan jest...?

- Pan Marek jest ogrodnikiem i dba o winnicę - pośpieszyła z wyjaśnieniem Agata. - A zna się na tym nawet lepiej od pani Leokadii. Tylko nie mówcie jej tego - zachichotała na koniec.

Korytko wzdrygnął się lekko na wspomnienie widoku, który zastał w pokoju starszej pani. Zagryzł dolną wargę, co czynił zawsze pod wpływem stresu, po czym usiadł obok prokuratora. Odczekał, aż Agata z Kopczyńskim zajmą się swoim śniadaniem, i wyszeptał:

- Mamy cholerny problem. Było morderstwo.

- Ameryki, Antek, nie odkryłeś - odparł spokojnie Omkły. - Tyle to i ja wiem. Wiem nawet więcej: były dwa morderstwa.

- Jak dwa? Przecież Śródki nikt nie zamordował! - wypalił zdezorientowany policjant.

- Ależ owszem, zarówno pana, jak i panią Śródkę ktoś pozbawił życia całkowicie wbrew ich woli.

- Ach, ty o tym... - Korytko wreszcie zrozumiał i poczuł się jeszcze gorzej.

- A ty o którym? - zainteresował się Błazej. - O czymś nie wiem?

Policjant rzucił niespokojne spojrzenie w kierunku Agaty i przysunął się bliżej prokuratora. Jego nozdrza zostały

przyjemnie połączane zapachem jajecznic, musiał więc przełknąć ślinę, zanim wydobył z siebie głos.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało jak kiepski dowcip, ale mamy kolejne, TRZECIE morderstwo.

Widelec, który Omkły trzymał w dłoni, upadł na talerz z głośnym brzdękiem. Kęs bułki urósł Błażejowi w ustach i za nic nie dał się przełknąć. Korytko litościwie podsunął

prokuratorowi serwetkę, z której ten zrobił użytek, i w końcu odezwał się cicho:

- Mam nadzieję, że wciąż nie wytrzeźwiałem i to tylko pijackie omamy. Czy tam osłuchy.

Korytko odpowiedział wymownym milczeniem. Co tu jeszcze było do powiedzenia?

- Kto? - warknął Omkły, odsuwając od siebie talerz. Apetyt opuścił go już całkiem, a to, co zjadł, planowało powrót tą samą drogą, którą weszło.

- Leokadia - szepnął policjant, patrząc smętnie na zachęcającą resztkę jajecznic.

- Jezus Maria... - Prokurator oparł łokcie o blat stołu i złapał się za głowę. - Kto widział ją ostatni?

Tym razem Korytko wykonał ekwilibrystyczny ruch mający na celu wskazanie Agaty z jednoczesnym niewskazywaniem Agaty, co w rezultacie wyszło co najmniej dziwnie. Błażej jednak zrozumiał zamiar kolegi, pokiwał ze smutkiem głową, po czym wstał energicznie i ruszył

na górę. Antoni podążył za nim, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Śródkę, która w najlepsze dyskutowała z Kopczyńskim na temat wyższości mąki żytniej nad pszeną.

Rozdział XXXIII.

Żarty się skończyły

Pogotowie i policja przyjechały w jednym momencie. Dokładnie w chwili, w której Omkły wraz z Korytką opuszczali miejsce zbrodni. Nie było żadnych wątpliwości, że Leokadia Schmidt została zamordowana w trakcie snu.

- Zbierz wszystkich na dole - zarządził prokurator, zamykając drzwi. - Nikomu, podkreślam, absolutnie nikomu nie wolno ruszyć się z miejsca, dopóki ja się tam nie zjawię.

Żarty się skończyły.

Korytko sam z siebie wiedział, że żarty się skończyły. Jak dla niego to ta cała sprawa już dawno przestała być zabawna. Gdyby musiał ją zaszufadkować, postawiłby raczej na tragifarsę.

W żadnym wypadku nie czuł się bohaterem komedii.

Zszedł na dół, gdzie zastał resztę przerażonego towarzystwa. Nawet Śródka siedziała tam, gdzie ją zostawił, co stwierdził z wyraźną ulgą. Nikt z obecnych się nie odzywał, tylko restauratorka i jej wąsaty towarzysz zdawali się nie zauważać gęstniejącej atmosfery. Gruchali w najlepsze, co chwila chichocząc.

- W imieniu prokuratora Omkłego proszę państwa o pozostanie na miejscach do czasu, aż będzie mógł do nas dołączyć.

- Czy wtedy puści nas do domu? - zapytała zrezygnowanym głosem Anna Pawełka.

- Obawiam się, że dzisiaj będzie to niemożliwe - odparł twardo. - Okoliczności są bardzo poważne.

- O nie! - lamentowała Mariola Santini. - Ja nie mam więcej ubrań! Agatko, pożyczysz mi coś swojego?

Śródka podniosła wzrok na pisarkę, po czym uśmiechnęła się odrobinę złośliwie.

- Biorąc pod uwagę różnice w naszych posturach, mogę ci zaproponować jedynie szal.

Albo szlafrok. Wydawało mi się, że widziałam policjantów, czyżbym się myliła? - skierowała pytanie do Korytki.

- Dobrze widziałaś, w tej chwili są z Błażejem.

- No to chyba wreszcie złapią tego mordercę i będziemy mogli wrócić do domów, co? I Madziaczek nie będzie zmuszona paradować w brudnych ubraniach.

Zapadła głucha cisza. Nikt, nawet Michel, nie miał ochoty złośliwie komentować.

- Agato, mogę cię na chwilę prosić? Chodźmy do holu, muszę z tobą zamienić słówko - powiedział Korytko.

Śródka wzruszyła ramionami i niechętnie podniosła się od stołu. Marek Kopczyński postanowił zajrzeć do córki, czując się odrobinę nie na miejscu w towarzystwie wyglądających jak zombi gości Mischzuka. Przemknęło mu przez głowę, że brakuje Leokadii, ale wytłumaczył to sobie jej wiekiem. Widocznie śpi, bo przecież wieczór zakończyła późno, jak wynikało z opowieści Agaty.

Korytko zaprowadził Śródkę na tę samą kanapę co poprzednio, a sam rozsiadł się wygodnie w fotelu. Założył ręce na okrągłym brzuchu i zaczął kręcić młynka kciukami.

Wpatrywał się w Agatę intensywnie, czekając, aż napięcie sięgnie zenitu. Nie znał jednak możliwości restauratorki, która przeżyła ponad dwadzieścia pięć lat w związku z Robertem Śródką i umiejętność wytrzymywania milczącego suspensu

opanowała do perfekcji. Patrzyli więc na siebie niczym zawodowi pokerzyści i żadne z nich nie zamierzało zrezygnować z blefu. Ktoś jednak musiał ustąpić, padło na Korytkę.

- Ekhm... Agato, droga Agato - zaczął dość niepewnie, bo nie miał właściwie pojęcia, od czego powinien tę rozmowę rozpocząć. - Byłabyś tak miła i powiedziała, gdzie spędziłaś dzisiejszy poranek?

- Ja zawsze jestem miła, Antoni - odparła prostolinijnie. - A moja poranna aktywność nie jest żadną tajemnicą. Towarzyszyłam panu Kopczyńskiemu podczas przycinania krzewów.

A konkretniej korzeni krzewów, gdyż należy je zabezpieczyć przed mrozem. Możesz zapytać panią Leokadię, na pewno to potwierdzi.

- Szczerze wątpię - wyrwało się policjantowi, jednak na razie nie zamierzał niczego wyjaśniać. Zamiast tego przystąpił do ataku. - O której godzinie wyszłaś przycinać te korzenie?

- Chwilę przed szóstą.

- A o której poszłaś spać?

- Nie mam pojęcia, nie patrzyłam na zegarek.

- Brałaś udział w nielegalnej grze w kości w pokoju burmistrza Pajora?

- A więc to o to chodzi! - zaśmiała się Agata. - No brałam, wygrałam trzy dychy. Oddam na cele charytatywne, obiecuję.

- Pani Leokadia wyszła z tobą?

- Wyszła. Musiała wyjść ze mną, bo zamieniłyśmy się pokojami.

- Słucham? - Korytko wlepił osłupiały wzrok w restauratorkę, która wciąż się uśmiechała na wspomnienie przyjemnie zakończonoego wieczoru.

- Zamieniłyśmy się pokojami; ona poszła do tego po Robercie, a ja spałam u niej. No co tak na mnie patrzysz? Pościel przecież wzięłam świeżą.

Korytko zaniemówił. Słowa Michela o zaskakującym porządku w pokoju Agaty nabrały sensu. Jeszcze więcej sensu nabrała idiotyczna myśl, która kołatała się w jego głowie od feralnego otwarcia pałacu. Ktoś ewidentnie polował na Śródkę. Albo na Śródków w liczbie mnogiej.

- Kiedy postanowiliście się zamienić tymi pokojami? - wyduślił wreszcie. - Czy ktoś poza wami o tym wiedział?

- Hmm... - Agata zamyśliła się głęboko. - Chyba jak już wychodziłyśmy, powiedziałam coś w stylu, że żałuję tej zamiany z Michele, bo jednak trochę się boję, na co pani Leokadia odparła, że może tam iść, bo ma w poważaniu Śródkę oraz wszystkie inne duchy, przecież i tak już jest jedną nogą w grobie. No to wzięłam tylko czystą pościel, walizkę miałam spakowaną, przeniosłam raz-dwa, ona przyszła na moje miejsce i voilà.

- Kto mógł to słyszeć? - drążył policjant.

- W zasadzie każdy, kto był wówczas w pokoju - odparła restauratorka ze wzruszeniem ramion. - Nie robiłyśmy z tego tajemnicy. Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

Korytko pogrążył się w zadumie. Odpowiedzi Agaty brzmiały szczerze i nie były pozbawione sensu. Przedstawiona przez nią wersja zdarzeń mogła mieć miejsce. Zakładając, że to ona - a nie Leokadia - była celem mordercy, w kręgu podejrzeń znajdowali się uczestnicy prywatnej rozgrywki. Nagle komendant przypomniał sobie, że Michel bez zawahania pukał do drzwi, za którymi powinna po zamianie pokoi spać Śródką, mimo że przecież teoretycznie o tej zamianie nie wiedział. Jego reakcja na widok zamordowanej Leokadii także odbiegała od normy. Czyżby należało włączyć pana Blanca do grona podejrzanych?

- Antoni! - Głos Agaty wyrwał go z zamyślenia. - Czy ja jestem o coś podejrzana?

- Obawiam się, że tak - odpowiedział jej Błażej Omkły, który właśnie w tym momencie pojawił się w holu. Obok niego szedł mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna z torbą lekarską w dłoni. - Bardzo dobrze się składa, że tu panią zastałem, musimy wyjaśnić sobie kilka kwestii. Najpierw jednak prosiłbym, żeby pani na to spojrzała.

Wyciągnął w jej kierunku przezroczystą foliową torebkę, w której znajdowała się kartka.

A właściwie fragment kartki, nie większy niż bilet autobusowy.

- Poznaje pani charakter pisma? - zapytał, kiedy Agata chwyciła torebkę.

- Który? Bo tu są dwa - odparła skonfundowana restauratorka.

- Naprawdę? - Omkły pochylił się nad torebką, którą Agata obracała w palcach.

- No niech pan zobaczy. Z jednej strony pochyła się w lewo, z drugiej jest bardziej proste.

Ewidentnie pisały to dwie osoby.

- A wie pani może które? - zapytał z nadzieją.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami i przybliżyła kartkę do oczu. - „Wina wina” - odczytała z trudem. - Co to niby znaczy?

- A z drugiej strony „Był cukier”. Może to jakaś lista zakupów? - dywagował towarzyszący Omkłemu medyk. - Tę kartkę znaleźliśmy w dłoni zmarłej.

- Grażynki? - upewniła się Śródka.

- Leokadii - poprawił ją natychmiast Błażej Omkły, po czym zreflektował się, że jakoś to dziwnie wyszło. - Pani oczywiście wie, że dziś w nocy...

- ...a dokładniej nad ranem... - wtrącił lekarz.

- Że dziś nad ranem pani Leokadia Schmidt została zamordowana w swoim łóżku.

- No właśnie nie w swoim - odezwał się wreszcie Korytko, nie dając Agacie szans na reakcję. - Okazuje się, że pani Śródka zamieniła się w nocy pokojami z panią Leokadią. Pani Schmidt została zamordowana w łóżku pani Śródki.

- Jaja sobie ze mnie robisz?! - ryknął prokurator.

- No co ty, Błażej! Przecież ustaliliśmy, że żarty się skończyły.

Rozdział XXXIV.

Entliczek, pentliczek

- Przez tę cholerną sprawę zniechęcę środę. A to był zawsze mój ulubiony dzień tygodnia! - Błażej Omkły dochodził do siebie po kolejnej tego dnia rewelacji, z niedowierzaniem odkrywając, że nie ma jeszcze nawet dziesiątej.

- Ja już mam awersję do wina - odpowiedział mu Korytko. - Nigdy więcej nie spojrzę na butelkę.

- O to akurat pretensje możesz mieć tylko do siebie - zgasił go młodzieniec. - Musimy zebrać fakty i zrewidować wszystkie zeznania. Ktoś w tym towarzystwie wyraźnie coś ukrywa, a ja mam wielką nadzieję, że to nie jesteś ty.

- Ja? - zachnął się policjant. - Moje największe grzechy już znasz. Wczoraj w nocy spałem jak suseł w swoim pokoju i nie wynurzyłem się z niego aż do chwili, kiedy ten cały Blanc zaczął walić w drzwi pokoju Agaty. Leokadii. Cholera jasna, sam już nie wiem, w czyje drzwi on walił!

- Mniejsza o to, w czyje walił drzwi, to nie on. Nie było go tutaj, kiedy zamordowano Grażynę, i na pewno nie przyczynił się do śmierci Roberta - podsumował Błażej.

- Zakładasz, że sprawca jest jeden?

- Waham się... - Omkły zawiesił głos i potarł czoło. - Jeśli sprawców jest więcej, to jaki w ogóle miałoby to sens?

- Przephaszam, że przeszkadzam, panie phokuhatorze. - Michel nieśmiało wyjrzał zza drzwi jadalni. - Czy ja mógłbym się oddalić do toalety?

- Co? - Wyrwany z zamyślenia Omkły nie od razu sobie przypomniał, że wydał bezwzględny zakaz opuszczania miejsca zgromadzenia. - A tak, niech pan idzie. W drodze powrotnej proszę tu do nas podejść, porozmawiamy. Co to ja mówiłem? - zwrócił się do Korytki.

- Że więcej sprawców nie ma sensu...

- Aha, właśnie. Zakładając, że sprawców jest więcej, musimy liczyć się z tym, że szukamy więcej niż jednego motywu zbrodni. A na razie znalezienie choćby jednego wydaje mi się niemożliwe.

- Chyba że działali wspólnie - zauważył roztropnie Korytko.
- Ci sprawcy, w liczbie mnogiej.

- W zasadzie masz rację... - zgodził się Błazej. - Tylko co nam to daje?

Rozmowa została przerwana, bo zza rogu wynurzył się Michel Blanc. Wyglądał mizernie i daleko mu było do jego standardowego wizerunku zadbanego millenniala. Usiadł ciężko na kanapie, z przyjemnością odkrywając sprężystość jej siedziska, i czekał na rozwój wydarzeń.

Minę miał przy tym cokolwiek niewyraźną - jakby równocześnie krzywił się z obrzydzenia i smucił. Widok ofiary zbrodni wstrząsnął nim tak bardzo, że nie potrafił pozbyć się go sprzed oczu pomimo wyłożonych starań. Kompletnie nic nie pomagało.

- Panie Michelu - zaczął Omkły, przyjmując najbardziej służbowy spośród służbowych tonów. - Zacznijmy może od tego, co pan tu właściwie robi. I nie mam na myśli tu, na tej kanapie, tylko tu, w winnicy - dodał, żeby uniknąć ewentualnych nieporozumień.

- No przecież mówiłem już panu phokuhatohowi, że przyjechałem, żeby się upewnić, że z Agatą wszystko w porządku - tłumaczył cierpliwie konsjerż. - Ten

niepełnosprawny hecepcjonista nie był w stanie mi wyjaśnić, że zamordowano inną panią Śródkę.

- Jaki znowu niepełnosprawny? - zdziwił się Omkły, po czym machnął ręką. - Mniejsza o to, chyba nie chcę wiedzieć. I tylko dlatego?

- Jakie tylko?! - oburzył się Blanc. - Uważa pan, że to nie jest wystarczający powód? Przecież musiałem jej powiedzieć, że moje życie było zagrożone! A ona nawet nie haczyła odebrać telefonu albo zahegować na wiadomość, którą dla niej zostawiłem.

- Jaką wiadomość? - zainteresował się uprzejmie Korytko.

- A takie tam nasze sphawy... Przypomniało mi się, że widziałem w pałacyku kogoś, kogo nie powinno tam być, i chciałem jej o tym powiedzieć.

- A co pan robił dzisiaj między trzecią a szóstą rano? - zaatakował zniecka Omkły.

- Spałem. A pan? - odparował Blanc.

- No, ja właściwie też - wyznał zaskoczony Błażej. - Obudził mnie dopiero ten upiorny gong.

- Mnie też - dodał Korytko. - Coś okropnego.

Przesłuchanie Michela zakończyło się, niewiele wniósłszy do całej sprawy. Omkły czuł jednak, że chłopak jest niewinny. Może i ma nieszczęśliwie miły charakter i lepiej z nim nie zadzierać, ale w kwestii morderstwa raczej należałoby go wykluczyć.

Kiedy Michel się oddalił, prokurator otworzył notes, w którym prowadził zapiski, i rozpoczął próbę zebrania faktów. Miał przed sobą przesłuchanie wszystkich pozostałych osób i jeszcze jedną rozmowę ze Śródką, czuł jednak palącą potrzebę usystematyzowania posiadanych informacji. Zasadniczo wiedział tylko, że właściwie nic nie wie.

- Punkt pierwszy - myślał na głos i równocześnie zapisywał starannym pismem. - W sobotni poranek zostają znalezione zwłoki Roberta Śródki. Zgodnie z analizą laboratorium kryminalistycznego doszło do zabójstwa przy użyciu trucizny, którą znaleziono w butelce z winem. Punkt drugi. Grażyna Śródka ginie w niedzielę od ciosu w głowę zadanego jej z tyłu, prawdopodobnie szklaną butelką. Butelki nie odnaleziono. Ciało zostaje ułożone na plecach.

Punkt trzeci. Leokadia Schmidt zostaje zamordowana w poniedziałek między godziną trzecią a szóstą rano w łóżku, w którym nie powinno jej być. Przecież to nie ma najmniejszego sensu! - krzyknął ze złością, uświadomiwszy sobie, że donikąd go to pisanie nie doprowadziło. - Chyba że mamy do czynienia z szaleńcem, który morduje na rympał.

- Entliczek, pentliczek, na kogo wypadnie - zawtórował mu policjant, kiwając głową. - Dopisz do tej listy jeszcze zniszczenie tortu Agaty Śródki i *Lot nad kukułczym gniazdem* jak malowany.

- Czekał, czekaj... - Omkły przyłożył palec do ust. - Masz rację! Ty jesteś genialny! To wcale nie jest takie głupie, jak ci się wydaje. Gdyby zamienić kolejność, wykluczyć to, hm, hm, hm... No, no, może w tym szaleństwie jednak jest jakaś metoda.

Błążej zaczął coś szybko notować na drugiej stronie kartki. Spojrzał na zapisane w punktach zdania, po czym zwrócił się do policjanta:

- A gdyby tak, Antek, założyć, że w rzeczywistości punktem pierwszym było zniszczenie tortu i zostawienie groźby Agacie Śródce? I gdyby pójść za tą myślą, że to jednak Agata Śródka od początku była właściwym celem?

- I Leokadia zginęła, bo ktoś ją wziął za Agatę?! - pojał nagle Korytko i zbladł niczym plama po wybielaczu. - Tylko co z tym zatrutym winem? - zapytał nagle. - Tego morderca nie

mógł przewidzieć, butelki stały wszystkie na regale i każdy mógł wziąć tę z trucizną.

- Chodzi mi po głowie pewien pomysł, który wymaga sprawdzenia. Jeśli jednak okaże się, że mam rację, wszystko powinno pójść jak po maśle.

Skoro o maśle była mowa, Korytko poczuł, że naprawdę jest głodny. Prokurator zdążył przecież zjeść śniadanie i wypić kawę, jemu tymczasem pozostało obejść się smakiem. Ze względu na ekstraordynaryjne okoliczności kelnerzy nie uprzątnęli jadalni, można więc było załapać się na jakieś resztki - w tych okolicznościach nawet resztki wydawały się delikatesem.

Błażej wielkodusznie zgodził się na przerwę śniadaniową, sam chciał w spokoju przeczytać wiadomość z wynikami oględzin zwłok, dotychczas bowiem zdążył tylko rzucić na nią okiem. Korytko jak na skrzydłach udał się więc do jadalni, podczas gdy prokurator przesiadł się na wygodną kanapę i z uwagą zagłębił w lekturze.

Zgodnie ze słowami obducenta śmierć Grażynki nie pozostawiała żadnych wątpliwości w kwestii udziału osób trzecich, a przynajmniej jednej osoby, tyle bowiem wystarczyłoby, żeby rąbnąć dziewczynę w głowę i osiągnąć skutek śmiertelny. Z pewnością też sama Śródką nie przewróciła się na plecy po śmierci, wiadomo przecież, że przewrócić to się można w grobie, a Grażynka leżała na gołej ziemi. Mało tego, owa niepodważalnie występująca osoba trzecia przykryła twarz ofiary szalem - według protokołu z miejsca ujawnienia zwłok - co podsuwało Błażewi wniosek o osobistym charakterze tej zbrodni. To z kolei oznaczało, że sprawcy należałoby szukać w życiorysie ofiary.

Z Robertem Śródką sprawa miała się nieco inaczej, aczkolwiek wyniki toksykologii nie pozostawiały żadnych złudzeń - w butelce wina zabezpieczonej obok łóżka w

apartamencie Śródków znaleziono znaczne stężenie digoksyny (łac. *Digoxinum*), której spożycie stało się bezpośrednią przyczyną śmierci w męczarniach. Te męczarnie Błażej dopowiedział sobie sam, sprawdzwszy w internecie objawy zatrucia glikozydem. Dowiedział się także, że digoksyna pozyskiwana jest z rośliny o nazwie naporstnica, potocznie zwanej diabelskimi dzwonekami, powszechnie występującej na łąkach, ale i w przydomowych ogródkach, żeby nie musieć daleko szukać. Przy okazji trafił na artykuł, z którego wynikało, że James Bond, słynny Agent 007, w filmie *Casino Royale* został otruty wyciągiem z naporstnicy i ledwo uszedł z życiem. Niestety Robert Śródka nie mógł liczyć na pomoc MI6, w związku z czym leżał teraz w metalowej szufladzie, czekając na zakończenie śledztwa. Poza niezaprzeczalnym walorem anegdotycznym wiedza ta niewiele wniosła do sprawy i ani na krok nie zbliżyła Błażeja do rozwiązania zagadki.

Rozdział XXXV.

To ja zostawiłem tę notatkę!

Korytko skonsumował śniadanie w ciszy, nieustannie czując na sobie spojrzenia zaniepokojonych gości. Było mu wszystko jedno, czy przewiercą go wzrokiem, obgadają za plecami, czy nawet zaczną mu ubliżać – on musiał się najeść. Głodny policjant to zły policjant.

Agata Śródka siedziała samotnie zatopiona w myślach. Pytania prokuratora zmusiły ją do zastanowienia się i uruchomienia ciągu skojarzeń. Od dziecka lubiła wszelkiej maści łamigłówki, z zapalem czytała powieści szpiegowskie, co przynosiło jej więcej szkody niż pożytku, niekiedy wręcz narażając na śmieszność. Zawsze szukała dziury w całym, a czarne nigdy nie było po prostu czarne i musiało mieć drugie dno.

Podobnie jak prokurator Omkły Agata lubiła spisywać swoje myśli, łatwiej jej wtedy przychodziło wyciąganie wniosków. Nie miała przy sobie dyżurnego kajeciku, wstała więc od stołu, opuściła jadalnię, minęła zapatrzonego w ekran telefonu Błażeja i weszła do foyer. Na stoliku, przy którym poprzedniego wieczoru siedziała z Leokadią i Michelem, wciąż leżały bloczki do zapisywania wyników oraz długopisy. Śródka chwyciła kartkę, na której notowała Leokadia, odwróciła ją i zaczęła gryzmolić na niezadrukowanym rewersie, zupełnie nieświadoma, że w holu prokurator Omkły robi dokładnie to samo. Zapisawszy ponad pół kartki, przebiegła wzrokiem po

niewyraźnych literach, po czym skłęła samą siebie za całkowity brak umiejętności kaligrafowania. Co za kulfony! Nie to co...

Odwróciła kartkę, żeby spojrzeć na równiutkie pismo Leokadii Schmidt, i zamarła.

Chwyliła papier w dwa palce, jak gdyby bała się uszkodzić niezwykle istotny dowód rzeczowy, i pognęła co sił w nogach, tłukąc o posadzkę obcasami swoich różowych szpilek.

- Panie Błażeju, panie prokuratorze! - darła się wniebogłosy.
- Już wiem, gdzie widziałam to pismo!

Omkły podniósł na nią nieobecny wzrok, czekając na jakiś ciąg dalszy. Zaniepokojeni wściekłym rykiem pozostali goście zaczęli wybiegać z jadalni, wpadając sobie nawzajem na plecy.

- Które pismo, pani Agato? - zapytał uprzejmie Omkły, nie doczekawszy się dalszego ciągu.

- To od wina! Niech pan spojrzy! - Podsunęła mu pod nos kartkę. - Nie tu, o, tu! - Dźgnęła palcem w swoje imię zapisane na górze tabelki. - Widzi pan?!

Błażej zobaczył. Zobaczył to niebiesko na białym, bo takiego właśnie koloru był wkład w długopisie, którym Leokadia Schmidt z pieczołowitością zanotowała wyniki rozgrywki. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że niezrozumiała „wina wina” zapisana została tą samą ręką.

Prokurator sięgnął do kieszeni, w której trzymał torebkę z tajemniczą karteczką, porównał charakter pisma, choć w zasadzie wcale nie musiał, a następnie pomachał torebką jak dzwonkiem.

- To może ktoś z państwa rozpozna drugi charakter pisma? - zwrócił się do zaciekawionych gapiów. - Skoro już wszyscy państwo się pofatygowali, to przynajmniej nie róbmy pustych przebiegów.

Żadna z kolejno oglądających notatkę osób nie rozpoznała pisma, porównanie z trzema pozostałymi bloczkami do gry w

kości też nie przyniosło efektu.

- Panie Michelu, jeszcze pan - przypomniał Omkły. - Może pan rozpozna autora tej notatki?

Blanc przytknął papier niemal do nosa, jednak nie potwierdził znajomości charakteru pisma.

- „Był cukieh...” - odczytał na głos. - Może to fragment jakiegoś przepisu? Pisma nie rozpoznaję, ale mogę panu zhobić analizę ghafologiczną.

Omkły uniósł brwi i zamrugął szybko.

- No co? Każdy przecież ma jakiś talent, a mnie psychoghafoлогия zawsze bardzo interesowała. To co, zhobić analizę?

- Zhobić, tfu! Zrobić, bardzo proszę - zaszcebiotał słodko Omkły. - Niech pan siada.

- A my? - zapytała zmęczonym głosem Anna Pawełka. - Co my mamy w tym czasie robić?

- Proszę wrócić do jadalni - polecił sucho Błazej. - Za chwilę do państwa dołączę.

Jeszcze momencik i będą państwo mieli moją nieograniczoną uwagę. - Ostatnie zdanie zabrzmiało niemal jak groźba, choć wcale tego nie planował.

Michel przystąpił do analizy tekstu zapisanego na fragmencie kartki. Najpierw obracał ją zgodnie z ruchem wskazówek zegara, następnie w drugą stronę, wyginał, oddalał, przybliżał, cały czas mruczając coś pod nosem. W końcu wydał werdykt:

- Autorką tej notatki jest osoba, która zawsze chciałaby być piehwsza i najważniejsza w grupie, naphawdę jednak ma słaby charakter i niewiele sobą reprezentuje. Jest bardzo skonfliktowana wewnętrznie, chciałaby być dla innych autorytetem, oczekuje uznania swojej wielkości i podkheśniania

znaczenia. Jest skłonna do przesady, zadufana w sobie i przemądrzała.

Błażej słuchał tej opinii z rosnącym zainteresowaniem. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy Michel nie przeprowadził właśnie autoanalizy, postanowił jednak się nie odzywać.

- Gdybym miał coś panu sugerować - kontynuował pół-Francuz - to poszukałbym osoby zakompleksionej, odhobinę niestabilnej emocjonalnie, nielubiącej swojej phacy i może nawet choćę autystycznej.

- I pan to wszystko wie po przeczytaniu dwóch słów? - Bez względu na to, czy te informacje mogłyby się na cokolwiek przydać, Błażej był pod wrażeniem. Czuł się niemal jak w trakcie seansu u wróżki, co zawsze go fascynowało.

- Zawodowy ghafolog pothafi schahaktehyszować człowieka po samym jego podpisie - odparł Michel z nonszalancją, choć widać było, że rozpiera go duma. - Niech pan tylko na to spojrzy: duże, okhągłe litehy, pochylone w phawą sthoneę, zwahte. Ogonki są niedomknięte, a samogłoski kulfoniaste. I na koniec khopka nad „i”, któha dosłownie jest kółkiem nad „i”, co wyhaźnie wskazuje na egocentryzm. No i phoszę zobaczyć, jak duża była siła nacisku. To jakiś wybitnie nehwowy egzemplarz.

- Zaimponował mi pan, panie Michelu - pochwalił konsjerża Omkły. - Teraz tylko trzeba znaleźć nerwową, niestabilną, egocentryczną, nielubiącą swojej pracy oraz sfrustrowaną osobę i sprawa zamknięta!

- Może pan zacząć od tego niepełnosphawne... O *merde*! Ja wiem, co znaczy ten napis! - Michel wlepił wzrok we fragment papieru. - To ja zostawiłem tę notatkę!

- Nie rozumiem... Przecież to nie jest pańskie pismo - stwierdził nieśmiało prokurator, dodając w myślach: „choć idealnie pasuje do charakteru”.

- *Non, non*, nie moje! Nie ja zhoiłem tę notatkę, ja ją tylko podyktowałem! - Blanc kiwał się w przód i w tył niczym dziecko

z chorobą sierocą. – Hozumie pan?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo... Może pan nieco jaśniej?

Zamiast mówić jaśniej, Michel poderwał się nagle z kanapy i ruszył ku recepcji.

– No niech pan się huszy! – popędził Błażeja.

Zaintrygowany Omkły podążył za nim, zgarniając ze stołu torebkę z kartką.

– Przephaszam bahdzo, miła pani – wydyszał Blanc do uśmiechniętej recepcjonistki. – Czy może pani odszukać wiadomość zostawioną w niedzielę nad hanem dla pani Śródki? Od Michela Blanca.

Dziewczyna postukała w klawisze i kiwnęła głową.

– Zgadza się. Wiadomość od pana Michela Blanca dla pani Śródki: „Wczoraj ktoś u nas węszył. Wydaje mi się, że to był cukiernik z doliny”.

– Był cukier! – krzyknął Omkły.

– Bahdzo dziękuję. Czy wiadomość została przekazana?

– Oczywiście – potwierdziła recepcjonistka. – Wiadomość została dostarczona z samego rana. Pani Śródka spała, więc recepcjonista zostawił kartkę w pokoju. Numer... dwieście dziewięć.

– Dwieście dziewięć? – upewnił się prokurator. – Jest pani pewna, że nie dwieście siedem?

– Dwieście dziewięć – powtórzyła dziewczyna z naciskiem. – Wiadomość dostarczono pani Grażynie Śródce zgodnie z prośbą nadawcy.

Rozdział XXXVI.

Zacznijmy od początku

- Domyślam się, że to nie pani Grażyna miała być odbiorcą pańskiej wiadomości? - zapytał Omkły dla całkowitej jasności, kiedy wracali z Michelelem do jadalni.

- Ależ skąd! Ja o żadnej Grażynie nie miałem pojęcia.

- Rozumiem. - Błażej kiwał głową, rzeczywiście rozumiejąc coraz więcej. Miał wrażenie, że zaczyna odnajdywać brakujące elementy układanki, która pozwoli mu zamknąć tę okropną sprawę. Choć do tego wciąż było jeszcze daleko. - A co miała znaczyć ta wiadomość, tak na marginesie?

Michel zatrzymał się nagle i spojrzał na prokuratora wielkimi jak spodki oczami.

- Tehaz właściwie sam nie wiem, ale wtedy, w nocy, wydawało mi się, że to ważne.

W piątek przed południem widziałem, jak phacownik pana Miszczuka khęcił się po pałacu. Znam go z widzenia, Agata mówiła, że zajmuje się desehami. Możliwe, że coś sobie wymyśliłem, czasem tak mam, kiedy nie mogę zasnąć. Wie pan, jak to jest, kiedy ma się zbyt bujną wyobraźnię.

Błażej nie wiedział, szczycił się bowiem niezwykle pragmatycznym podejściem do życia i - poza fascynacją astrologią - twardo stąpał po ziemi, nie ulegając sile wyobraźni. Potrafił jednak zrozumieć, że nie wszyscy są tacy jak on.

Dotarli do jadalni, w której całe towarzystwo siedziało znudzone, zabawiając się plotkowaniem i snuciem

fantastycznych teorii na temat wydarzeń minionego weekendu. Antoni Korytko załamany tymi bzdurami trzymał się za głowę, co chwila kręcąc nią z niedowierzaniem.

Prokurator powiódł spojrzeniem po siedzących parami i trójkami uczestnikach imprezy, nieco dłużej zatrzymując wzrok na twarzy Agaty Śródki. Nie potrafił jej całkiem rozgryźć – irytowała go, a jednocześnie nie dało się jej nie lubić. W rodzących się w jego głowie hipotezach zajmowała natomiast niezwykle ważne miejsce.

Michel bez słowa usiadł obok Śródki, starając się zachować twarz pokerzysty, co jednak wyszło mu raczej średnio. Agata natychmiast zorientowała się, że jej absolutnie narcystyczny podwładny właśnie posiadał jakąś niezwykle istotną informację, czym zapewne zamierza się chełpić do końca świata. Co też on wyczytał z tego cukru?!

Błażej Omkły wysunął jeden ze stołów na środek sali, przystawił doń krzesło i poprosił pozostałych o skupienie.

- Tym razem nie zamierzam tolerować żadnych kłamstw, nie radzę państwu także niczego zatajać – rozpoczął tonem zimnym jak lód. - Ostrzegam państwa także, że nie wyjdziemy stąd, dopóki sprawca zabójstw nie zostanie ujęty.

Ciszę w jadalni zakłócał jedynie subtelny szum klimatyzatora, który o tej porze roku pełnił funkcję ogrzewania. Dwanaście par oczu wpatrywało się w prokuratora jak w obraz, który zaczął krwawić albo przemówił ludzkim głosem. Niemniej do morderstw nie przyznał się nikt.

- Doskonale – skwitował Błażej, zupełnie bez emocji. - W takim razie zacznijmy od samego początku. Pani Agato, będę potrzebował pani pomocy.

Zaskoczona Agata podeszła na palcach do stołu, starając się nie dotykać obcasami posadzki.

- Niech pani przeczyta – polecił jej Omkły. - Głośno, tak, żeby wszyscy słyszeli.

- „Był cukier” - przeczytała restauratorka, niewiele z tego rozumiejąc. - Przecież my wszyscy już to widzieliśmy. I zgodziliśmy się, że nie ma żadnego sensu.

- A gdybym pani powiedział, że to fragment większej całości, która brzmi: „Wczoraj ktoś u nas węszył. Wydaje mi się, że to był cukiernik z doliny”, to co by pani powiedziała?

- Że pisał to jakiś imbecyl - odparła bez zastanowienia. - Nawet w formie pełnych zdań nie ma większego sensu.

- A gdybym do tego dołożył informację, że odbiorcą tej wiadomości miała być pani, a jej nadawca siedzi tam? - Prokurator zawiesił teatralnie głos i wskazał ręką na Michela.

Śródka odruchowo podążyła wzrokiem w kierunku, który wyznaczała wyciągnięta ręka Omkłego, po czym nagle do niej dotarło.

- U nas, to znaczy w pałacu! Cukiernik z doliny to cukiernik Barnaby! No oczywiście!

Miałam rację! - wykrzyknęła z triumfem. - Mówiłam, że ten deser to przepis Charles'a! Mówiłam!!!

Michel pokiwał głową z uznaniem, ponieważ sam doszedł do tego wniosku, gdy tylko przypomniał sobie to, o czym uparcie zapominał.

- Ale co to właściwie znaczy? - zapytała Śródka z niepokojem. - To żadna zbrodnia, jeśli dostał przepis od Charles'a, choć osobiście wolałabym, żeby moi kucharze nieco mniej chętnie dzielili się tajnikami swoich popisowych dań.

- Za chwilę do tego dojdziemy, pani Agato. Dziękuję, może pani wrócić na miejsce - powiedział ze spokojem, po czym podniósł się z krzesła. - Państwo pozwolą, że podzielę się pewną historią. Będzie ona o tyle ciekawa, że naprawdę miała miejsce, a wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest całkowicie zamierzone.

Rozdział XXXVII.

Plan doskonały

Piękny niczym męska wersja Heleny Trojańskiej Błażej Omkły odczekał stosownie długą chwilę, zanim rozpoczął opowieść mającą stanowić rekonstrukcję wydarzeń minionego weekendu. Ewentualne luki w historii zamierzał uzupełniać na bieżąco podpowiadanymi mu przez wyobraźnię domysłami. Reszta i tak wyjdzie w praniu – powtarzał sobie w myślach – a kto wie, czy morderca w jakiś sposób się nie zdradzi. Ryzyk-fizyk.

- Pewnego pięknego wiosennego dnia znana restauratorka, nazwijmy ją Anną, postanowiła kupić zabytkowy pałac, którego właściciel splajtował, przegrawszy fortunę w kasynie – rozpoczął Omkły, modulując głos jak rasowy lektor. – Po długich przygotowaniach Anna otworzyła pałac dla gości, wyprawiając w nim wielką fetę. Pośród zaproszonych znaleźli się włodarze miasteczka i szanowani przedsiębiorcy. Słowem: elita. Czy to brzmi znajomo? – zadał retoryczne pytanie, badawczo przyglądając się twarzom słuchaczy.

Nikt nawet nie mrugnął okiem. Młody prawnik nie spodziewał się niczego innego, podjął zatem opowieść:

- Wydawać by się mogło, że przyjemny wieczór stanie się początkiem wspaniałej przygody, a wszyscy będą żyć długo i szczęśliwie. Tymczasem ktoś już wtedy miał w głowie plan pozbawienia życia naszej bohaterki. Być może jednak nigdy wcześniej nie posunął się do zbrodni, dlatego przeprowadził próbę generalną: zamordował tort wyglądający jak ludzka głowa.

Zostawił również ostrzeżenie dla Anny, choć w zasadzie wyrok już zapadł i los kobiety został przesądzony. Musiała zginąć. Nadażają państwo za historią? – zapytał, żeby zyskać trochę czasu i móc napić się wody.

Wyglądało na to, że nadażali, choć na słowa „musiała zginąć” wszystkich obecnych przeszedł dreszcz. Agatę nawet podwójnie, wszak to o niej była mowa, a miecz Damoklesa przestał być wyłącznie imaginacją historycznej hipochondryczki. Z coraz mocniej bijącym sercem czekała na ciąg dalszy, który chciała poznać, zanim rzeźbiony wyrok zostanie wykonany.

- Szczęśliwym zbiegiem okoliczności – kontynuował Omkły – o ile takie w ogóle w tej historii występują, Anna została zaproszona do udziału w zamkniętej imprezie, znów w towarzystwie tych samych co poprzednio osób. Plan mordercy mógł zatem nabrać realnych kształtów.

- Hola, hola – przerwała mu Śródka, swoim zwyczajem nie potrafiąc utrzymać języka za zębami. – Na wypadek, gdyby się pan jeszcze nie połapał, to ja żyję, na dowód czego mogę panu pomajtać nóżką. – Co powiedziawszy, machnęła odnóżem zakończonym różową lakierowaną raciczką.

Omkły mimowolnie spojrział na neonowy bucik i skrzywił się boleśnie.

- Pani Agato – syknął nieprzyjaźnie. – Na pytania i dyskusje przyjdzie czas, tak samo jak na pani buty.

Przywołana do porządku Śródka spojrzała na niego spod byka, ale nie odezwała się już więcej.

- Na czym skończyłem? A tak. Na planie mordercy. Otóż ów plan był prosty i niemal doskonały. Zapewne znają państwo powiedzenie o igle w stogu siana? Bez wątpienia nasz morderca wykorzystał je w przewrotny sposób – zakończył Błażej z prokuratorską manierą, zwykle zarezerwowaną dla wystąpień przed sędzią.

Tym razem na twarzach swego audytorium Omkły dostrzegł wyraźne zainteresowanie, co było raczej zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że zbliżał się do wyjaśnienia zagadki pierwszego morderstwa. Odchrząknął lekko, przepłukał usta wodą i kontynuował z tą samą manierą:

- Żeby lepiej przedstawić przebieg tragicznego w skutkach wieczoru, poproszę, aby państwo zamknęli oczy i przypomnieli sobie, co działo się po kolei od momentu przyjazdu do Gościnnej Doliny. Z dotychczasowych zeznań świadków wyłania się dość klarowny i chronologicznie spójny ciąg wydarzeń: zostali sobie państwo wzajemnie przedstawieni w sali kominkowej, następnie wszyscy przeszli do jadalni, podano posiłek, a do niego wino. Zgadza się, panie Barnabo?

Barnaba skinął głową.

- Świetnie, zatem idźmy dalej. Kolacja przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych, a w jej trakcie, o ile dobrze zrozumiałem, poznawali się państwo wzajemnie, co stanowi swoistą tradycję dorocznych zjazdów organizowanych przez pana Mischzuka.

Tym razem wszyscy zgodnie skinęli głowami.

- Po kolacji, zanim udali się państwo na spoczynek, zostali obdarowani butelkami wina, po jednej na pokój. Czy tak?

Omkły nie czekał na potwierdzenie ani na żadną inną reakcję. Wstał z miejsca, otworzył drzwi i wyciągnął przez nie rękę. Stojący po drugiej stronie umundurowany policjant podał mu butelkę wina i uklonił się z szacunkiem. Błażej odwdzieczył się takim samym ukłonem, po czym zamknął drzwi, wrócił na zajmowane wcześniej miejsce, uniósł butelkę nad głowę i zapytał:

- Kto z państwa ma taką w pokoju?

Jedna po drugiej ręce unosiły się nieśmiało, jedynie Mariola Santini się nie poruszyła.

- Ja moje wino wypilam - wyjaśniła ze wstydem.

- Oto jest, proszę państwa, corpus delicti, dowód rzeczowy przestępstwa - ryknął prokurator, potrząsając butelką. - To właśnie wino zostało wykorzystane do zamordowania Romana Śródki.

Zaintrygowani do żywego słuchacze - wszyscy z wyjątkiem komendanta Korytki - wytrzeszczyli oczy na szklane naczynie w ręce młodzieńca, jakby ten co najmniej przyznał się do wyznawania teorii płaskoziemstwa. Co też ten siusiumajtek za brednie wygaduje? - pytali w myślach, patrząc na Omkłego z niedowierzaniem.

- Pardon, monsieur - odezwał się Michel, zmrużywszy oczy. - Zdaje się, że to wino nie mogło być haczej żadnym kohpusem delikty ani w ogóle kohpusem czegokolwiek, bo przecież ono jest zamknięte.

- Słuszna uwaga, panie Blanc - poparł go burmistrz, nabrawszy odwagi. - Tego wina nikt nie pił.

- To miało być takie obrazowe exemplum - warknął Błażej. - Tę akurat butelkę skonfiskowaliśmy z pokoju pani Leokadii.

- Dajcie człowiekowi dokończyć - zdenerwowała się Śródka. - Ja bym się chciała wreszcie dowiedzieć, kto z was czyha na moje życie.

Błażej spojrział na nią z wdzięcznością i odrobiną niepokoju. W zasadzie grali w jednej drużynie - on też chciałby wiedzieć kto, a nie tylko jak zabił trzy osoby. Na razie poruszał się trochę po omacku. Otworzył usta, żeby kontynuować wyjaśnienia, ale nie zdążył wydobyć z nich głosu.

- Ale przecież ja żyję - ogłosiła Madziaczek, która zorientowała się nagle w stanie rzeczy i natychmiast musiała się tym odkryciem podzielić.

Błażej spojrział na nią ze złością; raptem poczuł, że jego teoria chwieje się w posadach.

Rzeczywiście: wypięła i żyje. Jego hipoteza opierała się na założeniu, że wszystkie sprezentowane butelki zawierały

wyciąg naparstnicy, jednak nie miał okazji tego jeszcze sprawdzić, strzelał więc na oślep, licząc, że trafi. Żyjąca pisarka świadczyła o tym, że się jednak przeliczył. Odstawił flaszkę na stół i gorączkowo myślał nad sposobem wybrnięcia z tej niewygodnej sytuacji, kiedy uzyskał boską, a co najmniej namaszczonej przez Boga pomoc.

- Tak naprawdę to wypijaś może naparstek tego wina, kochanie - odezwał się cicho Ludwik Bury swoim aksamitnym głosem. - A zaraz potem oddałaś go kanalizacji.

Madziaczek spojrzała na ukochanego wielkimi niebieskimi oczami, w których widać było bezbrzeżne zdumienie.

- Ale... przecież... butelka była pusta? - szeptała, wpatrując się w księdza z niedowierzaniem.

- Była pusta, bo resztę wylałem. Po tym jak zwróciłaś całą zawartość żołądka.

- Zwróciłam? Naprawdę? O matko... - Santini trzepotała długimi rzęsami, usiłując pohamować łzy. - Nic dziwnego, że czułam się następnego dnia jak zwłoki. Zostałam otruta!

- Ależ to nie ma żadnego sensu - stwierdziła Agata, starając się pokryć wzruszenie, które ogarnęło ją na myśl o tym, że tak niewiele brakowało, żeby Madziaczek leżała teraz w prosektorium obok Roberta. - Nie chce pan chyba powiedzieć, że wszystkie butelki z winem zostały zatrute? Skoro morderca chciał zabić mnie, to po co miał zabijać wszystkich? W dodatku ryzykując także swoje życie, jak w rosyjskiej ruletce?

- Nie sądzę, żeby planował zabicie wszystkich. - Na to pytanie Omkły przygotował odpowiedź już wcześniej. - Pragnę zauważyć, że z całego towarzystwa wyłącznie cztery osoby były „obce”. A zatem tylko upodobań tych czterech osób morderca mógł nie znać. Jakie wino jest najbardziej popularne?

- Czerwone wytrawne - odparł natychmiast Barnaba, do którego to pytanie zostało skierowane.

- A jakie pani najchętniej pija, Agato?

- Różowe półsłodkie - odpowiedziała bez namysłu Śródka.

Błażej podniósł butelkę ze stołu i przeczytał informację z etykiety:

- „Pinot Noir Do La Vallée to najbardziej prestiżowe czerwone wino Gościnnej Doliny. W aromacie dominują nuty marynowanych czereśni, jarzębiny i żurawiny. Bogate, soczyste i zdecydowane, choć zachowuje lekkość. W pierwszej odświeżeniu żywe i łagodne, w kolejnych prezentuje pełne, ożywcze i owocowe oblicze. Charakterystyczny smak nadaje mu kwasowość z nutą goryczy”. Wypiłaby pani to wino, Agato?

- W życiu Romana! O, pardon! - stropiła się popełnioną gafą.

- W życiu bym go nie wypila. Oddałabym Michelowi.

- A nasz morderca nie musiał wcale o tym wiedzieć - dodał z triumfem prokurator, po czym zaczął machać butelką. Nagle jego wzrok padł na wgłębienie w szklanym dnie. - Panie Barnabo - rzucił szybko. - Może pan do mnie podejść?

Miszczuk zbliżył się do Błażeja energicznym krokiem, choć robił to wyraźnie wbrew swej woli. Informację o tym, że jedno z najlepszych win w jego kolekcji jest trujące, przyjął jak najgorszy afront. Zatrzymał się obok stołu i czekał z pytaniem w oczach. Omkły przybliżył twarz do ucha winiarza, szepnął coś, po czym Barnaba chwycił butelkę, obrócił ją do góry dnem i przyjrzał się wgłębieniu. Powtórzywszy czynność dwukrotnie, pokręcił przecząco głową, oddał butelkę Omkłemu i wrócił na swoje miejsce, rozumiejąc jeszcze mniej niż poprzednio.

Błażej tymczasem znów podszedł do drzwi, za którymi stał umundurowany policjant, otworzył je i zniknął po drugiej stronie na kilkanaście sekund. Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, oblicze prokuratora wprost osłepiało bijącą z niego radością.

- Jeśli mam rację, a wydaje mi się, że ją mam - oznajmił entuzjastycznie - za chwilę zagadka wina zostanie wyjaśniona i

nie będzie absolutnie żadnych wątpliwości w kwestii modus operandi w przypadku morderstwa pana Roberta.

- Co dokładnie było w tym winie? - zapytała Agata, boleśnie uświadomiwszy sobie, że nie tylko życie Madziaczka, ale też Michela mogło zostać narażone z powodu jakiegoś obrzydliwego i niesmacznego kawału. O swoim własnym życiu w tej chwili nie myślała, gdyż ryzyko, że wzięłaby do ust sprezentowane wino, było bardzo małe.

- Wyciąg z naparstnicy - odparł Błażej, któremu nagle odkrycie dodało skrzydeł. - Pani Rózo, wie pani, co to takiego, prawda?

Rozdział XXXVIII.

Dzwony zmarłych i palce wróżek

Wywołana do odpowiedzi Róża Kalicka, najlepszy botanik amator w regionie, doskonale wiedziała, czym jest naparstnica. Znała jej wszystkie odmiany, zastosowanie i właściwości, w tym także - rzecz jasna - te trujące.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała cicho na pytanie prokuratora. - To bardzo powszechnie występująca roślina, można ją znaleźć niemal wszędzie, nawet w moim ogródku.

Dawniej, kiedy zielarstwo stanowiło poważną i szanowaną gałąź medycyny, nazywano ją palcami wróżek albo dzwonami zmarłych. Nasi przodkowie doskonale wiedzieli, że zioła potrafią zarówno wyleczyć, jak i uśmiercić. I takie właśnie są naparstnice: piękne, wyniosłe, pomocne jak wróżki, ale i śmiertelnie niebezpieczne.

- Czy wie pani może, jaka ilość tej rośliny byłaby potrzebna, żeby zabić człowieka? - kontynuował prokurator. - I jak się ją pozyskuje?

- Naparstnice we wszystkich organach posiadają glikozydy kardenolidowe, które są silnymi toksynami, jednak surowcem zielarskim są głównie liście - wyjaśniła Róża. - Zbiera się wyłącznie te zdrowe i nieuszkodzone, a następnie suszy w cieniu w temperaturze nie wyższej niż pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Susz można przechowywać nawet przez rok pod warunkiem zapewnienia mu niemal zerowej wilgotności, w

innym przypadku substancje glikozydowe ulegną rozkładowi i żadnego pożytku z nich nie będzie.

- Pożytku?! - oburzyła się Agata. - Przypominam ci, Rózo, że mówimy o silnej truciznie i pożytek z niej może odnosić wyłącznie bezwzględny zabójca.

- To nieprawda, Agato - odparła natychmiast Kalicka. - Ziołolecznicze właściwości digitaliny są znane od końca siedemnastego wieku. Wykorzystywano je w leczeniu niewydolności krążenia, zaburzeniach rytmu serca, a nawet przy nadciśnieniu. Parkinson, ten od choroby neurologicznej, uważał, że zgniecione zioło lub jego wyłoczony sok powinno się stosować zewnętrznie w postaci maści do oczyszczania trudno gojących się ran czy wrzodów.

Prokurator kiwał głową, gdyż większość tych informacji znalazł już wcześniej. Niektóre jednak stanowiły nowość również dla niego, zwłaszcza te dotyczące sposobu pozyskiwania toksyn.

- Jaka ilość jest śmiertelna dla człowieka? - powtórzył pytanie.

- Przyjmuje się, że letalną dla dorosłego człowieka dawkę zawierają już trzy gramy wysuszonych liści, a dla dzieci śmiertelne może się okazać zjedzenie nawet dwóch kwiatów.

W przypadku nalewki to około dwudziestu gramów. Co jednak istotne - uzupełniła z powagą - pierwsze objawy zatrucia mogą się pojawić dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach od spożycia, gdyż toksyczne glikozydy są przez nasz układ pokarmowy wchłaniane powoli. Żeby wywołać natychmiastowe zatrucie, stężenie digitaliny musiałyby być ogromne albo...

- Albo co?! - nie wytrzymała Śródka.

Robert zmarł w kilka godzin po wypiciu zatrutego wina, więc co tu się, u diabła, wyprawia?!

- Albo już wcześniej poziom toksyn w krwi musiał być wysoki, a jednorazowe przyjęcie dużej ich ilości stało się gwoździem do trumny - dokończyła Róża Kalicka i zbladła, zorientowawszy się, że odrobinę niefortunnie dobrała frazeologizm.

- Sugehuje pani, że Ghażynka podthowała Hobehta napahstnicą?! - Michel wytrzeszczył oczy ze zdumienia, krzywiąc się nieładnie.

- Niczego takiego nie sugeruję! - zaprzeczyła stanowczo Kalicka, a jej twarz oblała się purpurą.

- Jest jeszcze jedno rozwiązanie - stwierdziła cicho Agata, wpatrując się w ekran telefonu komórkowego. - W serwisie medycznym piszą, że digitoksyn nie wolno łączyć z niektórymi lekami, zwłaszcza z antagonistami wapnia, które mają działanie arytmiczne. Robert chorował na arytmie serca i od lat przyjmował leki, których substancją czynną był werapamil.

Błążej podszedł do Śródki i wyjął jej z ręki telefon. Przebiegł wzrokiem po zaznaczonym fragmencie tekstu, oddał Agacie telefon i zamyślił się. Jeśli wyniki sekcji to potwierdzą, możliwe, że właśnie znaleźli odpowiedź na jedno z najtrudniejszych pytań, które zadawał sobie, odkąd otrzymał e-mail z analizą toksykologiczną.

- Dużo pani wie, pani Hózo, na temat tej hośliny i jej tujących właściwości. - Michel Blanc starał się nadać swemu głosowi maksymalnie kąśliwe brzmienie. - Może ma pani coś do ukhycia, co?

Kalicka nie zdążyła zareagować, bo rozległo się pukanie i drzwi otworzyły się na oścież.

Do jadalni wkroczyło dwóch policjantów, a każdy niósł koszyk z butelkami wina. Identycznymi jak ta, która stała na stole przed Omkłym. Mundurowi postawili kosze na podłodze obok prokuratora i bez słowa wymaszerowali z jadalni.

- Pozwól tu, Antoni - polecił Błażej Korytce. - Spójrz, proszę, na dno tych dwóch butelek - powiedział, wskazując dwie z obwiązanyimi wstążką szyjkami.

Komendant delikatnie uniósł najpierw jedną, a potem drugą flaszkę, odwracając je do góry dnem. Następnie to samo zrobił z pozostałymi sześcioma butelkami, na których nie było wstążeczek, i uniósł brwi ze zdumienia. Zadowolony z przebiegu eksperymentu prokurator wyszczerzył się radośnie i spojrzął na zebranych płonącym od emocji wzrokiem.

- Proszę państwa, wszystko zaczyna się układać w sensowną całość - wygłosił triumfalnie. - Nasz morderca to człowiek sprytny i bezwzględny. Zaplanował zbrodnię w najdrobniejszych szczegółach, przewidując nawet ewentualne perturbacje. Jedyne, czego nie przewidział, bo zwyczajnie nie mógł mieć na ten temat pojęcia, to gust naszej niedoszłej ofiary, czyli pani Agaty.

- Anny - poprawiła go Śródka. - Chyba że przestajemy mówić metaforami, walimy prosto z mostu i mordercę też będziemy nazywać po imieniu.

Omkły o niczym bardziej nie marzył, jednak nazwisko mordercy pozostawało dla niego taką samą zagadką jak dla pozostałych. Nie mógł się przecież z tym zdradzić, zanim spłoszy zwyrodnialca. Wierzył też, że proces dedukcji doprowadzi go w końcu do upragnionego olśnienia. Odchrząknął delikatnie i zignorował zaczepkę restauratorki.

- Jak już mówiłem, zaplanował niemalże każdy szczegół swojego niecnego planu, o czym mogą się państwo naocznie przekonać. Na dnie butelek, które na potrzeby niniejszego śledztwa policjanci obwiązali tasiemką, znajdują się maleńkie, nierzucające się w oczy naklejki. Nie ma ich natomiast na pozostałych sześciu. Panie Barnabo, czy rozpoznaje pan te oznaczenia? - zapytał, zbliżywszy się do coraz bardziej przerażonego winiarza.

Miszczuk spojrział na denko, do którego przyklejony był ciemnozielony cekin. Gdyby się nie wiedziało, że tam jest, bardzo trudno byłoby go zauważyć.

- Nie rozpoznaję. Nie oznaczam butelek w żaden sposób i na pewno tam tego nie przykleiłem. Ani żaden z moich pracowników - zapewniał żarliwie Barnaba.

- *Quod erat demonstrandum*. - Omkły wyglądał, jakby tylko czekał na możliwość wypowiedzenia tych słów. I prawdopodobnie tak właśnie było. - A zatem możemy założyć, że robótkami ręcznymi zajmował się nasz morderca.

Do powyższego wniosku wszyscy doszli sami, jednak wcale nie poczuli się przez to lepiej. Do rozwiązania zagadki nie było ani trochę bliżej...

Prokurator wypił pół szklanki wody naraz, głośno przełknął ostatni łyk, po czym przeszedł do kolejnego wątku śledztwa, zostawiając na razie tajemniczego rękodzielnika w spokoju.

- Do tragicznego w skutkach zdarzenia doszło zatem w nocy z piątku na sobotę. Było to pierwsze z trzech morderstw, które położyły się długim cieniem na Gościnnej Dolinie. - Prokurator znów był w swoim żywiole. - Kolejna zbrodnia została odkryta przed południem w niedzielę. Pani Grażyna Śródka, żona pierwszej ofiary, została znaleziona martwa obok winiarni. Przyczynę jej śmierci ustalono stosunkowo łatwo, morderca tym razem nie silił się na żadne subtelności i ordynarnie użył tego, co miał pod ręką.

- Znów padło na butelkę - skwitował gorzko Korytko. - Fatum jakieś...

- Mówiłem przecież, że to wszystko wina wina - dodał Michel.

- Wiele wskazuje na to - kontynuował prokurator, nie zwracając uwagi na komentarze - że morderca znów nie miał szczęścia.

- Co ma pan na myśli? - oburzyła się Mariola Santini. - Grażynka, tak samo zresztą jak Robert, została zamordowana na śmierć!

- Ty głupia jesteś, Madziaczkę - stwierdziła Agata, kręcąc głową. - Pan prokurator nie twierdzi, że nie zabito jej na śmierć, tylko że, *parbleu*, nie ona miała być ofiarą tego przedsięwzięcia. Jeśli wciąż się nie zorientowałaś, to pragnę cię uświadomić, że cała impreza zaplanowana została dla mnie. Prawda, panie Błażeju?

- No bój się Boga, Agato! - wykrzyknęła pisarka. - Ja rozumiem, że ty jesteś celebrytką i pławisz się w świetle fleszy, ale bez przesady... Od razu dla ciebie impreza. A niby dlaczego?

Może właśnie chodziło mu o mnie?

- Obawiam się, pani Santini, że pani Agata może mieć w tej kwestii słuszność. I nie sądzę, żeby była to zasługa jej, hmm, „celebryckości”. Zechce sobie pani przypomnieć, co pani pomyślała na widok ciała Grażyny Śródki leżącego obok budynku winiarni?

Madziaczek natychmiast przypomniała sobie przerażenie, które ścisnęło jej serce na widok różowych szpilek. Rzeczywiście, trudno by było pomylić ją samą z Grażynką.

Zawstydzona spuściła wzrok, co chwila tylko zerkała w stronę Agaty.

- Tę teorię - dowodził dalej przystojny prokurator - zdaje się wspierać kolejne morderstwo, którego dokonano w niezwykle brutalny sposób, mogący świadczyć o tym, że zabójca stracił cierpliwość. Leokadia Schmidt straciła życie na skutek ciosów zadanych nożem.

Przypominam państwu, że do zbrodni doszło w pokoju, w którym powinna spać pani Agata.

- Tak jak Claude...- wyszeptała Śródka, łapiąc się za serce. - Historia zatoczyła koło.

- W jaki niby sposób to dowodzi teorii, że miała zginąć Agata? - zaciętrzewił się Mischczuk, którego podejrzenie o zatrucie wina bardzo zabolowało. - Na razie przedstawił pan jedynie okoliczności zamordowania trzech osób, które mogła pozbawić życia nawet pani Śródka.

- Ma pan rację, Barnabo - zgodził się prokurator. - Taką możliwość również biorę pod uwagę. Pani Śródka miała prywatne porachunki z zamordowanymi małżonkami, więc jej potencjalne sprawstwo nasuwa się samo.

- Ale dlaczego miałyby zabić stahszą panią? - zapytał przytomnie Michel. - Nic jej przecież nie zhobiła i chyba nawet się zakumplowały.

- Tego jeszcze nie udało mi się odkryć - wyznał odrobinę zmieszany Błażej. Po chwili jednak dodał: - W zasadzie, gdyby się uprzeć, to motyw ostatniego zabójstwa można by przypisać każdemu z państwa.

Oburzenie, które wybuchło wśród zgromadzonych, przybrało postać rwetesu na targowisku. Każdy chciał koniecznie dowieść swojej niewinności, najlepiej rzucając podejrzenie na kogoś innego. Nagle okazało się, że wszyscy mieli coś za uszami.

- A niby skąd Róża ma tak rozległą wiedzę na temat trucizn?! - zauważyła z przekąsem Julianna Makowiecka. - Może to od niej by pan zaczął?

- O ile dobrze pamiętam, Julianno - odparowała urażona botaniczka - ty także brałaś udział w sympozjum, na którym opowiadałam o śmiertcionośnych roślinach. I Michał, i Roman, wszyscy mogliście zdobyć tę wiedzę.

- A pamiętacie, jak Julianna naskoczyła na Agatę? - wyrwała się Pawełka. - Może chciała pozbawić ją życia z zazdrości?

- A może to ty, Aniu, zabiłaś staruchę, bo bałaś się stracić swój cenny sklep? - odgryzła się bibliotekarka.

- Prędzej twój ukochany Barnaba to zrobił z obawy przed tym, że straci swoją piękną winnicę - warknął Kornaś, stając w

obronie narzeczonej.

- Bez pieniędzy Leokadii ty też raczej nie utrzymasz gazety - przypomniała jadownicie Patrycja Żmuda.

- Spokój! - Błażej Omkły stracił cierpliwość. Co prawda ujawnione właśnie informacje były niezwykle cenne, jednak trudno było uznać którąkolwiek z nich za wystarczająco silny motyw. Leokadia Schmidt zmieniła zapis w testamencie i wcale się z tym nie kryła. - Proszę państwa o spokój. Śledztwo jest w toku, jak państwo zauważyli, nikomu wciąż nie postawiłem zarzutów. Jedno jest pewne: nikt stąd nie wyjedzie, dopóki nie poznamy tożsamości mordercy.

Jeśli więc mają państwo NAPRAWDĘ istotne informacje, to teraz jest czas na ich ujawnienie.

Po krótkiej chwili całkowitej ciszy niespodziewanie głos zabrał Antoni Korytko, któremu pewna myśl wciąż nie dawała spokoju.

- Moim zdaniem nie powinniśmy całkowicie odrzucać hipotezy o dwóch zupełnie osobnych mordercach - powiedział cicho. - Na tym etapie nie wolno nam zakładać niczego na pewno ani też zamykać się na różne możliwości. Oczywiście wydaje się uzasadniona myśl, że morderca (lub mordercy) trzy razy popełnił błąd. Jest to jednak sprzeczne z regułą prawdopodobieństwa i oznaczałoby, że sprawca miał niebywałego pecha, a pani Śródka powinna zagrać w totolotka.

- Kontynuuj, Antoni - poprosił Błażej, dostrzegając logikę tego rozumowania. Wcale nie zamierzał upierać się przy swoim zdaniu, zwłaszcza że na razie donikąd go ono nie doprowadziło.

W tym momencie rozległ się ogłuszający gong, którego echo brzmiało w uszach jeszcze dobrych kilka minut. Michel obiecał sobie, że nigdy, przenigdy nie zgodzi się na zamontowanie podobnego wynalazku w miejscu, w którym on będzie przebywał. Zastanawiał się nawet nad możliwością zdemontowania tego metalowego narzędzia tortur, gdyby

przypadkiem udało mu się zejść z oczu prokuratorowi. Niestety widoki na to były raczej marne.

Rozdział XXXIX.

Każdy ma jakiś bagaż

Ze względu na tymczasową, lecz bezterminową okupację jadalni obiad podano w tej samej sali, w której w piątkowy wieczór Robert Śródka został udekorowany czerniną. Nikt poza prokuratorem Omkłym i Michelelem nie tryskał z tego powodu szczęściem. Agata Śródka postanowiła podzielić się z resztą swoimi odczuciami.

- O nie! O nie, nie, nie! - piekliła się, wymachując mikroskopijnymi piąstkami. - Ja przy tym rzeźnickim stole na pewno nie usiądę, *absolument non!*

- Agato, nie hób scen - warknął Michel, kierowany bardziej głodem niż wstydem. Na kacu mógłby jeść bez końca, a kiszki grały mu marsza już od dobrej godziny.

Śródka cofnęła się od progu, założyła ręce na piersiach i wpadła w stupor. Pozostali mijali ją bez słowa, aż została całkiem sama. Stałaby tak pewnie do uśmiechniętej śmierci, gdyby nie odezwał się piękny jak z obrazka Błażej.

- Niech się pani nie boi, pani Agato, będę panią ochraniał. Zostawiłem pani miejsce obok siebie, proszę wejść i zjeść jak człowiek.

Śródka sapnęła, ale ostatecznie dała się przekonać. Zwłaszcza że po drugiej stronie miała mieć Korytkę. Istniała zatem spora szansa, że i tym razem uda jej się ująć z życiem. Z zaciętą miną przemaszzerowała przez salę i zajęła miejsce między stróżami prawa. Niech stróżują, za to im się w końcu płaci.

Tym razem alkoholu nie serwowano na wyraźne polecenie prokuratora, co odrobinę zepsuło humory. Atmosfera zdawała się tak gęsta, że miecz Damoklesa mógłby swobodnie lewitować. Apetyczny krem pomidorowy z mozzarellą zjedzono zatem w ciszy, którą przerywało jedynie pobrzękiwanie łyżek.

W przerwie między daniami cisza stała się nieznośna, nikomu jednak nie przychodził do głowy żaden neutralny temat. Chwilowo wszyscy mieli dosyć dywagacji detektywistycznych, więc rozmowa nie miała szans się zawiązać. Do chwili, aż Mariola Santini postanowiła wprawić wszystkich w osłupienie.

- Agatko moja kochana - zaszlochała ni stąd, ni zowąd. - Ja ci to muszę, moja najdroższa, powiedzieć. Muszę, inaczej się uduszę. Bo jak ciebie ktoś naprawdę zabije, to ja nie zniosę myśli, że moja najlepsza przyjaciółka tego nie wie.

- O co jej chodzi? - zapytał półgębkiem Korytko, pochylając się do Agaty.

- Pojęcia nie mam - szepnęła Śródka w odpowiedzi. - Może demencja ją dopada?

- Przecież ona jest w pani wieku - dodał również szeptem Omkły.

- Ale geny mamy inne, widocznie mnie się lepsze trafiły...

Santini tymczasem wyła już pełną parą. Zawodziła jak głodne ciele, nie pomagały nawet czułe objęcia Burego. Potrzebowała kilku minut, żeby się uspokoić.

- Powiedz, Madziaczku, co ci tam na twym wielkim sercu leży, bo faktycznie gotowa jesteś się udusić - odezwała się wielkodusznie Agata.

- Bo ja... wiele lat temu... No wiesz, wtedy... - zacinała się pisarka. - No wtedy, kiedy Robert spotykał się z nami dwiema, to ja miałam dziecko - wydusiła z siebie w końcu.

Michel, który po raz pierwszy usłyszał o ekscesach byłego męża pracodawczyni, wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem. Patrzył to na jedną, to na drugą kobietę i starał się pojąć sens tego, co właśnie usłyszał. Właściwego sensu nie załapał w zasadzie nikt poza Agatą, którą zatkało na amen. Siedziała jak sparaliżowana, ze wzrokiem utkwionym w pięknej twarzy przyjaciółki. Napięcie między nimi stało się niemal widzialne, a im dłużej trwało, tym większy wywoływało dyskomfort wśród mimowolnych świadków tej spowiedzi.

- Czyje? - warknęła w końcu Agata.

- Roberta. - Pisarka wyglądała tak, jakby odczuła wielką ulgę. - Proszę cię, powiedz, że mnie nie nienawidzisz.

- Każdy ma jakiś багаż - odpowiedziała filozoficznie Śródka, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. - Łatwiej nieść go we dwoje. Gdzie jest teraz to dziecko?

- Nie wiem. Oddałam je do adopcji tuż po urodzeniu - wyznała ze smutkiem Mariola. - Przez dwadzieścia siedem lat udawało mi się o nim nie myśleć, aż do tej pory. To prawda, że karma wraca. Moja wróciła podwójnie.

- Robert wiedział? - spytała Agata, starając się zapanować nad szalejącymi w niej emocjami. Nie nienawidziła Madziaczka, ona naprawdę żałowała przyjaciółki.

- Nikt nie wiedział, poza Ludwikiem. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, powiedziałam mu wszystko, a on nie uciekł. Został ze mną, pomagał i wspierał. To on dał mi nadzieję na to, że oddanie dziecka do adopcji wcale nie musi oznaczać dla niego złego życia. Nie mogłam i nie chciałam zostać wtedy matką. To było jedyne wyjście.

- Rozumiem - odparła Agata. - I jest mi bardzo przykro. Mówię to jako matka, ale przede wszystkim jako twoja przyjaciółka. To straszne, że musiałaś zmierzyć się sama z tak wielkim problemem.

To niecodzienne pojednanie wzruszyło wszystkich obecnych, Agacie drżała broda, Julianna Makowiecka ukradkiem otarła łzę, Patrycja Żmuda chlipała, tylko Magdalena wyglądała tak, jakby rozpierało ją szczęście. Podniosła się z krzesła i podbiegła do Agaty, po czym uściskały się z czułością, o którą nikt ich nie podejrzewał. Topór został definitywnie zakopany.

Prokurator Omkły czuł się odrobinę nieswojo, gdyż owo zakopywanie topora odbywało się niemal nad jego uchem, które co chwila muskał obfity biust pisarki. W innych okolicznościach być może nawet by go to kręciło, ale w zaistniałej sytuacji oraz w obliczu tragedii – raczej krępowało. Na szczęście uratowało go bezpardonowe wtargnięcie kelnerów wnoszących wyśmienicie pachnące półmiski pełne pieczonego mięsa i ryb. Znów można było nie rozmawiać i nie zostać uznanym za wycofanego milczka.

Rozdział XL.

Antoni, jesteś genialny

Brak alkoholu wyraźnie utrudniał rozluźnienie się, więc wszyscy postanowili zająć stres.

Po blisko godzinie intensywnego posilania się biesiadnicy mieli już tak dość specjałów kuchni wielkopolskiej, że wizję zmiany scenerii przyjęli z ogromną ulgą.

W trakcie posiłku umysł prokuratora pracował na najwyższych obrotach. Dotychczas udało mu się jedynie namnożyć problemów, zapętlić pytania i zwątpić w dotychczasowe wnioski.

Miał przed sobą trudne zadanie i dojrzał do decyzji poproszenia o pomoc. Idealnie się składało, że dwie najbardziej potrzebne mu osoby siedziały akurat obok niego.

- Mogę was prosić, żebyście zostali tu ze mną? - zapytał szeptem, kiedy już wydał zgodę, by cała reszta udała się na poobiednią drzemkę.

Sam chętnie by się przespał, bo po obfitym posiłku skutki poprzedniej nocy wróciły ze zdwojoną siłą, jednak musiał być twardy. Nie mógł przecież wykluczyć, że perfidny złoczyńca podejmie kolejną próbę zabicia Agaty Śródki.

Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnią opuszczającą pokój osobą, odsunął się od stołu, poluźnił uciskający pasek i rozpiął guzik spodni. Ostatni raz tak się obżarł u mamy w poprzednią niedzielę. Rozpusta!

Korytko poszedł w jego ślady, tylko Agata nie miała czego rozpinać, bo była ubrana w luźny kombinezon, bez paska w

talii. Siedzieli sobie przez chwilę w milczeniu, ciesząc się urokami poobiedniego lenistwa, po czym Błażej przeszedł do sedna.

- Zabiła ich pani czy ich pani nie zabiła? - zapytał bez cienia złośliwości.

- No co pan, szkoda by mi było czasu na planowanie tych idiotyzmów - odparła Agata tak samo pogodnie.

- No ale ktoś to zrobił - dodał Korytko, ciężko wzdychając.

- Nadal pani podejrzewa panią Santini? - pytał dalej Omkły.

- Nieee, to nie ona. Sam pan widział, że wyrzuty sumienia ją zjadają. Wykluczyłabym ją na sto procent.

- Mnie też się tak zdaje - poparł ją komendant. - A jeśli nie ona, to raczej i nie Ludwik, bo przez cały czas byli razem.

- Zgadzam się z wami. Ale to wciąż zostawia kilka osób, co do których nie mamy żadnej pewności. Każda z nich miała okazję zamordować Leokadię, biorąc ją za panią Agatę.

- Zakładając, że ta osoba nie wiedziała o zamianie pokojów - dodał Korytko. - Bo gdyby wiedziała, że Leokadia spała w pokoju Agaty, który był pokojem państwa Śródków, to sytuacja nieco nam się zmienia.

Prokurator, myśląc nad słowami policjanta, poprawił się na krześle i poczuł, że coś uwiera go w kieszeni. Podniósł się, przytrzymując spodnie przed zsunięciem się, po czym wyjął foliową torebkę, w której znajdowała się karteczka z notatką od Michela. Rzucił na nią okiem.

I nagle go olśniło. Zrozumiał wszystko. Jak na dłoni zobaczył sekwencję zdarzeń, która wreszcie nabrała sensu.

- Idziemy!!! - wrzasnął. - Antoni, jesteś genialny!

- Też mi Amerykę odkrył... - bąknął Korytko, puchnąc z dumy, choć niezupełnie wiedział, czemu powinien ją przypisywać.

Rozdział XLI.

Do kaczek się strzela

Niemal biegiem Agata z Korytką podążyli za Błażejem, który pewnym krokiem udał się wprost do wnęki znajdującej się pod schodami. Za późno jednak zorientowali się w jego zamiarach i zdążyli jedynie zakryć uszy.

Prokurator chwycił oburącz zakończoną kauczukiem pałkę, zamachnął się i z całej siły uderzył w gong, który wydał najbardziej upiorny dźwięk, jaki słyszano na ziemi. Zdawało się nawet, że ściany nieco się zatrzęsły.

Po kilku chwilach na schodach rozległ się tupot nóg i zaalarmowane towarzystwo z przerażeniem w oczach zebrało się w holu.

- Kto znów zginął? - wydyszał Michel, z ulgą widząc Agatę całą i zdrową.

- Wszelki duch! - Ludwik Bury zgiął się wpół i usiłował złapać oddech.

Mariola Santini wyglądała jak rażona piorunem, nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, pozostali wpatrywali się tępych wzrokiem w prokuratora, który niewzruszony wciąż dzierzył

w dłoni odpowiedzialną za upiorny dźwięk pałkę.

- Jesteście, znakomicie - odezwał się radośnie. - Zapraszam państwa do jadalni, wiem już, co tu się wydarzyło.

Zniesmaczeni, a zarazem pełni lęku podejrzani udali się na miejsce, w którym oto miała się wyjaśnić największa zagadka w ich życiu.

- Zastanawialiśmy się dotychczas nad sytuacją, w której trzy tragiczne śmierci łączy osoba mordercy. Otóż dzięki uwagom komendanta Korytki zacząłem rozważać możliwość, że sprawców było więcej.

Po twarzach zgromadzonych przemknął grymas, nikt jednak się nie odezwał.

- Wskazówką, która potwierdziła to założenie, była, o ile państwo pamiętają, kartka z tajemniczą notatką. Usiłując zrozumieć jej znaczenie w naszej serii zabójstw, zupełnie zignorowałem pewne istotne okoliczności. Czy wiedzą państwo, w jaki sposób wszedłem w posiadanie tego dowodu? - zapytał, machając foliową torebką.

Odpowiedziało mu milczenie, a kilka osób zaprzeczyło ruchem głowy.

- Jak zapewne państwo zauważyli, została urwana. Oznacza to, że osobą, która oderwała resztę kartki, był zabójca Leokadii Schmidt. Tę kartkę bowiem znaleziono w jej dłoni.

- Czyli wystachczy znaleźć gościa, który ma długą część kahtki, i po kłopotcie - ucieszył się Michel.

- Jasne, Michelinku - zakpiła Śródka. - Szybciej by było, jakby się po prostu przyznał, okazał skruczę i radośnie pozwolił zakuć się w kajdanki. Kto na ochotnika?

- Kiepski temat do żartów sobie znalazłaś, Agato - ofuknął ją zniesmaczony Kornaś. - Widać wcale ci nie przeszkadza, że jakiś psychopata morduje ludzi jak kaczki.

- Do kaczek się strzela - poprawiła go odruchowo Makowiecka. - Czy ty kiedykolwiek przestaniesz popełniać błędy? Nie będę do końca życia ich za ciebie poprawiać...

Anna Pawełka otworzyła usta, żeby stanąć w obronie uciśnionego Michała, kiedy nagle porzuciła ten zamiar. Spojrzała na Kornasia z niepokojem, po czym nieznacznie się od niego odsunęła.

- Pora teraz wyjaśnić, co znajdowało się na tej kartce i dlaczego stanowi ona tak ważny dowód w sprawie zabójstwa państwa Śródków.

- Chyba Leokadii - wtrąciła Agata. - Już wszystko się panu miesza.

- Przeciwnie, pani Agato. Wszystko mi się klaruje. Kartka jest dowodem w sprawie zabójstwa pani Grażyny Śródki. A także wyjaśnieniem zamachu, do którego doszło w pałacyku w nocy, kiedy zginął Robert Śródka. Prawda, panie Michelu?

- Chyba prawda... - odparł Michel niepewnie. - Chociaż nie wiem, co obecność cukielnika ma wspólnego z morderstwem.

- Zaraz do tego dojdziemy. Potrzeba nam tylko jednej rzeczy, a w zasadzie jednej osoby.

Pani Agato, czy mogłaby pani opowiedzieć nam wszystkim, o czym rozmawiała pani wczorajszej nocy z Leokadią Schmidt?

- Ma pan na myśli historię pałacu? - upewniła się Śródka.

- Mam na myśli historię cysterskiej winnicy, bo o nią, zdaje się, chodziło od samego początku.

Rozdział XLII.

Legenda o winie

Kiedy znudzone grą w kości, ale wciąż niemające ochoty iść spać kobiety przestały interesować się pozostałymi w pokoju osobami, Agata wróciła do tematu historii pałacyku i klasztornej winnicy. Leokadia z radością podjęła przerwana opowieść, w której odmalowała przed zafascynowaną adeptką sztuki winiarskiej obraz niemal rajski. W tej historii znalazło się także miejsce na legendę, której bohaterem było wyjątkowe i niezwykle ekskluzywne wino.

Cystersi do czasu sekularyzacji majątków kościelnych prowadzili spokojny żywot, w którym uprawa, wyrób, ale i konsumpcja wina stanowiły ważny, o ile nie najważniejszy, element dnia codziennego. W tym celu nasadzono krzewy pospolitych odmian, z których owoców wyrabiano wino liturgiczne. Z czasem wśród wielkopolskich winiarzy coraz głośniej zaczęto mówić o tajemniczym ekskluzywnym winie, które - według licznych, acz niekoniecznie wiarygodnych źródeł - miało powstawać w gościnieckich pałacowych piwnicach na podstawie sekretnej receptury pochodzącej z samego Watykanu. Nigdy jednak nie udało się tego potwierdzić.

Ów tajemniczy trunek, według ustnych przekazów, zachwylił samego księcia Prus.

Wyjątkowo szlachetne wino wyróżniało się dodatkowo czymś jeszcze - przechowywane było w intensywnie niebieskim szkłe, które miało pochodzić z wyspy Murano. Zakonnicy strzegli

receptury jak największego skarbu, co nie przeszkadzało im docierać na najważniejsze stoły w Rzeczypospolitej. Zdobyć tajemnicę wyrobu tego wina stało się w pewnym czasie obsesją wielkopolskich winiarzy. Kilka razy włamano się nawet do klasztoru i próbowano znaleźć przepis na cysterski specjał. Poza zdemolowaniem piwnic z winem mszalnym każda próba kończyła się fiaskiem. Receptury nigdy nie udało się odszukać; zgodnie z przekazywaną przez pokolenia legendą została zamurowana gdzieś w podziemiach pałacu.

- Kolejni właściciele także starali się ją znaleźć, lecz żadnemu z nich zamiar się nie powiódł - zakończyła Agata, bezbłędnie powtarzając zasłyszaną legendę.

- Ile może być warte takie wino? - Prokurator zwrócił się do Mischczuka.

- Samo wino warte byłoby tyle, że można by je wylać do sedesu. Po takim czasie to zapewne czysty kwas.

- A ile warta byłaby receptura? - zapytała Śródka.

- Prawdopodobnie miliony - odparł cicho Barnaba.

- Sęk w tym, że to jest tylko legenda - skwitował Korytko. - Przez trzysta lat nikomu nie udało się znaleźć dowodu na istnienie tego wina.

- Niephawda - wtrącił blady jak ściana Blanc. - Ja go znalazłem. Mówiłaś, Agato, że to było niebieskie szkło? I cystehsi trzymali je w piwnicach?

- Tak właśnie mówiłam. A co?

- Jeśli się dobrze domyślam, pan Michel znalazł dowód na istnienie wina oraz miejsce jego przechowywania.

Michel pokiwał głową, wodząc przerażonym wzrokiem od Burego do Śródki i z powrotem. W głowie mu się jeszcze nie mieściła waga dokonanego właśnie odkrycia.

- Znaczący: jestem obrzydliwie bogata?! - Agata momentalnie się rozpromieniła. - I dlatego ktoś chciał mnie zabić?

- Wątpię - odparł szybko prokurator. - Z tego powodu zginęła pani Leokadia. Prawda, panie Barnabo?

Miszczuk poczerwieniał nagle po cebulki włosów na głowie. Zaskoczony nagłym zwrotem akcji nie potrafił zachować przybranej wcześniej maski i niemal zemdleł z wrażenia. Omkły tymczasem chwycił byka za rogi i ani myślał puszcząć.

- Pan doskonale zna historię pałacu, na co sama zresztą zwróciła uwagę pańska ciotka.

Ponadto pański pracownik został zauważony przez pana Blanca, co oznaczało całkowite fiasko pańskiego planu.

- A jakiż to był plan? - Miszczuk zaśmiał się nerwowo. - Skoro posunął pan się w swoich fantazjach już tak daleko, to bardzo proszę kontynuować.

- Pański plan był niemal doskonały. Ale tylko niemal - ciągnął niezrażony Błażej. - Chciał pan się dostać do tunelu, który został odkryty po tym, jak pański pracownik wysadził ścianę piwnicy. Był pan bowiem pewien, że w tunelu znajdzie owianą legendą recepturę.

- Wciąż nie widzę związku ze śmiercią Leokadii - warknął wściekły jak osa winiarz.

- Sądzę, że wcale jej pan nie planował, ale wczorajszy wieczór mógł zakończyć się dla pana bardzo niepomyślnie. Jak już mówiłem, w ręku Leokadii znaleźliśmy kartkę.

- Tak, tak, o cukierniku, to już wiemy. - Ton Miszczuka był pogardliwy. - Przy sprzyjających wiatrach będzie pan w stanie przypisać mi eksplozję w pałacyku. Wielkie mi halo.

- Zapomniał pan o jednej rzeczy. - Prokurator uśmiechnął się smutno, wiedząc, że już jest po sprawie. - Mianowicie na kartce Leokadia zrobiła własną notatkę. Pamiętają państwo jej treść?

- Wina wina - odparła Agata, nie rozumiejąc, dokąd to zmierza. - Czy ta notatka nie dotyczyła śmierci Roberta?

- Moglibyśmy tak myśleć, gdyby nie jeden drobiazg. Owa wskazówka znajduje się na rewersie wiadomości, którą zostawił pan Blanc dla pani Śródki. Tyle że nie dotarła ona do właściwej pani Śródki, tylko do...

- Do Grażynki! - wrzasnęła Agata. - Czyli Leokadia znalazła ją wtedy, kiedy zamieniłyśmy się pokojami!

- Dokładnie tak. - Omkły pokiwał głową. - Leokadia znalazła kartkę, natychmiast zrozumiała jej treść, była wszak bardzo inteligentną i rozgarniętą kobietą, połączyła fakty i...

Niech nam pan powie, co stało się dalej. Szantażowała pana?

Miszczuk kipiał z wściekłości. Przerazona Julianna Makowiecka łapała powietrze jak ryba, nie mogąc pojąć, co się właśnie rozgrywa na jej oczach. Jej ukochany mordercą! O święci pańscy!

- Nic panu nie powiem. Niczego mi pan nie udowodni.

- Obawiam się, że to nieprawda. Moi koledzy z policji właśnie przeszukują pański pokój i zapewne znalezienie brakującego fragmentu kartki jest wyłącznie kwestią czasu.

- Nie macie prawa! - wrzasnął w furii winiarz i zerwał się z krzesła.

Korytko zareagował natychmiast. Przyskoczył do Miszczuka, schwycił go za ramię i spojrział mu ze smutkiem w oczy.

- Żal mi ciebie, bracie - wyszeptał. - Wielu rzeczy się po tobie spodziewałem, ale nigdy bym nie pomyślał, że zostaniesz mordercą.

Rozdział XLIII.

Le petit Mercredi

Aresztowanie Barnaby Mischzuka nastąpiło jeszcze przed kolacją. Zgodnie z przewidywaniami prokuratora w pokoju winiarza znaleziono dowody bezsprzecznie świadczące o jego winie. O winie zasługującej na karę, dodajmy, żeby uniknąć niedomówień. Co do wina, nikt nie miał wątpliwości, że jest najwyższej klasy.

Tajemnica śmierci Roberta i Grażyny Śródków wciąż pozostawała niewyjaśniona, a Błażej powoli tracił nadzieję na rozwikłanie tej zagadki i skłaniał się ku puszczeniu wszystkich wolno. Niektóre sprawy na zawsze pozostają nierozwiązane i być może ta właśnie się do nich zaliczała.

Na krótko przed kolacją pozwolił gościom udać się do pokoi, czując silną potrzebę odpoczynku po wykonanej właśnie pracy. Leżał na łóżku z rękami pod głową i gapił się w sufit, usiłując wyczyścić umysł z kotłujących się myśli. Nagle wydało mu się, że słyszy pukanie do drzwi. Zignorował je jednak, myśląc, że to obsługa, a to nie był dobry moment na sprzątanie czy wymianę ręcznika. Po chwili pukanie się powtórzyło, tym razem głośniejsze.

- Proszę - krzyknął prokurator, nie ruszając się z miejsca.

Drzwi otworzyły się nieśmiało i ukazała się spuchnięta od płaczu Anna Pawełka. Omkły zerwał się z łóżka, a następnie posadził słaniającą się na nogach dziewczynę w fotelu. Nalał wody do szklanki, przytknął ją do ust Pawełki i niemal zmusił do wypicia kilku kropel.

Wciąż zalewając się łzami, Pawełka opowiedziała mu historię swojej wielkiej miłości do chłopaka, którego wcale nie znała. A może po prostu nie chciała znać. On sam nigdy nie krył się ze swoją obsesją poszukiwania biologicznych rodziców, którzy go porzucili, gdy tylko przyszedł na świat. Od zawsze twierdził, że dzięki wykształceniu zdobytemu za pieniądze Leokadii, wielkiej mecenaski biednych i osieroconych dzieci, miał dostęp do wielu źródeł, dzięki którym dotarł także do swego aktu urodzenia, w którym znalazł nazwisko ojca.

Choć i jej dzieciństwo nie należało do szczęśliwych, Pawełka nigdy nie potraktowała poważnie jego słów, w których brzmiała z wielką goryczą wypowiedziana chęć zemsty. „Zabiłbym oboje” – odpowiadał narzeczony, gdy pytała go o to, co zrobiłby, gdyby kiedykolwiek poznał swoich rodziców.

- No i zabił – zakończyła Pawełka, a łzy przestały wreszcie płynąć strumieniami.

- Jak się pani domyśliła? – zapytał oszołomiony prokurator.

- Pamięta pan tę kartkę znaną przy torcie? I błąd interpunkcyjny? To jego pięta Achilleś, nigdy nie nauczył się stawiać przecinków, nad czym mocno ubolewa Julianna. I dzisiaj po jej uwadze zdałam sobie sprawę, że powinnam zorientować się już wtedy. Wie pan, jak on o niej mówił? – zapytała nagle.

- O kim? O Juliannie?

- O Agacie. Jak tylko dowiedział się, kto kupił pałacyk, coś w niego wstąpiło. Zrobił się tajemniczy i wycofany. Odsunął się ode mnie, a ja byłam tak zajęta planowaniem ślubu, że nie poświęciłam temu wystarczającej uwagi.

- No? To jak o niej mówił?

- *Le petit Mercredi*. - Dziewczyna zaśmiała się gorzko. - „Mała środa”. A największa ironia tej sytuacji polega na tym, że to nie ona jest jego matką.

Omkły podniósł się nagle i wypadł z pokoju jak z procy. Wielkimi susami, po dwa stopnie naraz, pokonał schody i dopadł klamki pokoju, w którym powinna przebywać Mariola Santini. Drzwi okazały się zamknięte. Błazej przyłożył do nich ucho, nie usłyszał jednak niczego.

Już miał wzywać Korytkę do pomocy w ich wyważeniu, kiedy drzwi ustąpiły. Prokurator ujrzał za nimi scenę, której miał nigdy nie zapomnieć.

Na łóżku siedziała zalana łzami Mariola Santini, głaszcząc przytuloną do swej piersi głowę Michała Kornasia, który klęczał u jej stóp. Ludwik Bury, otworzywszy drzwi prokuratorowi, opierał się o ścianę i z miłością patrzył na matkę i jej dziecko – ludzi złączonych po dwudziestu siedmiu latach.

Rozdział XLIV.

Może posadzę tu chmiel

Z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia Agata Śródka wyprawiła w gościnieckim pałacyku przyjęcie, w którym miało uczestniczyć trzynaście osób. Barnaba Mischczuk, jego wspólnik cukiernik oraz Michał Kornaś od miesiąca czekali w areszcie na sprawy sądowe, a życie w miasteczku powoli wracało do normy.

Punktualnie o dziewiętnastej w pięknym holu pałacu zebrali się Anna Pawełka, Julianna Makowiecka, Patrycja Żmuda, Róża Kalicka, Roman Pajor, Antoni Korytko, Błażej Omkły, Marta Kopczyńska ze swoim ojcem oraz Magdalena Piekarska ze swym ukochanym - byłym już księdzem Ludwikiem Burym. Osobami numer dwanaście i trzynaście byli oczywiście gospodyni oraz jej prawa ręka - Michel Blanc.

Pierwszy toast wniesiono doskonałym szampanem z pewnej podpozańskiej winnicy, życząc Robertowi, Grażynce i pani Leokadii wielu szczęśliwych chwil po drugiej stronie życia.

Początkowe onieśmienie wynikające z wciąż świeżych ran ustępowało z każdym kolejnym kieliszkiem wybornego trunku, wkrótce też z coraz większą odwagą zaczęto rozmawiać na temat zbrodni w Dolinie, jak określano najtragiczniejszy weekend w historii winnicy.

- Braliście pod uwagę, że to Grażynka trachnęła Roberta, bo była zazdrosna o Madziaczka? - dopytywała Śródka rozochocona dobrym szampanem.

- Tylko przez moment - odparł Omkły, ujawniając co nieco z tajemnicy śledztwa.

- No bo trochę to dziwne, że tak sobie wyszła i nie zauważyła, że jej mąż umiera w męczarniach - dodała Julianna Makowiecka.

- Wcale nie, jeśli wziąć pod uwagę, że wieczorem okropnie się pokłócili. Obrażona ubrała się i wyszła bez słowa.

- Faktycznie, Antoni mówił, że słyszał kłótnię - przypomniała sobie Agata. - A mnie kiedy pan wykluczył? - zapytała ze szczerym zaintrygowaniem.

- Kiedy dotarło do mnie, że to pani przykryła mnie tym kocem w fotelu. Morderca raczej starałby się być niewidzialny, a nie dbał o moją wygodę. Ewentualnie mógłby mnie zaciukać.

- Straszna jest ta cała historia - skwitowała Patrycja Żmuda, zerkając nieśmiało na pisarkę, która ze spokojem uczestniczyła w dyskusji o zbrodni dokonanej przez jej dziecko.

- Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień - zacytował dawny duchowny i ucałował Madziaczka w czoło.

Marek Kopczyński podszedł do okna, które wychodziło na pałacowy ogród. Choć było ciemno, blask okien rozświetlał teren tuż przy budynku, pozostawiający wyobraźni doskonale pole do popisu.

- Wciąż zamierzasz zrobić tu winnicę? - zapytał Śródkę po chwili.

- Do diabła z winnicą! Może posadzę tu chmiel. *Recettes de cuisine*

Recettes di cuisine

*Tort dyniowy według Agaty Śródki **

SKŁADNIKI (na formę o średnicy 20 cm):

Ciasto:

400 g mąki
2 łyżeczki sody oczyszczonej
2 łyżeczki proszku do pieczenia
1 łyżka cynamonu
2 łyżeczki gałki muskatołowej
2 łyżeczki imbiru
150 g drobnego cukru
1/2 łyżeczki soli
300 ml oleju roślinnego
5 jajek
150 g brązowego cukru
2 szklanki purée z dyni (440 g)

Malinowe ganache:

150 g malin (świeżych lub mrożonych)

2 łyżki cukru pudru
100 ml gęstego soku malinowego
2 łyżki żelatyny
100 g białej czekolady

PRZYGOTOWANIE:

W misce łączymy „mokre” składniki ciasta: olej, jaja, purée z dyni i cukier. Dodajemy składniki „suche”: mąkę, proszek do pieczenia, sodę, sól i przyprawy korzenne. Dokładnie wszystko mieszamy, rozbijając grudki.

Gotowe ciasto przelewamy do dwóch wyłożonych papierem do pieczenia foremek o średnicy około 20 cm lub jednej większej. Foremki wstawiamy do piekarnika nagrzanego do 170–180 stopni Celsjusza i pieczemy około 40 minut, do suchego patyczka.

Kiedy ciasto się piecze, przygotowujemy ganache.

Maliny, sok i cukier umieszczamy w rondelku i wolno podgrzewamy do momentu wrzenia.

Wszystkie maliny miażdżymy i gotujemy jeszcze przez mniej więcej 3 minuty. Następnie mus malinowy musimy przetrzeć przez sitko, aby pozbyć się pestek.

W drugim garnuszku umieszczamy 2 łyżeczki żelatyny, zalewamy je 4 łyżkami gorącej wody i mieszamy do całkowitego rozpuszczenia. Do rozpuszczonej żelatyny wlewamy 3–4 łyżki przecieru malinowego, dokładnie mieszamy i łączymy z resztą przecieru.

Upieczone i przestudzone ciasto kroimy w cienkie plastry i każdy przekładamy warstwą ganache. Gotowy tort ozdabiamy według uznania.

Przepis na ciasto dyniowe pochodzi ze strony: <http://candycompany.pl/>;
przepis na malinowe ganache pochodzi od autorki.

*Czernina / Wielkopolska czernina **

SKŁADNIKI:

szyja oraz skrzydła kaczce
podroby z jednej kaczki (żołądek i serce)
150 ml krwi kaczkiej (zakonserwowanej octem)
5 dag suszonych (wędzonych) śliwek
garść mieszaniny suszonych jabłek i gruszek
garść rodzynków
1 łyżka suszonego majeranku
4 listki laurowe
8 kulek ziela angielskiego
2 l wywaru z warzyw
1 łyżka mąki
4-5 łyżeczek cukru
sól

PRZYGOTOWANIE:

Podroby, szyję oraz skrzydła myjemy, wkładamy do garnka i zalewamy wywarem z warzyw. Solimy. Dodajemy ziele angielskie, liść laurowy i suszone owoce. Gdy podroby są miękkie, wyjmujemy je z rosołu. Skrzydła i szyjkę odrzucamy. Żołądek i serce kroimy w paski.

Krew bełtamy z mąką i niewielką ilością wody. Przecieramy przez sito, po czym wlewamy stopniowo, intensywnie

mieszając, do zupy. Dodajemy cukier, majeranek i pokrojone wcześniej podroby. Ponownie mieszamy. Doprowadzamy, ciągle mieszając, do wrzenia. Przykrywamy pokrywką i gotujemy na bardzo małym ogniu jeszcze przez 5 minut. Podajemy z kluseczkami lub makaronem własnej roboty.

* Przepis pochodzi ze strony: www.mojegotowanie.pl/przepis/czarnina-wielkopolska.

*Kaczka z jabłkami (po poznańsku)**

SKŁADNIKI:

1 kaczka
80 dag kapusty czerwonej
7 dag smalcu
5 dag słoniny
8 dag cebuli
1 dag mąki
0,25 l czerwonego wina
2 dag masła
cukier, sól, pieprz
majeranek suszony
sok z cytryny
kilkanaście czerwonych winogron

PRZYGOTOWANIE:

Kaczkę przecinamy na pół, odcinamy skrzydła, szyję i kręgosłup, pozostałe mięso obsmażamy na smalcu. Podroby z kaczki siekamy, lekko zrumieniamy z dodatkiem pokrojonej cebuli i masła, podlewamy wodą i gotujemy 35 minut. Połówki kaczki przekładamy do rondla, doprawiamy do smaku solą, pieprzem i majerankiem, podlewamy wywarem i dusimy, aż stanie się miękka.

Kapustę szatkujemy, następnie sparzamy wrzącą wodą, skrapiamy sokiem z cytryny i solimy. Słoninę drobno kroimy, zasmażamy z cebulą i mąką, wkładamy do kapusty wraz z ugotowanymi wcześniej podrobami. Całość zalewamy winem, dusimy i doprawiamy do smaku pieprzem, cukrem i solą. Kaczkę dzielimy na porcje, obkładamy kapustą i dusimy razem w rondlu jeszcze około 35 minut. Pod koniec duszenia dodajemy winogrona.

Gotowe danie ozdabiamy krążkami cebuli. Podajemy z pyzami lub ziemniakami.

* Przepis pochodzi ze strony <https://www.polskatradycja.pl/kuchnia-polska/regiony/wielkopolska/kaczka-po-poznansku.html> (korzysta z niego teściowa autorki).

Modra kapusta po wielkopolsku *

SKŁADNIKI:

1 główka kapusty (około 1,5 kg)
3 łyżki octu
1 goździk
1 kg jabłek
100 g borówek
1 średnia cebula
sok z cytryny
sól i pieprz

PRZYGOTOWANIE:

Surową modrą kapustę szatkujemy lub kroimy nożem w cienkie paseczki. Wrzucamy do gotującej się, lekko posolonej wody z dodatkiem octu i goździków. Gdy kapusta jest miękka, odcedzamy ją.

Na odrobinie oliwy z oliwek zasmażamy pokrojoną w kosteczkę cebulę. Dodajemy obrane ze skórki i starte na tarce jabłka i pokrojone borówki. Wszystko razem zasmażamy, stopniowo dodając modrą kapustę. Przyprawiamy odrobiną cukru, pieprzu, soli i soku z cytryny.

* Przepis pochodzi od teściowej autorki.

Od autorki

Wrocław, maj 2021

Niemal równo rok temu pojawiła się w mojej głowie postać kompaktowej kobiety obutej we wściekle różowe szpilki, która zaanonsowała, że ktoś zniszczył jej tort. Dosłownie powiedziała: „Ktoś zakatrupił Claude’a, a ja żądam, żebyś katrupiciela odnalazła”. W jej szmaragdowych oczach zobaczyłam nieugiętość, wścibstwo i niebywałą charyzmę. Nie musiałam nawet pytać, jak się nazywa, od razu wiedziałam, że to Agata Śródka.

Nie byłoby *Winy wina*, gdyby nie moje przyjaciółki – ale to żadna niespodzianka. Tym razem jednak winna (nomen omen) jestem wdzięczność kilku jeszcze wyjątkowym osobom, bez których wydawnictwo W.A.B. nie poznałoby losów restauratorki celebrytki.

Dziękuję Kindze Rak za dodanie mi odwagi, Marcie Kisiel – mojej przyjaciółce z licealnej ławki – za wiarę i oceany życzliwości, Jackowi Galińskiemu za pomoc i otwartość.

Ogromne podziękowania należą się Marii Wirchanowskiej i Magdzie Matuszewskiej za wielką pracę, jaką włożyły w nadanie tej książki ostatecznej formy.

Na deser zostawiłam sobie specjalne podziękowanie, bowiem osoba, do której je kieruję, od pierwszych chwil zdobyła moje serce. Agnieszce Trzeszkowskiej dziękuję za entuzjazm, zaufanie, dwudziestoczworogodzinne dyżury na

Messengerze, za wiarę w nasz wspólny projekt i pogaduchy o tylnym aspekcie osobowości Maryny.

Wam, moi wspaniali czytelnicy, dziękuję jak zawsze za to, że uczyniliście ze mnie pisarkę.

A handwritten signature in black ink, reading "Małgosia Starosta". The script is cursive and elegant, with the first name on the top line and the last name on the bottom line.